O ŻYDACH I KWESTYI ŻYDOWSKIEJ

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM IX

O ŻYDACH I KWESTYI ŻYDOWSKIEJ. — SILNY SAMSON. — DAJ KWIATEK. — GEDALI. — OGNIWA. — O NACYONALIŹMIE ŻYDOWSKIM.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

ELIZA ORZESZKOWA

O ŻYDACH I KWESTYI ŻYDOWSKIEJ

SILNY SAMSON. — DAJ KWIATEK.
GEDALI. — OGNIWA. — O NACYONALIŹMIE ŻYDOWSKIM



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1913

O ŻYDACH
I KWESTYI ŻYDOWSKIEJ.

Studyum to wydane było po raz pierwszy w r. 1882.

...Zapytujesz pan o myśli, które powstały we mnie, gdy do cichego kąta mego wichry grudniowe przyniosły wieści o burzy warszawskiej. Szumiały one, szlochały, jęczały i przez długie, bezsenne noce, obrazami krzywd i występków ludzkich ciemność nocną czyniły mi krwawą. Co myślałam wtedy? Dlaczego nie żądasz pan, abym opowiedziała: co czułam. Trzy wyrazy, a w głównych zarysach swych uczucia określonemi byłyby. Ohyda, litość i żal. Ohyda przeciw antyspołecznym i antycywilizacyjnym czynom; niezmierna litość nad cierpiącymi; palący żal za owocem tyloletnich usiłowań szlachetnych i oświeconych umysłów, spadłym w rozpalony znowu płomień nienawiści. Trzy wyrazy określają uczucia, w głównych ich zarysach. Inaczej z myślami. Trudno. Sprawa Żydów u nas zawikłaną jest, wielostronną, zjeżoną kolcami.

Lecz utrzymujesz pan, że prawić wciąż o uczuciach naszych byłoby rzeczą bezużyteczną.

Objaśnić je należy jasno i energicznie, ale wnet po momencie obudzenia i zgnębienia na porządek dzienny wnieść rozwagę, badanie i czyn.

Dodajesz pan jeszcze, że w dziejach społeczeństw bywają momenty, w których ludziom, obdarzonym jakąkolwiek zdolnością do publicznego przemawiania, milczeć nie wolno; w których każdy, czujący uderzenia serca swego i ruchy swej myśli, stosować do siebie winien przysłowie starych Rzymian: »człowiek cnotliwy człowiekiem prywatnym być nie może«.

Tak, po sto razy masz pan słuszność.

Uczucie, to owa fala poety: »wierna i niewierna«, która statek społeczeństwa wtedy tylko ku szczęśliwym niesie brze-

gom, gdy gruntem jej są jasne pojęcia, a regulatorami rozwaga i wiedza.

Tak, bywają momenty, w których każdy, kto kiedykolwiek jeden choćby krok uczynił na drodze spraw publicznych, prawie pod karą straty czci winien ukazać się pośród tej drogi, z przyłbicą podniesioną, z tarczą opuszczoną, ze szczerem i śmiałem słowem na ustach.

Śmiałość! Wobec wszelkich możliwych pocisków jest ona łatwą i ktokolwiek jej nie posiada, w rachunku społecznym znaczy: zero. Ale sumienny i oświecony pisarz skłonny jest do nieśmiałości innej. Niedostatki wiedzy własnej i ważność zagadnienia przejmują go niepokojem. Pragnie on wniknąć w sam rdzeń rzeczy, obejrzeć wszystkie składowe jej części, posiąść o niej morze wiadomości, zstąpić z nią w przepaści rozmyślań. Lekkomyślne przystępowanie do publicznej sprawy i czynności poczytuje on za niedorzeczność i grzech; dlatego wtedy nawet, gdy wie już wiele, milczy jeszcze i wobec ludzkich sądów żadnej trwogi nie czując, lęka się sumienia i rozumu własnego.

Jednak dziś, mniemam, że mówić mam prawo i powinnam. Wiele bardzo czytałam o Żydach, spostrzeżenia nad nimi czyniłam pilne, pisałam o nich trochę. Pisanie zaś — każdy piszący wie o tem — w sposób szczególny rozwidnia widnokręgi dokoła opisywanego przedmiotu. Refleksya, intuicya, analiza, w ruch wprawione, rozwijają w głowie piszącego kłębek Aryadny, tak, że mniemając zrazu, iż z progu tylko zajrzy w ciemne wnętrze labiryntu, z zachwyceniem spostrzega, jak coraz dalej postępuje w głębie jego i jak mu tam jasno.

Oddawna już dość mi jasno było w tej zawikłanej, wielostronnej, kolcami zjeżonej kwestyi żydowskiej. Myśli o niej nie przyszły mi z podmuchami burzy, nie wywołała ich ta wielka, okropna niespodzianka, która wielu, obojętnym dotąd, myśleć o niej rozkaże. Gromadziłam je oddawna. Dziś, gdy mówienia do przyszłości dalekiej odkładać nie wolno, wypowiem je bez nowych przygotowań i studyów, w formie luźnych i krótkich uwag nad przedmiotem badanym stale i długo. Nie wyczerpią one zagadnienia, ani wykreślą wszystkich dróg, któremi ono ku rozwiązaniu swemu postępować powinno, — lecz będę wolnym głosem obywatelskim, składającym dowód miłości dla kraju i szacunku dla spraw jego otwarte i śmiałe mówienie mu prawdy.

* * *

Gdybyśmy żyli w błogosławionych czasach, w których każde zawikłanie społeczne rozcinał miecz i przepalał ogień, mielibyśmy skłonność do postąpienia z Żydami tak, jak ongi Hiszpanie postąpili z Maurami, to jest, połowę ich chcielibyśmy spalić, a połowę za granicę kraju wyrzucić. Nieszczęściem dla tych, którzy, przychodząc na świat w wieku XIX-ym, popełnili grubą, chronologiczną omyłkę, palenie, wyrzucanie, jakiekolwiek tępienie należy już dziś do starych gratów, spopielałych w oczyszczającym ogniu cywilizacyi. Popioły ich dotąd jeszcze zasypują ludziom oczy i atmosferę moralną napełniają truciznami, lecz jako narzędzia do rozwiązywania kwestyi wyszły całkiem z życia. Wynik to nauki, wyjaśniającej pojęcie sprawiedliwości i łagodzącej obyczaje. Wynik to także zgromadzonych doświadczeń, które, jak na dłoni wykazały, że ilekroć jacykolwiek Hiszpanie gnębią i tępią jakichkolwiek Maurów, Maurowie źle na tem wychodzą, ale Hiszpanie daleko jeszcze gorzej. Przejęci wstrętem ku haniebnym a zawsze szkodliwym czynom gwałtu i prześladowania, co i jak, wobec warunków żywota naszego, czynić mamy?

Rzecz prosta: szukać sposobów usunięcia utrudnień i niebezpieczeństw na drodze pokojowej, z pomocą rozumu, dobrej woli, moralnych, umysłowych i gospodarskich ulepszeń. We względzie kwestyi żydowskiej sposobów tych szukamy od dość dawna, a od lat kilkunastu bardzo nawet gorliwie, lecz szukanie nasze posiada jedną, kapitalną wadę; mianowicie: bardzo niedokładnie znamy przedmiot ten, na którym odbywać mamy praktykę wynajdowanych przez nas teoryi. Powiadamy: oświecać, poprawiać, przyswajać, jednać się — a wiedza nasza o tych, którzy mają być przez nas oświecani, poprawiani, przyswajani i jednani, z wielu względów nazwać się może dziecinną.

Co my wiemy o Żydach?

Z jakich punktów widzenia zapatrujemy się na nich?

Na jakich podstawach opieramy sądy nasze o nich?

Pytania te zmuszają usta do uśmiechu, bo przywołują do pamięci setki, tysiące twierdzeń i sądów, wydawanych o Żydach, a które zdają się ubiegać ze sobą o pierwszeństwo w dziedzinie dzieciństw i płytkości ludzkich. Szachraj, wyzyskiwacz, fanatyk, gdy do masy ciemnych i biednych należy, pyszałek, arogant, samochwalca, gdy się wzbogaci, oto, kim i jaki jest Żyd, według wyobrażeń powszechnie u nas utrwalonych.

Jakto! i nic więcej?

Nie poszukujemyż w tej grupie społecznej, złożonej przecież z ludzi, żadnych już cech i właściwości innych?

A spostrzegając cechy wymienione powyżej, nie zapytujemyż siebie: skąd się one wzięły?

Jakich czynników dziejowych i współczesnych są one wytworami?

Czy istotnie, w chwili tworzenia Żydów, natura była wielką kapryśnicą i jedno plemię to napiętnowała plamami, od których wolne są wszystkie plemiona inne?

Nie poszukujemy niczego i nie zapytujemy o nic. Postępujemy w tym względzie gorzej od najlichszego powieściopisarza, który wie dobrże, iż nie wolno mu pokrywać papieru plamami sadzy. Od utworu wyobraźni wymagamy, aby człowiek był w nim tem, czem jest w naturze: istotą skombinowaną i różnostronną, tłómaczoną wpływami świata i życia, uprzedzającymi nieraz o wiele moment jego narodzin.

W rzeczywistości zaś godzimy się z wyobrażeniem, że w księdze ludzkości, a specyalnie na karcie naszego kraju, natura wymalowała wielką plamę sadzy.

Poważam się twierdzić, że, wyłączając nieliczną grupę istotnie śmiałych pisarzy i obywateli, sądy nasze o Żydach są płytkie, źle umotywowane i nieoświecone, że wpływają na nie, nietylko pobudki natury uczuciowej, ale uprzedzenie, przesądy i zabobony, poczerpnięte wprost ze skarbnicy średniowiecznych baśni.

Jednak wydaje mi się, że pragnąc przedmiotowi jakiemuś nadać pożądane kształty i barwy, należy koniecznie zacząć od dokładnego, bezstronnego, objektywnego zadania tego przedmiotu. Inaczej postępując, narażamy się na omyłki niechybne, marnując pracę naszą i gubiąc sprawę. Dlatego, przed przystąpieniem do rozważania kwestyi żydowskiej i sposobów, jakimi obie strony, to jest: Żydzi i chrześcijanie rozwiązywać ją powinni, popatrzmy chwilę na samych Żydów, na przywary ich i zalety — popatrzmy bez tych ciemnych okularów, którymi różnice rasy i wyznania i wiekowe przywyknienia okrywają oczy nasze, ilekroć je ku nim zwracamy. Zdjąwszy ciemne okulary z oczu, zdejmujemy jeszcze z czaszek naszych ściskającą je obręcz komunału, tego najstraszniejszego wroga samodzielnej myśli.

Sądy ogółu naszego o Żydach są zazwyczaj całkowicie pozbawione punktu widzenia porównawczego. Niepodobna wyprowadzać słusznych wniosków o jakiemkolwiek zjawisku bez ze-

stawienia go z mnóstwem zjawisk tejże samej lub pokrewnej mu natury.

Ażeby zdobyć jasne wyobrażenia o przywarach Żydów, trzeba koniecznie zestawić ich i porównać z plemionami innemi. Zestawienie takie przekonać nas dopiero może, czy przywary te są wyłącznie i tylko żydowskie, czy też może ogólno-ludzkie, czy źródło ich spoczywa we właściwościach plemiennych Żydów, albo też może w psychicznej naturze człowieka wogóle.

Pierwszą z kolei i najpowszechniej wyrzucaną Żydom przywarą jest nieuczciwość, tak w handlu, jak we wszystkich interesowych stosunkach, nieuczciwość, nosząca trywialną lecz ogólnie przyjętą nazwę szachrajstwa. Tytuł szachraja i nazwa Żyda tak zrosły się ze sobą, że rozłączyć ich już niepodobna. Istotnie, Żydzi handlujący i wogóle trudniący się jakiemikolwiek pieniężnemi sprawami, bardzo skłonni są do wyciągania z czynności swych, na sposób różny, zysków nieprawnych. Dopełniają oni czynności tych nieuczciwych w sumie bardzo znacznej. Jest to prawdą, której, ani chrześcijanin upominający się o sprawiedliwość dla nich, ani wyszły z ich łona ucywilizowany członek społeczeństwa zaprzeczać nie będzie. Lecz nie idzie nam o to, aby dowieść, że Żydzi w większości wypadków bywają w stosunkach interesowych nieuczciwymi, bo to rzecz jasna i której nikt nie zaprzecza. Idzie nam o dowiedzenie się, czy tylko i wyłącznie Żydzi odznaczają się ujemną cechą tą, albo też może w tych samych warunkach zajęć i położenia odnaleźć ją będziemy mogli w plemionach innych?

Zwracając się przedewszystkiem do społeczeństwa naszego, mimochodem tylko wspomnę o grubych, krzyczących nieuczciwościach, popełnianych przez chrześcijan warstw towarzyskich wyższych, popełnianych bardzo licznie, lecz, że tak wyrażę się, pomimowoli, przez lekkomyślne marnowanie mienia i wynikającą zeń niemożność dopełnienia przyjętych zobowiązań.

Mimochodem tylko wspomnę o częstych bankructwach fortun wielkich i średnich, spowodowanych po razy sto marnotrawstwem i życiem nad możność a pozostawiających w rozpaczy gromady wierzycieli, otrzymujących z mienia swego połowę, czwartą część, a nierzadko nie otrzymujących nic wcale. Gdyby kto, dla tej formy nieuczciwości, gnieżdżącej się w chrześcijańskiej części społeczeństwa naszego, dowodów pragnął, niech postara się o zgromadzenie dokumentów o tak nazwanych *konkursach*, w tych prowincyach kraju naszego, w których

istnieją odpowiednie ustawy prawne. Prawnicy zrozumieją dobrze, o czem mówię.

W Królestwie Polskiem, na straży przeciw tej formie nieuczciwości interesowej stoi ustawa hypoteczna. Czy zupełnie jednak usuwa ją ona? i czy tam nie widać już nigdy gromad ludzkich, załamujących ręce nad gruzami fortun, zasypującymi mienie ich, marnotrawnie zużyte przez tych, w czyje ręce złożyło je ich zaufanie?

Niech odpowiedzą na to prawnicy.

Niechaj prawnicy, lekarze, kupcy, wszyscy słowem ludzie, z szeroką publicznością do czynienia mający, szczerze odpowiedzą na zapytania: ile razy w życiu nie zapłacono im za pracę ich, wedle słowa i honoru? ile razy nie dotrzymano zawartej z nimi umowy, chybiono im terminu? ile razy przepraszani byli za nierzetelność, unikani dlatego, że stali się wierzycielami, nazwani wyzyskiwaczami dlatego, że praca ich wyzyskaną została. Jeżeli gdzie, to u nas w sferach towarzyskich wyższych niedostatek cnót prostych, cnót elementarnych i zarazem podstawowych, takich jak szacunek dla cudzego mienia a własnego słowa, głęboko czuć się daje. Ale to jest inny gatunek nieuczciwości. Jeżeli nie mylę się, w nomenklaturze prawnej nosiłby on nazwę: przestępstwa bez uprzedniego zamiaru. Jakkolwiek wątpię, czy najciemniejszy z żydowskich przekupniów rozpoczyna karyerę z powziętem z góry i jasno określonem postanowieniem zostania szachrajem, jednak twierdzę na pewno, że nikt z chrześcijan, do wyższych sfer towarzyskich należący, postanowienia tego nie uczyni. Nieuczciwość przychodzi tu za orszakiem przywar innych.

Niby konieczne następstwo za przyczynami swemi ciągnie się ona za marnotrawstwem, miłością dla zbytku i blasku, wadliwym ustrojem towarzyskiego życia. Pacyent poddaje się jej zrazu opornie, z większym lub mniejszym wstrętem, potem przywyka, zdobywa to, co Francuzi nazywają »la science de l'expédient« i, stawszy się nieuczciwym pomimowoli, w większości wypadków jest takim bezwiednie. Od poznania samego siebie ze strony tej bronią go: tarcza herbowa, ukłony gości powstających od stołu jego, nadewszystko zaś to przekonanie, że szachrajem może być tylko istota odziana w chałat i mówiąca obrzydliwym szwargotem, nigdy zaś człowiek, używający w konwersacyi pięknej francuszczyzny i noszący frak. Ci pomimowolni i bezwiedni oszuści tworzą w obszernem królestwie nieuczciwości kategoryę specyalną, przez specyalne przyczyny wytworzoną.

Ale czy ktokolwiek bezstronny śmiałby klasę handlujących chrześcijan u nas przedstawiać do ryczałtowej kanonizacyi, na mocy ogólnej i niepokalanej jej uczciwości? Mniemam, że każdy, ktoby zamierzał uczynić to, powstrzymanyby został przypomnieniem niejednego doświadczenia własnego, w którem handlarz, czy przemysłowiec chrześcijanin, więcej okazał dbałości o zysk swej sakiewki, niż o czystość swojego sumienia. Statystyka tego rodzaju postępków, trudna z natury swej, niemożliwą prawie jest tu, gdzie wogóle statystyczne obliczenia jakiekolwiek nie istnieją, lecz są fakty, rzucające na sprawę tę obfite światło.

Ze zgromadzonych z lat dziesięciu dzienników wyciąć możnaby dużą więź szpalt, napełnionych wyrzekaniami przeciw nieakuratności, niedbalstwu, zdzierstwu rzemieślników chrześcijan.

Jeden z kronikarzy warszawskich, przed dziesiątkiem lat, przez kilka miesięcy zanudzał na śmierć prowincyonalnych czytelników wyrzekaniami na piekarzy miejscowych, których wyroby malały, malały, malały. Po wiele razy prasa wyrzucała fabrykantom i rzemieślnikom Chrześcijanom, że produkcye ich nie zdobywają sobie w Cesarstwie popytu takiego, jakiby posiadać mogły, gdyby wykonywaniem i dostarczaniem ich trudniły się ręce uczciwe i sumienia rzetelne. Kobiet, kochających się w piękności stroju, zapytać należy o uczciwość procederów, panujących w większych i mniejszych magazynach i pracowniach ubiorów damskich.

W miastach litewskich, gdzie na 20 sklepów kolonialnych żydowskich przypada jeden utrzymywany przez chrześcijanina, niektórzy kupcy chrześcijanie w każdą sobotę podwyższają ceny towarów, czyli raz w tydzień obciążają kundmanów swych daniną, wynikającą z jednodniowych, peryodycznie przypadających monopolów.

Faktów, podobnych powyższym, każdy człowiek dobrej wiary w pamięci i w otoczeniu swem znajdzie mnóstwo. Nie twierdzę przez to, że w przemyśle chrześcijańskim niema firm i sumień czystych, przypomnieć tylko chcę, że są w nim i nieczyste, że tedy nieczystość sumienia w przemyśle i handlu, nie jest monopolem przemysłowców i handlarzy żydowskich. Że natura monopolem tym Żydów nie obdarzyła, świadczą o tem stosunki i, że się tak wyrazić można, przyzwyczajenia rządzące sferami przemysłowemi w krajach innych. Z większą daleko łatwością pisarz polski dowiedzieć się może dokładnie i szczegółowo

o wszystkiem, co dzieje się w krajach innych, niż o tem, co tyczy się kraju jego.

Przyczyny tego różne, lecz jedną z nich jest najpewniej ta, że u nas, ktokolwiek ku ciemnym stronom społeczeństwa wskazujący palec skierować śmie, podlega zarzutowi plamienia własnego gniazda.

W Anglii, w kraju słynnym z dumy narodowej, dość jednak usprawiedliwionej, ten, kto tak czyni, nie uchodzi snadź za złego ptaka, skoro Herbert Spencer, po napisaniu studyum o klasach handlujących angielskich, nic z powagi swej i dobrej sławy nie utracił. Nikt nigdy nie słyszał, aby poczytywano go za złego Anglika; jednak pędzel, którym malował on tę grupę rodaków swych, umoczony był nie w miodzie pochlebstwa, lecz w zdrowym a gorzkim piołunie prawdy. Dla nas obraz ten bardzo nauczającym być może. Szkoda wielka, że imię myśliciela angielskiego dla znacznej części czytającej publiczności naszej jednoznacznem jest z imieniem Belzebuba. Szkoda, że inna jeszcze część tej publiczności imię to wziąć może za nazwę przedpotopowego zwierzęcia. Gdyby nie święty lęk przed nauką i przedstawicielami jej z jednej strony, a z drugiej, gdyby nie gruba niewiedza, w której święty ów lęk nas utrzymuje, ogół nasz znałby studyum Spencera i posiadłby już te wnioski, które mnie z przeczytania go w korzyści przypadły.

Na obszerne streszczenie pracy tej miejsca tu nie mam. Wystarczą twierdzenia, fakty i cyfry główne.

»Błędnie wyobrażają sobie niektórzy — pisze Spencer — jakoby w świecie handlującym tylko niższe klasy dopuszczały się oszustw, wyższe są także w znacznej części godnemi nagany. Nieprawne praktyki wszelkiego rodzaju i pod wszelkiemi formami, od drobnego oszustwa aż do istotnych kradzieży, ciężą na wyższych zarówno, jak na niższych sferach naszego handlu. Oszukańśtwa niezliczone, kłamstwa w czynach i słowach, podstępy długo przygotowywane, oto co spotykamy wszędzie. Z pomiędzy postępków tych niektóre wyniesione są do stopnia instytucyi, niby noszącej nazwę „Zwyczaje handlowe“ i, co więcej, znajdują jako takie gorliwych obrońców...

Naprzód przekupstwo i ajenci sklepów hurtownych otrzymują od fabrykantów i dają z kolei kupcom detalicznym łapówki pod różnemi postaciami: gotówki pieniężnej, biletów bankowych, dobrych obiadów, prowizyi śpiżarniowych, koszów win, klejnotów i t. p. A system ten zdobywania względów ajentów firm wielkich przez fabrykantów i drobnego kupiectwa przez

tychże ajentów, za pomocą łapówek, jest tak rozpowszechniony, że prawie powszechny.

Następnie: oszustwo. Wiadome jest, że zmysły wzroku i dotykania, wskutek doświadczenia pewnego szeregu umiejętnie uszeregowanych wrażeń, stają się na chwilę niezdolnemi do jasnego oceniania przedmiotów. Proceder ten zaciemniania i znieczulania zmysłów osób kupujących wybornie znany jest subjektom sklepowym i bardzo zręcznie przez nich wyzyskiwanym.

W sklepach bławatnych zwyczajem jest ogólnym rozwijać przed oczyma kupującego sztuki materyi w takiej kolei, aby wzrok jego zbłąkać i znieczulić na doświadczane wrażenia. W składach win i korzeni podają oni do kosztowania takie produkty, które czynią podniebienie mniej czułem na wadliwość przedstawianych później. I tak we wszystkiem. A wynikiem procederu tego jest sprzedawanie złych gatunków za dobre.

Następnie: kłamstwo.

Obowiązkiem sprzedającego jest twierdzić przed kupującym wszystko, co tylko skłonić go może do nabycia towaru. W kupiectwie angielskiem istnieje przysłowie: »Głupiec tylko sprzedaje to, czego kupujący żąda«. Kupcy usuwanie z posad subjektów swych motywują słowami: »Kłamiąc, nie masz miny człowieka przekonanego«.

Następnie i oszukaństwa na wielką skalę, systematycznie i w porozumieniu fabrykantów z kupcami dokonywane. Przedmioty, kupowane na sztuki, wiązki, pudełka i w tym podobnych zbiorowych postaciach, utrudniające natychmiastowe sprawdzenie liczby i miary, przedstawiają zawsze deficyt na niekorzyść kupującego.

Sztuki materyi, nominalnie posiadające 36 yardów długości, posiadają jej realnie tylko 31.

Motki nici albo bawełny, nominalnie długich na yardów 12, przedstawiają realną długość rozmaitą, od 8 do 5 yardów i jeszcze mniej.

Tasiemki ze znakiem 9-ciu nitek szerokości mają ich 7, ze znakiem 7-iu pięć.

Frędzle, sprzedawane na kartonie, szerokie są na dwa cale u końca widzialnego, a zwężają się dalej do jednego cala i mniej.

Oto wyznanie jednego z fabrykantów:

— »Firmy handlowe zamawiają u mnie sztuki wstążek 15 yardowe, z zaleceniem, aby na etykietach znajdowała się cyfra yardów 18-tu. Jeżeli odmówię sfałszowania etykiety, wstążki moje

będą mi zwrócone. Najwyższem ustępstwem, jakie od firm handlowych we względzie tym wyjednać mógłbym, jest wysyłanie towaru bez etykiet«.

Fabrykanci i handlarze na wielką skalę najniemiłosierniej wyzyskują i gnębią współzawodników uboższych i słabszych. Potężny handlarz materyałami jedwabnymi, z cyniczną otwartością opowiadając o wielkiej liczbie zgubionych przez siebie firm drobniejszych, dodaje:

— »Można ich przez czas jakiś zostawiać przy życiu tak, jak to kot czyni z myszą; ale sami oni są pewni tego, że ostatecznie zjedzeni zostaną«.

Opis oszustw, dokonywających się w fabrykacyi jedynych tylko wyrobów jedwabnych, zajmuje kilka dużych stronic. Kilka innych zawiera wyszczególnienie procederów nieprawnych w fabrykacyi i sprzedaży cukru, świec, tanich tkanin i t. p.

Gdzieindziej jeszcze znajdujemy wiadomości o tem, że fabrykanci przez przekupionych agentów wykradają sobie wzajem wzory obić i materyi, że w terminologii przemysłowej istnieje wyrażenie: »konające końce«, które oznacza, że tkanina, mająca kilka zwierzchnich yardów starannie wykonanych, dalej staje się coraz rzadszą i węższą, tak, że z początkowej szerokości np. 108 cali, zbiega do 80-ciu i t. d.

»Wszystkie powyżej przytoczone fakty są tylko prostymi wzorkami ogólnego stanu rzeczy, którego dokładny opis potrzebowałby najmniej grubego tomu.

»A jest to stan rzeczy tak dalece ogólny, że, ze wszystkich stron sprawę tę rozpatrując, przyszedłem do przekonania, iż każdy wstępujący w przemysł i handel ma do wyboru dwie rzeczy: albo stosować się do procederów powszechnie używanych, albo opuścić zawód«.

Pierwszy, konieczny wniosek z obrazu tego: nie sami tylko Żydzi skłonni są do popełniania w przemyśle i handlu nieuczciwości wszelakich. Mniej więcej oświecony czytelnik wie dobrze, iż w Anglii Żydzi wogóle i Żydzi handlujący w szczególności przedstawiają względnie do potomków anglo-saksońskiej rasy procent tak drobny, że wspominać o nim nie warto. W dodatku i ten procent jeszcze jest tam silnie wszczepiony w narodowość angielską, doskonale przejęty cywilizacyą krajową, czyli doskonale zangielszczony.

A jednak...

Jaki wniosek z obrazu przez siebie skreślonego czyni Spencer?

Zanim odpowiem na pytanie to, sformułuję drugie.

Jaki wniosek uczynionoby u nas, gdyby ktokolwiek, w podobnie dokładny sposób o ciemnych kolorach, opisał handlującą klasę naszą?

Mielibyśmy do wyboru dwa wnioski. Jeżeliby w sposób taki opisano przemysłowców i handlarzy chrześcijan, wywnioskowanoby poprostu, że autor opisu jest złym Polakiem, może nawet odstępcą sprawy publicznej, a najpewniej krótkowidzem.

Jeżeliby zaś opis tyczył się Żydów, zawołanoby: tak! dzieją się w przemyśle i handlu naszym rzeczy, o których słuchać długo nie można, bo uszy więdną, ale dzieją się one dlatego, że trudnią się tem Żydzi! Gdzieindziej — inaczej.

Wspomniałam już, że Spencer nie otrzymał w nagrodę swej pracy tytułu politycznego odstępcy. Lecz też nie wywnioskował on z opisu swego i nikogo zapewne w Anglii opis ten nie przywiódł do wniosku, że przemysłowcy i handlarze angielscy popełniają nieskończone mnóstwo nieuczciwości, z nieskończonem mnóstwem form jej i waryantów dlatego, że są Anglikami. Socyolog nie tak rozumuje. Przyczyny zjawiska widzi on naprzód w ogólnej naturze ludzkiej, która, poddana pewnym wpływom, pewne właściwości w sobie wyrabiać musi; następnie w naturze zawodu handlowego, który zawiera w sobie częstsze i potężniejsze pokusy; nakoniec w pewnych właściwościach, można rzec, odwrotnych stronach cywilizacyi, wzbudzających w ludzkości nadmierną żądzę wzbogacenia się — używania.

»Czy nieuczciwości te i podłości — pisze Spencer — uprawniają zdanie tych, którzy handel poczytują za zajęcie nizkie i pogardy godne? Czytelnik spodziewa się zapewne, że bez wahania odpowiem: tak! Jest to omyłka. Odpowiedź taka nie byłaby sprawiedliwą. Zdaniem mojem, niema żadnej podstawy do twierdzenia, że klasy handlujące są w gruncie rzeczy mniej warte, niż inne. Wybierzcie na traf ludzi należących do klas innych, wyższych i niższych, najprawdopodobniej w tych samych postawieni okolicznościach, czynić oni będą to samo, co tamci... pilne poszukiwanie wykazałoby najpewniej, że mało jest klas takich — jeżeli jeszcze jest taka choć jedna — któreby wolne były od nieuczciwości wszelkiej, że w stosunku do spotykanych pokus błędy ludzkie wszędzie są miary jednej. Zapewne, nie wszędzie są one tak nizkie i tak grube;

nie wszędzie mogą one być tak stałe i zorganizowane, bo zewnętrzne okoliczności nie skłaniają ich do stałości i zorganizowania się, albo ich nie dopuszczają całkiem. Lecz uwzględniwszy zastrzeżenia te, — wiele powiedziećby można na rzecz następnego zdania: klasy handlujące nie są same w sobie ani gorsze, ani lepsze od innych; są one wprowadzone w złe przyzwyczajenia przez okoliczności zewnętrzne«.

A więc nie u nas tylko i nie Żydzi tylko. Wątpię, czy suma oszustw i szachrajstw, popełnianych przez Żydów naszych, przewyższa tę, która zawiera w sobie obraz przez Spencera, na płótnie angielskiem i angielskiemi farbami wymalowany. Że jednak u nas wszyscy wyrzekają i oburzają się, lecz nikt wyrzekań swych i oburzeń oprzeć nie myśli na gruncie zebranych i w statystyczny obraz ułożonych faktów i cyfr, nie podobna jest ani zaprzeczać, ani twierdzić stanowczo. Czy przecież ci, którzy przypuszczalną zresztą wyższość sumy tej umieszczają na szali Żydów, zapytali kiedy naprzód historyi, a potem naszej organizacyi społecznej o przyczyny, które ją sprowadziły?

Historya powiedziałaby im, że przez długie bardzo wieki, w czasie których Niemcy, Francuzi, Anglicy i inne narody, cywilizacyą naszą objęte, trudniły się rolnictwem, wojną, uprawą nauk i sztuk, polityką, administrowaniem krajów swych i handlem także, Żydzi tylko i wyłącznie handlowali; że zatem pozbawieni oni byli wielu wpływów wywieranych przez zawody inne, a wystawieni na wszystkie wpływy swego wyłącznego zawodu.

Dlaczego tak było?

Nie zamierzyłam tu kreślić ani nawet najpobieżniejszego wykładu historyi. Że zaś znać ją musimy, jeśli mamy naprawdę rozwiązywać nasze kwestye społeczne, i dlaczego albo nie znamy jej albo nadzwyczaj mało ją znamy? o tem potem. Co się zaś tyczy organizacyi społecznej, w tej wyraźnym jest fakt, że w przemyśle i handlu naszym Żydzi stanowią większość ogromną. Znowu daje się tu uczuwać dotkliwy brak statystyki krajowej. Cyfrę pewną zastąpić wypada chwiejnym wyrazem: ogromna. Nikt przecież nie zaprzeczy temu, że w wyrazie tym przesady niema.

Prostym zaś wynikiem ogromnej większości Żydów w przemyśle i handlu naszym jest to, że usterki przeciw uczciwości i moralności, przez nich popełniane, więcej w oczy biją, niż ta-

kież usterki małej liczby przemysłowców handlarzy chrześcijan. Gdyby w przemyśle i handlu liczba chrześcijan i Żydów była równoznaczną, mawialibyśmy: handlarze nieuczciwi! ponieważ zaś jest inaczej, mawiamy: Żydzi nieuczciwi! Czy zaś idealnie i bez zmazy działoby się w handlu, gdyby trudnili się nim przeważnie chrześcijanie, spostrzeżenia i doświadczenia na naszej niwie dokonywane, studyum Spencer'a o Anglikach i fakty takie, jak np. niedawne a słynne i olbrzymie oszustwo francuskiego i arcy-katolickiego banku Union-Générale, wątpić pozwalają. Nie wątpić o tem będzie ten tylko, kto wyobraża sobie, żeśmy z innej i daleko lepszej gliny ulepieni, niż Francuzi i Anglicy, albo, że rozwijaliśmy się pod szczęśliwszymi, niż narody te, wpływami. Chyba, że tak...

Nie mogę przeszkadzać ludziom, aby uszczęśliwiali się wyobrażeniami takiemi, ale dla dobra kraju mego pragnę, aby takich szczęśliwych było w nim jak najmniej. Pomijam wiele podrzędnych punktów, okrytych różnymi odcieniami tego samego zarzutu.

Z pomiędzy przeważnie obarczonych tym zarzutem warstw ludności ubogich i zupełnie ciemnych, staję obok wzbogaconego i względnie ucywilizowanego Żyda. Nazywa się on Geldhab; zjawia się bardzo często tak w życiu, jak w komedyi, lecz w życiu daleko mniej, niż w komedyi, rozśmiesza i bawi. W stosunkach życiowych rozśmiesza on i bawi też niekiedy, częściej jednak niecierpliwi i do zżymania się na żydowską pychę i arogancyę zmusza. Nie zaprzeczając bynajmniej istnieniu pychy tej i arogancyi, bardziej śmiesznej lub bardzo nieznośnej, próbuję tylko określający je przymiotnik »żydowska« zmienić na inny. Mniemam, że spostrzeżenia, czynione w społeczeństwach innych niż żydowskie, doradzają mówić: pycha i arogancya parweniuszowska. Tu trzeba koniecznie uczynić zastrzeżenie bardzo ważne. W zasadzie zdobywanie fortuny i społecznego znaczenia przez własną, samodzielną pracę, szlachetną rzeczą będąc, uszlachetnia. Ludzie, którzy życiową karyerę z pewną sumą posiadanej już oświaty rozpocząwszy, przebyli ją ręka w rękę z surową pracą i przez taką pracę na społeczne szczyty wyniesieni zostali, dorobkiewiczami będąc, przedstawiają sobą gatunek ludzi najlepszy. Skromność i prostota są właśnie cechami ich, nabytemi w twardej szkole myśli, czynu i cierpień, nierozłącznych z życiem rozsądnem i czynnem. Ale istnieje inna kategorya dorobkiewiczów, kategorya złożona z tych, którzy bez oświaty i nauki żadnej, lub z bardzo małą i bardzo źle skiero-

waną jej dozą, wypadkiem lub dzięki jednej, wyłącznie w nich rozwiniętej włady umysłowej, trafili na wartką falę powodzeń. Z trudem niewielkim i jednostronnym na fali tej płynąc, przybywają oni ku brzegom, względnie do umysłowej i moralnej wartości ich zbyt wysokim, i osiadają na nich pijani zrządzoną im przez życie wielką niespodzianką. Dorobkiewiczów takich, umysłowo ciemnych, moralnie zepsutych, towarzysko śmiesznych i zarazem nieznośnych, społeczeństwo każde ilość pewną posiada. Już starożytny Rzym znał wyzwoleńców tych, którzy ciała swe zakuwali w drogocenne metale, a jedną ręką częstując biesiadników słowiczymi mózgami, drugą od ust domowników i klijentów odejmowali garście kukurydzy, zupełnie tak, jak Geldhab nasz częstuje księcia swego wybornemi winami, a pozostałe w kieliszkach resztki ich do butelki zlewać rozkazuje. A kiedy pycha wyzwoleńca rzymskiego puszyła się i dęła obok wyniesionej dumy potomka Scypionów, dla podtrzymania jedynej podstawy jej, bogactwa, dokoła brzegów italskich pływały okręty jego, naładowane niewolnikami, na targ wiezionymi. U stołu ze słoniowej kości łoże mieniące się purpurą i fijołkami zalegając, o historyi i filozofii, o poezyi i sztuce bredził on zupełnie to samo, jak bredzi Geldhab, dysponujący genealogiczne swe drzewo, lub francuski Jourdain, biorący lekcyę filozofii i nie mogący wyjść ze zdumienia, że lat czterdzieści już mówi prozą. Francuski Jourdain tak jest podobny do naszego Geldhaba, że podobieństwo to świadczy wybornie o sprawiedliwości czy niezłomności praw natury, które bezwzględnie na pochodzenie człowieka, z jednych warunków i jednych wpływów, jednostajne wypracowują wyniki.

Gdyby Aleksander Fredro posądzony być mógł o naśladownictwo, moglibyśmy przypuścić, że, pisząc Geldhaba, przed oczyma trzymał rozwartą komedyę Moliera. O to jednak talent ten ze zbyt dowiedzioną oryginalnością, swojskością i energią posądzony być nie może. Nie Fredro naśladował Moliera, lecz natura zawsze i wszędzie naśladuje samą siebie.

W wieku XVII-ym przez usta wzbogaconego francuskiego mieszczanina wołała ona:

— »Lokaje moi! obaj moi lokaje!«

W wieku XIX-ym przez wzbogaconego Żyda zawołała:

— »Liberya moja!«

W serce pierwszego wlała żądzę spokrewnienia się z margrabią, wyrażającą się słowami:

— »Córka moja, na złość wszystkim, zostanie margrabiną, a jeśli mię rozgniewacie, uczynię ją księżną!«

Pierś drugiego napełniła chciwością na książęcego zięcia, chciwość tę wypowiadając w słynnym monologu: Córka księżna a mój zięć książęciem.

— »Ja teściem księcia, książę, księżna mem dziecięciem«.

Pomiędzy Francuzem Jourdainem a Żydem Geldhabem przeprowadzićby można paralelę ścisłą; jeżeli zaś Geldhab przedstawia sobą typ wydatniejszy, bardziej różnostronny, to tylko dlatego, że komedya Fredry jest bardziej skończonem, doskonalszem dziełem sztuki, niż komedya Moliera, zepsuta bawidłami i nieprawdopodobieństwami, stworzonemi ku lepszej zabawie królewskiego dworu. Grunt sam obu bohaterów komedyi identyczny zupełnie. Identycznym też z Jourdainem i Geldhabem jest grunt dorobkiewiczów Polaków, figurujących w wielu powieściach polskich.

Przytoczę tu pierwszy lepszy przykład, na pamięć mi przychodzący: wybornego prezesa, ojca uroczej Kamilli z »Kollokacyi« Korzeniowskiego. Ten wprawdzie urodził się już szlachcicem, ale u początków życia ani śnił o bogactwie i prezesostwie. Pierwszego dorobił się łatwymi i wielce wątpliwej uczciwości procederami, a za pierwszem przybyło drugie.

Siedzi sobie tedy tłusty pan prezes na aksamitnym fotelu i od rana do wieczora, w znak niesłychanego zadowolenia z samego siebie, wielkimi palcami rąk młynka na brzuchu kręci. Córki nie uczyni za nic żoną niezamożnego szlachcica.

Jak Jourdain i Geldhab, chce ją użyć za narzędzie dla dostarczenia mu świetnej koligacyi, jedynej ingredyencyi wielkości, której pysze jego jeszcze nie dostaje.

W powieści innej tegoż pisarza (»Spekulant«) szlachcic dorobkiewicz napełnia kominki i stoły swoje porcelanowemi figurkami, o których prawi archeologiczne brednie, podobne do genealogicznych wywodów Żyda Geldhaba i lekcyi filozofii francuskiego Jourdaina.

Natura ludzka i kształtujące ją wpływy świata, zajęć, zwyczajów! Natura ludzka wszędzie i zawsze popycha człowieka do drapania się pod górę i do nadymania się pychą, gdyż stoi na górze.

Wyzwoleńcy rzymscy, pyszni bogactwem swem, dęli się obok Scypionidów, chodzących na koturnach swego pochodzenia. Nie mamyż my Scypionidów naszych? Wyśmiewając i potępiając pychę wzbogaconych Żydów, nie wyśmiewamyż i nie po

tępiamyż w rozmowach, powieściach, komedyach dumy i zarozumienia tych, którzy urodzili się bardzo bogatymi i którzy noszą nazwiska uświetnione przez historyę? co więcej, nie mamyż licznej gromady takich, którzy ani urodzili się bardzo bogatymi, ani imion przez historyę uświetnionych nie noszą, lecz są tylko naśladowcami dumy i obyczajów wielkich bogactw i historycznych imion?

Jeżeli Scypionidom naszym wiele zarzucać i wyrzucać można, to jednak niejedno w nich uniewinnić albo pochwalić wypada. Lecz epigonowie Scypionidów — to klęska społeczna i śmieszność towarzyska, która tych tylko nie bije w oczy, którzy w sto lat choćby po narodzeniu swem ślepymi być muszą. Co do mnie, przedstawiam czytelnikom do wyboru dwa indywidua. Z jednej strony, dorobkiewicz Żyd, wydymający tłuste ciało, aby zajęło sobą jak najwięcej powierzchni kuli ziemskiej, prawiący smalone duby połamaną z niemiecka polszczyzną i dla utrzymania pod stopami gruntu bogactwa wykonywający na giełdzie lub innych tego rodzaju instrumentach zgrzytające melodye szachrajstw; z drugiej strony, utracyusz półpanek, sztywnie wyprężający znędzniałą w rozpuście postać, sepleniący także smalone duby po francusku normalnie lub z francuska, gdy inaczej niepodobna, a dla zrównania się z panami trwoniący mienie tych, którzy mu ufają i którzy, gdy dziedzictwo jego przeleci w ręce cudzoziemca, nad pokrzywdzeniem swojem, a nad szachrajstwem jego, zawiodą zgrzytający lament przekleństwa?

Wybierajcie! Albo raczej uczyńcie tak, jak ja czynię, to jest, nie wybierajcie żadnego, lecz wiedzcie, że pycha, pycha zła i głupia, jest tu i tam, tu i tam prowadząc za sobą wszystkie grzechy główne, których jest matką: chciwość, oszustwo, pomiatanie godnością człowieczą, śmieszne pretensye żaby, usiłującej dorównać wołowi.

Pomiędzy tu i tam są tylko różnice form, w jakich objawiają się grzechy główne. Formy te dla jednego mogą być wstrętniejszemi i śmieszniejszemi tu, dla innego tam, zależy to od stopnia i kierunku smaku, od przyzwyczajeń i uprzedzeń. Lecz pod powierzchnią wszelką, głupstwo głupstwem i grzech grzechem pozostaje.

Nakoniec faktem jest bardzo zrozumiałym, że im z głębszych nizin wzgardy i nędzy społecznej fala powodzeń wyniesie człowieka na wyżyny bogactwa i znaczenia, tem więcej upajającą jest dla niego ta niespodzianka; porównywając to, czem był, z tem, czem się stał, skłonny on jest do ustawicznego

dziękowania rozumowi własnemu za to, że starł zeń ślinę wzgardy ludzkiej, a okrył go natomiast purpurą dostojeństw. Otóż Żyd wzbogacony jest właśnie człowiekiem, który dźwignął się z nizin najgłębszych, — długie stulecia trudniły się kopaniem tych nizin.

Cywilizacya nowożytna od niedawna i bardzo leniwie zajęła się równaniem nizin z poziomem otaczających gruntów. Chłop, na nizkim stopniu hierarchii społecznej umieszczony, ma po swej stronie szanowane tradycye kmiece, skruchę wyższych sfer społecznych za popełnione przeciw niemu grzechy, nadewszystko: tożsamość pochodzenia i wiary religijnej. Tradycye Żyda europejskie przypominają mu same wyłączenia i poniżenia, które dotąd jeszcze szczupłą tylko ilość sumień ze snu spokojnego budzą, a rasowym i wyznaniowym różnicom towarzysząc, w formach różnych wdzierają się w teraźniejszość. Nie dziw więc, jeżeli człowiek, który najwięcej miał do zwyciężenia, najsilniej upoi się swojem zwycięstwem; jeżeli ten, który w szpiku kości swoich nosi bolesne wspomnienia upokorzeń, aż do szpiku kości przejmie się radością swej dumy. Że bogactwa, nabyte na drogach wątpliwej prawości albo i stwierdzonej nieprawości, poniżają nie wywyższają, tego pojąć nie może umysł jego jednostronnie wyćwiczony i skierowany. Ci z pomiędzy Żydów, którzy na wyższe stopnie społeczne wstąpili z oświatą, i przez oświatę, na równi z innymi oświeconymi ludźmi, nie ulegają upojeniu swych powodzeń. Ale wielką omyłkę tamtego, sprytnego bardzo i szczęśliwego lecz nieoświeconego finansisty, spekulanta, podtrzymują i wzmagają wszyscy, którzy, wyśmiewając i nienawidząc go w duszy, ciała swe przed bogactwem jego w nizkie i giętkie ukłony zginają. A takich jest mnóstwo. I oni to, bezwzględni czciciele złotego cielca, potęgując w sercach poniżonych żądzą bogactw, wydymają pychę tych, którzy już wywyższyli się przez bogactwo.

Trzecim i najcięższym zarzutem, czynionym Żydom, jest odrębność, wyrażająca się strojem, mową, fanatyzmem religijnym, organizacyą wewnętrzną, a czyniąca ich w organizmie społecznym ciałem obcem i wielostronnie szkodliwem.

Zarzut to jest nietylko najcięższy ze wszystkich, ale jedyny, którym, nie rozmijając się ze sprawiedliwością, specyalnie Żydów obarczyć można. Naturalnie obarcza on w pełni tylko nieoświecone masy żydowskie. Stopień słuszności jego zmniejsza się, w miarę posuwania wzroku, od warstw najciemniejszych ludności ku najoświeceńszym.

Żaden oświecony Żyd nie różni się już w ubiorze i mowie ze współobywatelami swymi. Żaden oświecony człowiek, do jakiegokolwiek plemienia należący, fanatykiem religijnym być nie może, i jeżeli nim pozostaje, składa tylko dowód, że oświata jego jest pozorną.

Pomiędzy Żydami zjawisko to, wynikające z przyczyn wielu skomplikowanych, tem rzadszem bywa, że religijny fanatyzm ich taje z wielką łatwością pod promieniami oświaty. Znikanie więc odrębności żydowskiej postępować musi równolegle z rozpowszechnianiem się pomiędzy nimi umysłowego i towarzyskiego ukształcenia. Rzecz to zresztą, jak mi się zdaje, ogólnie uznana i zjawia się tylko obok niej niezmiernie ważne pytanie: jakimi sposobami wielka siła oświaty zwalczać ma wielką też siłę odrębności, wyrobionej w przymusowym rozwodzie z oświatą, w którym przez długie wieki plemiona Żydów utrzymywano?

O zapytaniu tem i możliwych na nie odpowiedziach — później.

W tem miejscu konieczne jest zwrócenie szczególnej uwagi na punkt zarzutu tego, na którym znajdujemy wyraz: nieobywatelskość.

Niestety! zupełnie sprawiedliwie spada on na ogromną większość ludności żydowskiej; bardzo też szkodliwie wpływa na usposobienie względem niej tych nawet z pomiędzy chrześcijan, których wolnomyślność pobłażliwie przesuwa się po wszelkich innych objawach ich odrębności.

Wyłączywszy naturalnie grupę Żydów, całkiem już w cywilizacyę krajową wszczepionych i których, zdaje mi się, obarczać zarzutem nieobywatelskości nikt nie ma prawa ani chęci, masy ludności żydowskiej nieoświeconej lub trochę tylko oświeconej nie okazują ani dbałości o interes kraju, ani zamiłowania w tradycyi, mowie i obyczajach jego. Jeżeli jednak zechcemy rozszerzyć nasz krąg widzenia i okiem, wolnem od złudzeń, spostrzedz to, co na tym samym szczeblu hierarchii społecznej dzieje się obok Żydów i niezależnie od nich, ujrzymy, że nie oni jedni znajdują się w tym zawiązkowym stanie politycznego ukształcenia. Znajduje się w nim także większość naszej ludności kmiecej, która, pomimo jedności pochodzenia i wyznania, łączącej ją z wyższemi warstwami społeczeństwa, nietylko obywatelskich cnót nie pełni, lecz najogólniej o istnieniu ich wcale nie wie.

Smutna ta prawda zwiększa się w miarę, jak po linii, przedstawiającej zamożność i oświatę kmiecą, od szczytu jej po-

suwamy się do jej spodu, i od miejsc, sąsiadujących blizko z głównemi ogniskami oświaty naszej, postępujemy ku oddaleńszym odeń zakątkom.

Cóżby ta nieobecność w ludzie naszym pojęć i cnót obywatelskich oznaczać miała?

Czy pierwszej przyczyny jej szukać nie należy w długowiekowem usunięciu ludu od praw i przywilejów obywatelskich?

Czy druga przyczyna jej nie spoczywa w tem, że dbałość o interesy kraju i czynne, często nawet ofiarne służenie im, wykwitać mogą tylko na gruncie, długo i dobrze uprawianym przez cywilizacyę?

Wątpić wypada, aby nieoświecony i srodze krzywdzony chłop francuski z XVI i XVII wieku nosił w sercu i zrozumieniu taką dbałość o wielkość i pomyślność Francyi, jaką odznaczać się zaczął od czasu, gdy koniec wieku XVIII nadał mu nazwę i prawa obywatela. Twierdzić można na pewno, że ciemny jeszcze, zabobonny, w kęsie ziemi swej wszystko swoje widzący mieszkaniec podnóży pirenejskich, nie mógłby zdobyć się na taką energię i oporność, jaką okazała oświecona, przemysłowa, mnóstwo ognisk oświaty posiadająca ludność Alzacyi.

Chłop czeski w proporcyi dziewięćdziesiąt dziewięć setnych czytać po czesku umiejący, pełen tradycyi opowiadających mu o udziale w religijnych i politycznych zatargach branym przez przodków jego, stały czytelnik dzienników, w stolicy kraju wychodzących, obyczajami i zwyczajami niezbyt oddalonych od obyczajów i zwyczajów inteligencyi krajowej, przesiąkłej nawskroś duchem demokratyzmu — przedstawia istotną i świadomą siebie siłę polityczną. Tylko plemiona pierwotne i narody, od szczytu do podstaw cywilizowane, łącznie i spójnie działać mogą, pierwsze zarodkowy patryotyzm okazują bronieniem siedlisk swych z zajadłością zwierzęcą, sposobami zbliżonymi do tych, które naturaliści niejednokrotnie spotrzegali w organizujących się w celach obronnych zwierząt, popychani motywami, zbliżonymi wielce do motywów, rozkazujących zwierzętom bronić obranych pastwisk lub bezbronną dziatwę. Drugie, z pobudek wznioślejszych i bardziej subtelnych, działają środkami daleko więcej skomplikowanymi, niezmiernie trudniejszymi do zrozumienia i do wykonania.

Przedmiotami ukochania są tu nietylko zasoby żywności i jednostki, obsiadujące ognisko domowe, ale wspomnienia, pragnienia, idee, wysoko w sferach abstrakcyi pływające, a dla

człowieka ciemnego niewidzialne, — wyroby prac i dążeń wiekowych, takie jak: prawa, język, piśmiennictwo, sztuka, obyczaj całkiem człowiekowi ciemnemu nieznane lub obojętne. I zamiast jednodniowej walki orężnej, pobudzanej apetytem do krwi i łupów, toczy się tu ciągła, nieprzerwana, mozolna praca, której gruntem są umiejętności wszelkie, pobudką obowiązek, a jedyną nagrodą ofiar, czynionych z teraźniejszości, nadzieja przyszłości lepszej.

Patryotyzm taki uczuwanym, rozumianym i pełnionym łącznie i spójnie przez klasy społeczeństwa wszystkie może być tam, gdzie wszystkie one wstąpiły już w tę samą porę cywilizacyjnego rozwoju, — gdzie, jakkolwiek jedne z klas przodują innym, prowadzeni zdolni są zrozumieć dążności i ukochać cele prowadzących. Lecz są miejsca, nad któremi panują dwa geniusze, dwu różnych faz rozwoju ludzkości. Z uderzeń się walczących ich skrzydeł tryskają deszcze strzał, niosących w serca ludzkie i losy społeczne, bóle i burze. Miejsca te przedstawiają widok szczególny: robót ukończonych już na punktach jednych a nie rozpoczętych na innych, przestrzeni oblanych światłem i takich, które toną w grubych ciemnościach.

Mieszkańcy przestrzeni oblanych światłem są tam bardzo nieszczęśliwi, nieszczęśliwi w najdroższych interesach i najsilniejszych przekonaniach swoich. Widzą oni, jak prace ich, wykonane przy świetle, pożerają ciemności, jak złota nić ideału, na której zawiesili całe swe życie, słabą jest i do zerwania łatwą, bo mało rąk ją przędło i mało serc do niej przylgnęło.

Niema na ziemi męczarni większej nad męczarnię wodza, który umie zwyciężać i radby życiem okupić zwycięstwo, a patrzeć musi, jak armia jego usypia ciężkim, leniwym snem, i słyszeć musi, jak wszystkie hasła i pobudki jego lecą próżno nad głowami śpiących. Nie dziw, o! nie dziw, jeżeli wódz ten krzykiem złorzeczenia uderzy w te śpiące głowy. Lecz dobrze jest, jeżeli wtedy wielki geniusz filozofii ujmie złorzeczące ramię jego i rozkaże mu myśleć nad tem: dlaczego ta armia śpi?... Z rozmyślań tych wyjdzie on może smutny, ale nie nienawidzący.

W rozmyślaniach tych ukaże się mu surowa postać historyi, z żelaznym łańcuchem przyczyn i następstw w dłoniach, otoczona orszakiem dziejowych przestępstw i kar. Powie mu ona, że pokolenia ludzkie dźwigają na barkach swych odpowiedzialność za czyny odległych w przeszłości pokoleń, że od tej odpowiedzialności, od tej niezłomnej solidarności wieków, na-

ród i wiek żaden wolnym być nie może. Powie mu ona, że zbiera on teraz to, co zasiała przeszłość, a przyszłość zbierać będzie plony jego siejby.

Tak w ciemnych masach ludu naszego, jak w ciemnym tłumie żydowskiej ludności, przychodzi nam siać to, czego nie zasiały wieki minione. Obywatelskie pojęcia, uczucia i dążenia nie istnieją w nich, bo istnieć jeszcze nie mogą, bo przyjdą, przyjść muszą wraz z przyzwyczajeniem do brania współudziału w obywatelskich prawach i godnościach. Obie te grupy społeczne od bardzo niedawna dopiero zrzuciły z barków swych gniotący je długo ciężar poniżenia, od bardzo niedawna otworzyły się przed niemi na oścież przybytki umysłowego światła. Dwa dziesiątki lat nie mogą zniszczyć roboty kilku wieków. Nie nienawiści tu potrzeba, nie złorzeczeń ani wzgardy, lecz przeciwnie filozoficznej wyrozumiałości, życzliwej pomocy, cierpliwego oczekiwania na wyniki wytrwałej pracy. Praca ta względem Żydów i łatwiejszą jest i trudniejszą, niż względem chłopów. Ułatwia ją bystrość umysłowa Żydów, ruchliwość i częstsze, liczniejsze stykanie się z oświeconemi klasami na polu interesów różnostronnych, utrudnia różność języka i wyznania, zaciekłość religijna, spotykająca się z takąż zaciekłością strony drugiej, nadewszystko zaś, wiekami wyrobione, niechętne i wzgardliwe uprzedzenie, które wśród warstw oświeconych w stosunku do chłopów zniknęły całkiem już prawie, w stosunku zaś do Żydów trwają w mniej silnem, niż dawniej, lecz w silnem jeszcze natężeniu.

Mamy prawo i nawet obowiązek spostrzegać w Żydach brak obywatelskich uczuć i dążności; mamy prawo żądać od tych z pomiędzy nich, którzy już zrozumieć je mogą, aby dopomagali nam w zasiewaniu ich pomiędzy tymi, którzy jeszcze ich nie rozumieją; mamy prawo walczyć z odrębnościami, ilekroć one, budując pomiędzy nimi a oświatą mur przegrody, tamują zbliżenie się ich ku poznaniu i miłowaniu obywatelskich obowiązków. Ale nie mamy prawa potępiać Żydów, jako takich, za to, czemu pod wpływem wiekowych przyczyn nie ulegli nic jedni tylko oni; nie mamy prawa twierdzić, że Żyd, jako taki, dobrym obywatelem kraju być nie może; nie mamy prawa wierzyć w kaprys natury, która wytworzyła lud-potwór i nam go w podarunku przyniosła. Część podarunku tego rozsiała ona przecież pomiędzy ludy inne, a są takie, które się na to nie skarżą. Jeżeli chwilę zastanowimy się nad tem, pojmiemy z łatwością, iż nie skarżą się one na to dlatego, że przez ostatnie stulecie orały

grunta swoje wszystkimi pługami, wykutymi przez nowożytne pojęcia prawne, ekonomiczne i naukowe. Uprawa ta dała im poprawne gatunki społecznych plonów. My, od lat stu, więc przez czas najwyższych ruchów ludzkości naprzód... Lecz jeżeli dowodzi to, że istnieją na ziemi tamy, wstrzymujące bieg postępu, nie dowodzi istnienia plemion-potworów, plemion niepoprawnych, plemion niezdolnych do sięgania ku szczytom cywilizacyi.

Pominę wiele innych zarzutów, czynionych Żydom, a które są mniej lub więcej ważnymi odcieniami już wymienionych. Są one też wszystkie mniej lub więcej słusznymi, lecz tak jak tamte spadać nie mogą specyalnie tylko na Żydów, ani wyprowadzonymi być powinny ze specyalnej natury żydowskiej. Te i tamte, wymienione i pominięte, przedstawiają sobą przywary i ułomności właściwe ogólnej ludzkiej naturze, dające się odnaleźć w różnych stopniach i pod różnemi formami w gronie plemion i grup społecznych innych. Jeżeli zaś niektóre z nich silniej piętnują ludność żydowską i w większem wśród niej, niż gdzieindziej, znajdują się natężeniu, to większą wybitność tego piętna i siłę tego natężenia przypisać wypada przyczynom dziejowym i społecznym, z których zmniejszaniem się i znikaniem, zmiejszać i znikać one będą.

Zatrzymam teraz przez chwilę uwagę czytelnika na zaletach Żydów, wnioskach najpowszechniej z nich wyprowadzanych i tych, do których, wedle mnie, wieść one powinny.

Niewiele jest pomiędzy nami takich, którzyby nie przyznawali, że Żydzi, obok brzydkich wad nieuczciwości, pychy, odrębności i nieobywatelskości, posiadają w plemiennej swej naturze zalety takie, jak: przemyślność, zapobiegliwość, oszczędność, wielkie zdolności do finansowych obliczeń i działań, umiejętność organizowania się w ciało spójne z częściami dobrze uczuwającemi solidarność swą i pełniącemi związane z nią czynności współczucia i współpomocy.

Wszyscy prawie uznają w Żydach cechy te, lecz nie wszyscy zgadzają się z tem, aby były one dobrymi ich przymiotami, to jest, aby to, co gdzieindziej niezmiernie jest pochwalanem, tu na pochwałę zasługiwało, i to, co gdzieindziej przedstawia wynik wysokiego uspołecznienia, tu przedstawiać mogło materyał do budowań społecznych przydatny i pożądany.

O tych dodatnich stronach plemienia żydowskiego mawiamy zwykle z przekąsem, bo jak, twierdzimy, na złe nam one wychodzą. Racya niedobra.

Umysł krytyczny, w rozbiorze przedstawiającego się do ocenienia przedmiotu, nie wychodzi z punktu osobistych interesów. Objektywność, czyli spoglądanie na przedmiot z bezosobistego stanowiska, wymagana już dziś jest nawet w powieści. Czyliżby socyologia miała we względzie tym na niższym stopniu rozwoju pozostać? Przemyślność i zapobiegliwość Żydów przeradza się często w chciwość bez skrupułów, w umiejętność wyzyskiwania innych klas społecznych. Prawda to niezaprzeczona, lecz wdzięczną będę temu, kto mi ukaże tę ziemię obiecaną, ten naród szczęśliwy, w którymby światła istniały bez cieni. Człowiek każdy i naród każdy posiada wady zalet swoich. Ilekroć silna wola przerodzi się w upór, dobroć serca w słabość charakteru, entuzyazm w szał, poetyczność w marzycielstwo, ostrożność w nieruchomość, odwaga w zuchwalstwo i t. d., tyle razy przymiot dobry przeradza się w zły. Metamorfoz takich ludzkość cała jest pełna. Nie idzie zatem, aby siła woli, dobroć serca, zapał, poetyczność, ostrożność, odwaga etc. same przez się dobrymi przymiotami nie były. Należy tylko uprawiać je tak i taką atmosferą otoczyć, aby przetworzyć się mogły jak najmniej w odpowiednie im wady.

Przemyślność i zapobiegliwość właściwe Żydom, wyrobione w nich przez długie wieki egzystencyi niezmiernie utrudnionej, a w jeden wyłącznie kierunek pchniętej, są same przez się siłą wytwórczą pożyteczną i pożądaną w nowożytnem społeczeństwie każdem. Aby zaś przeradzały się one w chciwość i nieprawne wyzyskiwanie o tyle tylko, o ile ogólna natura ludzka i pewne wyniki cywilizacyi naszej do przeradzania się takiego je skłaniają, o ile przeradzaniu się takiemu ulegają one w plemionach i krajach wszystkich, trzeba dać im odpowiednią uprawę i atmosferę. Uprawą tą i atmosferą nie może być nic innego, jak oświata i równiejszy niż dotąd pomiędzy różnemi grupami społeczeństwa podział prac.

Jak w błędnem kole, z jakiegokolwiek punktu w sprawie tej wychodzimy, niezbędnie spotykamy się z wyrazami: oświata i sprawiedliwość.

Umiejętność Żydów organizowania się w dobrze spojone i jednomyślnie działające ciało szkodliwą nam jest teraz, bo we wnętrzu spójnej tej i jednomyślnej organizacyi tkwi obojętność dla interesów ogółu, a czasem i pewien względem nich antagonizm. Lecz usuńmy na chwilę z przed oczu interesy swoje a zdolność ta do współczucia i współpomocy, ta siła braterstwa zawiązanego w walkach niedoli, okaże się przymiotem pięknym,

tak w pracy uspołeczniania się, jak w walce o byt bardzo pożądanym.

Interesy swoje, na chwilę tylko, w celu wyrobienia w sobie objektywności sądu, usunąć z przed oczu możemy. Natychmiast potem wrócić do nich winniśmy. Myśląc zaś o interesach swoich, nie możemy nie przyznać, że przyjęcie w moralną ekonomię społeczeństwa naszego żywiołu, posiadającego zdolność organizowania się i solidaryzowania, musi sprowadzić dla nas pożytki bardzo znaczne.

Idzie o to, aby zdolność ta wystąpiła z odrębnego koryta, które płynie dotąd, aby, zamiast mącić, zasilała rzekę wspólnego życia. Zajść tu może wątpliwość, czy Żydzi, tracąc odrębność, zachowają organizacyjną zdolność?

Zdaje mi się, że ręczą za to wysoce rozwinięte w nich praktyczność i wprawa do czynności, wykonywanych przez wieki w celach obronnych. Różnica w tem, że nie będą oni jak teraz organizować się tylko pomiędzy sobą, lecz pracę organiczną ułatwią społeczeństwu, któremu była ona zawsze i jest dotąd bardzo trudną.

Bardzo trudnemi dla nas do zdobycia i wykonywania są te właśnie wszystkie zdolności, któremi najbardziej odznaczają się Żydzi. Cechy plemienne z jednej strony a historya z innej, wytworzyły w nas pewien rząd sił i pewien rząd nieudolności, a są nieudolności, które w czasach naszych w wysokiej mierze warunkują byt narodów i do wysokiego stopnia decydują o ich losach.

Żyjemy w epoce niezmiernego rozwoju przemysłu; mało rozwinięta przemyślność nasza obniżać musi w sposób szczególny pozycyę naszą na rynku europejskiej konkurencyi. Żyjemy w czasach, które moralnym i umysłowym postępom dały za podstawę materyalny dobrobyt; słaba zapobiegliwość nasza i pewne nawet dobre przymioty charakteru naszego, utrudniające nam oszczędność, sprowadzają powolność i kruchość ekonomicznych i finansowych robót naszych. Okoliczności pewne, rządzące istnieniem naszem, sprowadziły dla nas wyjątkowo nakazującą potrzebę prac organicznych, dokonywanych przez dobrze spojone, solidarne z sobą siły społeczne; potrzebę tę dostrzegliśmy jasno i przyjęliśmy ją za programat dla dążności naszych, lecz czyż sposoby, jakimi pełni się ten programat, kogokolwiek z nas zadowalają w zupełności?

Jakiż stąd wniosek?

Ten chyba, że pewne przymioty żydowskie, wnikając

w organizm nasz, wniosłyby weń zdolności, nam szczególniej potrzebne, bo posiadamy ich, względnie do niezmiernych potrzeb naszych, sumę niezmiernie małą. Ze strachu przed brzydkiemi przywarami zrzekać się pięknych przymiotów nie powinniśmy. Naprzód powiedzmy sobie, że są to przywary ogólnie ludzkie, które zapewne u Żydów znajdują się w większem, niż gdzieindziej, natężeniu, od których jednak najpewniej i my wolnymi całkiem nie jesteśmy.

Następnie zważmy, że narodowy charakter nasz, mocą przymiotów swoich i samych nawet wad swoich przymiotów, zawsze do stopnia pewnego tępić będzie zbytnie zaostrzenia i tłumić zbytnią wybujałość cech takich, jak: przemyślność, zapobiegliwość, oszczędność.

Nakoniec i nadewszystko wierzmyż, wierzmy tak, ja wierzą inne narody, w dobroczynną, wielką potęgę światła, światła krzesanego przez naukę i wszystkie umysłowe i społeczne wyniki jej postępów przy świetle tem, jak złe sny minionej nocy, rozpraszać się będą straszne metamorfozy, z cnót i zalet ludzkich czyniące występki i wady. Przy świetle tem znikną drogi puste i drogi przeludnione, sprowadzające tu ciszę śmierci, tam duszący ścisk w jeden kierunek pchniętego życia. Przy świetle tem oczy, które dziś w ziemię tylko patrzą, potrafią spojrzeć w górę, a te, które przywykły nazbyt spoglądać w obłoki, spostrzegą, że do wzniosłych ideałów prowadzą często poziome drogi ziemskie. Ale i do szybszego rozpalenia światła tego Żydzi nam mogą być przydatnymi bardzo. Posiadają oni nietylko przyznawane im ogólnie finansowe zdolności, ale i inne jeszcze, te, które czyniły ich gorliwymi uprawiaczami nauki, ile razy klucz fanatycznych wyłączeń nie zamykał przed nimi wrót ich przybytków.

Nie zamierzyłam kreślić tu ich historyi, oszczędnie więc tylko przytoczę kilka zaczerpniętych z niej faktów. Starożytność pomijam, bo z wyjątkiem Grecyi i Rzymu, jako jej ucznia i naśladowcy, nie była to faza rozwoju ludzkości, sprzyjająca naukowym pracom i wytworom. Później jednak nastręczają się wnet pamięci Aleksandrya i t. zw. helenizujący jej Żydzi; nauka arabska i szeroki udział, brany w niej przez Żydów, medycyna średniowieczna, gorliwie przez Żydów uprawiana; rzadkie przez ciąg wieków średnich otwieranie przed Żydami szkół i wszechnic Francyi, Anglii, Niemiec i rychłe bardzo wykluczanie z nich tłumów uczni, które chciwie korzystały z chwilowo udzielanego im prawa. W historyi naszej mamy także piękny moment pełnego tolerancyi postępowania z Żydami i rów-

noczesnego z niem silnego popędu tychże ku krajowej oświacie. W stuleciu naszem, tam, gdzie równouprawnienie Żydów z autochtonami wobec szkoły stało się czynem, Żydzi ciemni całkiem zniknęli, prędko i ryczałtowo wpływając w sfery umysłowo oświecone. U nas, od lat dwudziestu niespełna, otaczające ich z tej strony zagrody upadły. Jesteśmy naocznymi świadkami wielkiego ich w tym czasie popędu ku szkole. Przez czas ten stosunkowo krótki nieruchoma ta przedtem, zbita w ciemności masa rozszczepiła się już na warstwy. Z pomiędzy warstw tych spodnia jest jeszcze nieporuszoną, ciemną i zarazem najgrubszą, lecz nad nią istnieje już półświatło, a nad tem półświatłem grupa tych, którzy, silnie zaszczepieni na cywilizacyi krajowej, oddają jej dobre i znikąd zaprzeczeniu nie ulegające przysługi. Warszawa zaprzeczyć nie może istnieniu tej grupy, ani udziału branego przez nią w nauce, literaturze, sztuce i innych gałęziach umysłowości krajowej. Jeżeli grupa ta nie jest liczniejszą, a istniejące poniżej półświatło czyściejszem i jaśniejszem, jeżeli warstwa spodnia ludności żydowskiej jest jeszcze tak na nieszczęście ciemną i nieruchomą, przypisać to należy krótkości czasu i wyjątkowości położenia, sprowadzającego szczupłość i małą dla ogółu dostępność źródeł nauki. Że jednak z tych źródeł, jakie istnieją i w miarę ich dostępności, Zydzi korzystają tłumnie, poświadczy o tem statystyka średnich szkół i jedynego uniwersytetu naszego każdemu, kto zajrzeć do niej spróbuje. Dla naszego zaś społeczeństwa ten silny popęd ku nauce jednej ze składających je grup niezmiernie pożądanym jest i pożytecznym być musi. Naprzód poręcza on za możliwość wydźwignięcia Żydów z odrębności ich, przez oświatę, do której są skłonni; następnie wzmódz musi sumę inteligencyi naszej, na której zbyteczny rozrost wyrzekać nie możemy. Wzmagając ją ilościowo, Żydzi, zbratani z cywilizacyą naszą i na gruncie jej naukowo ukształceni, zmodyfikować mogą jakościowe jej ustosunkowanie.

Jak u wszystkich narodów z cywilizacyą starą, ustosunkowanie to nadało w umysłowości naszej znakomitą przewagę konserwatyzmowi nad postępowością, rutynizmowi nad ruchliwem szukaniem dla myśli i pracy dróg nowych. Przewagę tę okoliczności zewnętrzne zwiększają u nas do stopnia, na którym senność, początek snu wiecznego, grozić zaczyna. Nie chcę bynajmniej twierdzić, abyśmy o mocy własnej z senności tej otrząść się już nie mogli. Owszem, wiedząc dobrze, co ją sprowadza, wierzę silnie, że prędzej czy później przed energiczną

czynnością ustąpić ona musi. Ale tymczasem zmiatanie z mózgu społeczeństwa usypiających go maków bardzo jest trudnem i zewsząd utrudnianem zadaniem. Żydzi ukształceni mogą nam w pełnieniu go dopomódz dzielnie, przez przyrodzoną ruchliwość swą, która, towarzysząc im na polu zajęć przemysłowych, nie opuszcza ich i na drodze umysłowych kombinacyi i społecznych działań.

Wszędzie, gdziekolwiek istnieją Żydzi ukształceni, przedstawiają sobą żywioł postępu. Było to to może jedyną z wielu przyczyn klęski, świeżo na nich spadłej, w ciągniętych wstecz Niemczech.

Przyczynia się to może sporo do uczuwanej względem nich niechęci w społeczeństwach, najmocniej zabarwionych konserwatyzmem. Ale pomimo klęsk i niechęci wszelkich, fakt pozostaje faktem.

Żyd, który raz otrząsł się z pęt wyznaniowych i tradycyjnych, z zapałem i żarliwością neofity wierzy w postęp, kocha go i pracuje dla niego. Zapał ten i ta żarliwość w społeczeństwach młodych, zmąconych, zaczynających zaledwie szukać dróg swoich, z łatwością zabiegać może ku tym reformatorskim krańcom, na których istnieją liczne absurdy i niebezpieczeństwa. My przecież tej jeszcze z pomiędzy wybujałości zalet ludzkich lękać się nie powinniśmy.

Żyd ukształcony na gruncie cywilizacyi naszej przyjmuje nieraz z nią tradycye, obyczaje i gusty, które dla reformatorskiej żarliwości jego silnymi są regulatorami. Do cywilizacyi tej przywiązuje się on szczerze, bo kochać ją ma za co; a przywiązanie to nie pozwala mu rozstrzygać losów jej w grze hazardowej. Lecz z innej strony postępowość jego, miarkowana moralnemi siłami naszej cywilizacyi, miarkować może wzajemnie konserwatyzm nasz, w który wszystko zdaje się nas pogrążać. Postępowość jego, na naszym konserwatyzmie zaszczepiona, może być jedną więcej siłą dodaną do sił gromadzonych przez nas od wieków, jednym więcej bodźcem w szczupłej ilości bodźców, pchających nas po drodze rozwoju. Jakimkolwiek przyczynom przypisać ją zechcemy: plemiennej naturze, która zachowała w sobie coś z upałów i jaskrawości Wschodu, czy łatwemu opadaniu z ukształconego Żyda pęt wyznaniowych, czy też zrozumiałej bardzo miłości dla idei nowożytnych, uczuwanej przez tych, którym idee te wybawienie przyniosły — postępowość Żydów zaszczepionych już na cywilizacyi spółczesnej jest faktem oczywistym i stwierdzonym. Jest ona faktem, który w zbioro-

wem życiu naszem czynność ważnej siły pomocniczej zespolić musi wtedy, gdy ogół Żydów przekonanym zostanie, że pomocnicze czynności względem nas spełniać powinien, a my ze swej strony uznać zechcemy, że pełnić je on może.

* * *

Kwestya żydowska posiada dwa główne i wybitne punkty, z których rozważaną być musi.

Na jednym z nich znajdujemy pytanie: co dla pomyślnego jej rozwiązania Żydzi uczynić powinni i mogą?

Na drugim: co w celu tym samym my, chrześcijanie, czynić powinniśmy i możemy?

Umyślnie używam dwu wyrazów: powinność i możność. Pierwszy przedstawia teoryę, drugi—praktykę. Nie zawsze teorya natychmiast wprowadzoną w praktykę być może i obie strony we wzajemnych na siebie zapatrywaniach pilnie uwzględniać to powinny.

Lecz znowu, jakkolwiek teoryi w całej rozciągłości rychło urzeczywistnić niepodobna, konieczne jest, aby umysły posiadały ją jako punkt wyjścia dla działań możliwych, jako wytyczną linię myślenia i postępowania.

Co Żydzi dla pomyślnego rozwiązania kwestyi uczynić mogą i powinni?

Przedewszystkiem — jacy Żydzi? powtarzam: ludność ta rozszczepiła się na trzy warstwy: oświeconą, półoświeconą i całkiem ciemną.

Zacznijmy od półświatła: przedstawia je mieszczaństwo żydowskie, średnio dostatnie prawie wyłącznie trudniące się przemysłem i handlem.

Sfera ta składa się z pokolenia, które nie otrzymało oświaty szkolnej, lecz poznało już jej dobrodziejstwa i obdarzyć niemi usiłuje pokolenie młodsze. Jest tu wielka liczebna przewaga rodzin, posyłających dzieci do szkoły i usiłujących domy swe okryć pozorami cywilizacyi. Wyznaniowość w formie złagodzonej i główne akty kultu istnieją tu jeszcze, ale stare przyzwyczajenia nawpół lub i całkiem zniknęły. Wyłączny krój odzieży zmodyfikował się albo i upodobnił zupełnie do europejskiego; tradycyjne nieporządki domowych urządzeń — częścią z właściwości ras wschodnich, częścią z długowiekowych nędz wyniesione — ustąpiły przed pretensyonalną nieraz i na okaz

wystawioną wykwintnością; żargon, ulepiony z kilku połamanych języków, zastąpiony został tu i owdzie językiem krajowym, w większości wypadków, jednym z języków ościennych. Warstwa ta posiada zalety, które czynią z niej wielce cenny materyał społeczny. Oczyszczona już w większej części z chuci i przyzwyczajeń brudnego szachrajstwa, umie ona tworzyć dobrobyt rodzin i przerabiać bogactwa kraju sposobami mniej więcej godziwymi. Panuje wśród niej wielka czystość obyczaju domowego i wielkie, wzajemne ku sobie przywiązanie członków, składających rodziny. Panuje też wśród niej popęd do cywilizacyi silny i szacunek dla niej, objawiający się często w formie nieledwo czci zabobonnej. Szacunek ten i ta cześć dla wszystkiego, co przedstawia wyższy stopień cywilizacyjnego rozwoju, jest niezaprzeczenie pierwszem źródłem samych nawet śmieszności jej, jako to: chełpliwego popisywania się cywilizowanym strojem, cywilizowanem urządzeniem domów, cywilizowanymi językami.

Z pozoru śmieszne, w gruncie swym objawy te są bardzo godne uwagi, świadczą one o istnieniu popędów, dziś znajdujących się w stanie podobnym do dzieciństwa, lecz które przedstawiają co najmniej pierwiastki i zasiew pomyślnej przyszłości.

Czegoż więc tej warstwie ludności żydowskiej niedostaje, aby zalety jej ze stanu materyału społecznego, w jakim się znajdująprzeszły w stan wyrobionej i czynnej siły społecznej?

Niedostaje jej dwu bardzo ważnych rzeczy: trafniejszego i podnioślejszego, niż dotąd, zrozumienia istoty cywilizacyi i stalszego przyjmowania jej w formach takich, w jakich wyrobiły ją: historya, piśmiennictwo, mowa i obyczaje rodzinnego ich kraju.

Dwu tych rzeczy niedostaje średniej, półoświeconej warstwie ludności żydowskiej i dla tego głównie, może wyłącznie, nie zajmuje ona w szacunku i sympatyi publicznej tego miejsca, jakie zajmowaćby już mogła, gdyby dwa zboczenia te poprawiła, czy dwie te próżnie zapełniła.

Niedawno, w noworoczniku dla średnich klas żydowskich przeznaczonym, usiłowałam zwrócić uwagę ich w tę samą stronę.

Pisałam tam i powtarzam teraz, że znaczna, przeważna zapewne część ich spostrzega cywilizacyę z powierzchownej tylko, materyalnej jej strony — pojmuje ją jako narzędzie, ułatwiające zdobycie osobistych celów: zadowolenia próżności, na-

sycenia pożądań, podniesienia się na szczeblach hierarchii społecznej, słowem, osiągnięcie jak najwyższej sumy jakiegokolwiek rodzaju korzyści i uciech.

Niechaj mi wolno będzie, jako ilustracyę do twierdzenia tego, przytoczyć tu jedno z osobistych spostrzeżeń.

Znałam zblizka Żydówkę pewną, do klasy średniego kupiectwa należącą, kobietę uczciwą, matkę rodziny dobrą i czynną. Cywilizacya była ideałem jej, ku któremu dążyła sama i skierowywała swe dzieci. Pod jaką postacią przedstawiała się jej ona? Przedewszystkiem pod postacią bardzo pięknej fontanny, widzianej raz w czasie chwilowego pobytu w wielkiem mieście; następnie w postaci pań i panów, pięknie ubranych i mających delikatną manierę; następnie jeszcze w postaci grania na fortepianie; nakoniec w postaci mówienia po niemiecku. Stosując się do tego ideału swego, usiłowała ona w stosunkach domowych i towarzyskich zastępować żargon żydowski językiem niemieckim, często bardzo opowiadała o pięknej fontannie, a synów posyłała do szkół w tym, jak się zdaje, wyłącznym celu, aby w przyszłości mogli oni odznaczać się delikatną manierą i jak najwięcej używać widoku pięknych fontann.

Daleką jestem od twierdzenia, aby cywilizacya tylko pośród Żydów w ciasny ten i jednostronny sposób pojmowaną bywała.

Wiem dobrze, że pozory oświaty posiadają we wszystkich klasach społeczeństwa nikczemnych albo naiwnych czcicieli, że w gruncie rzeczy fontanna czy kareta, delikatna maniera czy wykwintne obejście się, niemczyzna czy francuszczyzna albo nawet angielszczyzna, w wielkiej omyłce tej jednakowe posiadają znaczenie. Lecz pomiędzy średnią warstwą ludności żydowskiej wielka omyłka ta, znana wszędzie, najbardziej jest rozpowszechniona. Dlaczego tak jest? długo dochodzić nie trzeba. Jasnem wydaje mi się, że przypisać to wypada wiekowemu, przymusowemu spotykaniu się Żydów z jedną tylko stroną cywilizacyi, przedstawiającą materyalne jej interesy i manipulacye, a także świeżemu przystąpieniu ich do jej źródeł. Jest to rodzaj olśnienia, doświadczonego na widok odkrywających się nagle przestrzeni szerokich, przeróżnie zabarwionem światłem oblanych. Oko, do świateł tych nieprzyzwyczajone, spostrzega zrazu te tylko z pomiędzy nich, do których najwięcej przywykło. Olśnienie to, wytłómaczyć się dające, sprowadza złe następstwa. Czyniono tych, którzy mu ulegają, ślepymi i głuchymi na idee, będące jądrem i samą istotą cywilizacyi, na idee sprawiedliwości

pomiędzynarodowej i pomiędzyludzkiej, — godzenia interesu własnego z interesem ogółu, — obowiązku, zwracać rozkazującego długi nietylko materyalne ale i moralne — wyrozumiałości, uczącej przebaczenia, ofiarności, umiejącej złożyć korzyści osobiste na ołtarzu publicznego pożytku. Niedostrzeganie idei tych, co najmniej słabe przejmowanie się niemi, sprowadza w średnio oświeconą klasę ludności żydowskiej zapoznawanie interesów krajowych, co najmniej małą o nie dbałość. Wiedzie je ona wprost do politycznego indyferentyzmu, czyli do tej nieobywatelskości, która spada na Żydów najcięższym z pomiędzy wszystkich i zarazem najsłuszniejszym zarzutem.

Jaka na to rada?

Powiedzieć tu można, że upatrywać ją należy w czasie, w powolnem oswajaniu się Żydów z całą przestrzenią cywilizacyi, w stopniowem przyleganiu ich do niej ze stron wszystkich. Zapewne, żadna ważna reforma w usposobieniach i stosunkach ludzkich nie dokonywa się prędko. Jednak z innej strony, nic znowu nie czyni się samo przez się. Popraw społecznych, bądź co bądź, dokonywają ludzie. Przekonania ich i silna wola potężnie przyśpieszają tętna czasu. Podniesienie się moralnego poziomu średniej warstwy ludności żydowskiej przyśpieszyć może wedle zdania mego tylko i jedynie wprowadzenie do domów i rodzin cywilizacyi naszej. Wprowadzenie to nie powinno być częściowe, dorywcze, na pokaz tylko utrzymywane, lecz ogólne, systematyczne, fantazyom i złym nałogom oporne. Fantazyi tylko niezdrowej i złym przyzwyczajeniom domowym przypisać można dziwaczny, wstręt budzący pociąg tej klasy Żydów ku niemczyźnie.

Niemczyzna!

Czy doprawdy Żydzi nasi tak bardzo rozmiłowani są w kraju, z którego wygnał ich do nas bicz najsroższego prześladowania?

Wcale nie; miłości jakiejkolwiek niema w tem ani iskry. Czy bezspornie wysoko rozwinięta cywilizacya niemiecka wywiera na nich tak niezłomną siłę pociągu?

Zważywszy, co z niej czerpią, i temu zaprzeczyć należy.

Nie czerpią z niej oni przecież ani naukowej, ani filozoficznej wiedzy; potoczna zaś mowa, którą od niej biorą, nie może rościć sobie praw do wyższości żadnej nad tę, która brzmi w rodzinnym ich kraju, a Schiller i Heine, wielkimi będąc poetami, nie zajmują w wieszczej plejadzie miejsc wyższych, jak Mickiewicz i Słowacki. Mówić po niemiecku w kraju, posiadają-

cym własny, wysoce wyrobiony, kilka wieków literackiego istnienia liczący język! Mieszkając wśród Polaków, czytać Schillera a nie znać Mickiewicza! przyznajcie, iż jest to po prostu gruba niedorzeczność, bezsens taki, że dziwić się należy, iż wpaść weń mogło plemię z tak bystrym i praktycznym umysłem, fantazya— która byłaby bardzo śmieszną, gdyby nie była nadzwyczaj szkodliwą.

Szkodliwą jest ona przez to, że w was podtrzymuje wielką omyłkę co do istoty cywilizacyi; w nas utrwala niechęć ku wam i wątpliwość o waszej społecznej wartości. Jakież bowiem ideały dostrzeże, jakie ludzkie i obywatelskie obowiązki pojmie i ukocha młode pokolenie wasze, gdy wychowają je domy całkowicie oderwane od gruntu, na którym powstały, z którego czerpią środki dla istnienia swego?

Jakim sposobem w domach tych, mową i wiedzą rozłączonych z resztą społeczeństwa, pokolenie to nauczy się znać ogół, w który niebawem wmiesza się czynnie, szanować prawa jego, służyć jego interesom, pełnić słowem wszystkie te obowiązki, które istotna cywilizacya wkłada na człowieka wzamian za użyczone mu przez siebie dobrodziejstwa?

Więc młode pokolenie to, w szkole i przez szkołę rozłączone z tradycyą żydowską, z żadną już inną przeszłością teraźniejszego momentu nie złączy?

Więc gdy zachwieją się przed nim ideały starożytnej wiary waszej, żadna już miłość, żadne uznanie obwiązku, żadne uczucie solidarności z ogólnymi losami nie zastąpi mu utraconych regulatorów życia, nie rozszerzą mu umysłu, nie staną na straży sumienia, nie wzniecą w piersi szlachetnych zapałów?

Tak, nic z tego stać się nie może dopóty, dopóki domy wasze nie staną się przybytkami mowy i wiedzy, wyrosłej z gruntu, na którym żyjecie, będącej skarbem od wieków gromadzonym przez naród, którego żywota staliście się towarzyszami. I dopóki tak się nie stanie, społeczeństwo to nie może uznać was za towarzyszy dobrych.

Tkwić oddawna we wnętrzu społeczeństwa i nie znać przeszłości jego!...

Zachwycać się obcymi wieszczami, a nie znać i nie czcić dobrych i wielkich jego geniuszów!

Trzymać przed oczyma bibułę zadrukowaną o mil kilkaset, a nie dotykać tej, która codziennie okrywa się wyrazem miejscowych myśli i uczuć — przyznajcie, że jest to znowu niedorzeczność, którą bystrość umysłu waszego dostrzedz i potępić

powinna, że, co więcej, jest to grzech, który w sumieniu waszem głośnym wyrzutem zakołatać musi, że, nakoniec, jest to słuszna przyczyna niechęci i nieufności, których zniknięcia pragniemy wszyscy.

Powtarzam tu to, co pisałam gdzieindziej. W średnio oświeconej warstwie ludności żydowskiej wychowanie domowe młodych pokoleń wymaga ulepszeń ważnych. Ażeby mogło ono z jednej strony wynagrodzić pewne niedostatki szkoły, z innej poprawić pewne przez historyę wyrobione instynkty i przyzwyczajenia, musi dać ono: znajomość mowy, dziejów, piśmiennictwa i wogóle cywilizacyi krajowej.

Przyznać należy, że w niektórych stronach kraju naszego objawia się już pośród średnich klas żydowskich ruch w tym kierunku; że istnieje już wśród nich grupa rodzin, która nietylko zapragnęła oświaty, ale zrozumiała, czem ona jest właściwie i w jakiej formie przyjmować ją należy; że objawy takie, jak warszawskie stowarzyszenie subjektów handlowych, uczciwie i wytrwale pracujące nad połączeniem się z ogółem narodu w mowie, myśli i uczuciach, — jak istniejąca w Warszawie od lat trzech szkoła rzemieślnicza dla dzieci obu wyznań, przez obywateli obu wyznań stworzona i utrzymywana: dobremi są dla przyszłości wróżbami. Niechże zawiązki te rozwijają się energicznie, niech pilna uprawa dobrego siewu sprowadza prędkie i obfite plony. Dzięki częściowej oświacie swej, średnie klasy żydowskie zdolne są już dostrzedz ten z pomiędzy węzłów kwestyi, którego rozwiązanie w mocy ich zostaje. Przed oczami ogółu, którego część stanowią, przed sądem współczesnych i wyrokami historyi, są już oni do pewnego stopnia poczytalnemi. Poczytalność zaś, prędzej czy później, lecz koniecznie i niezbędnie, pociąga za sobą odpowiedzialność.

Dużo inaczej z warstwą spodnią, najgrubszą jeszcze i w zupełnym rozbracie z cywilizacyą nowożytną żyjącą. Jest to w ogromnej większości ludność bardzo uboga, w której też łonie nędze i wypadki, wytwarzane przez ciemnotę, podają rękę tym, które płodzi ubóstwo. Są to rzemieślnicy pracujący ciężko, tem ciężej, że najczęściej nieumiejętnie; są to wyrobnicy różnych gałęzi zajęć i przemysłów ludzkich, dźwigający kamienie, rąbiący drzewo, przewożący ciężary, wynajmujący chude swe ręce za lichy zarobek do robót najniższych; są to drobni przekupnie, z malutkiego kapitaliku, na mrozach i upałach, wydobywający byt swych rodzin cudami prawie przemyślności i wstrzemięźliwości; są to, nakoniec, wiejscy szynkarze, pachciarze, po-

średnicy handlowi, których przebiegłość i umiejętność rachowania nie ujmuje ciemnoty a zwiększa jej szkodliwość. Miejscami, w których tłum ten wychowanie otrzymuje, są brudne i przeludnione izby najuboższych domostw miejskich, pijanym gwarem napełnione karczmy, śmieciem i błotem zasłane targowiska, szkółki wyznaniowe, tak zwane chedery, istne siedliska zabobonów, brutalnych gwałtów, fizycznych i umysłowych udręczeń, baśni, noszących nazwę nauki. Znaczna ich część z przepaści chederów przechodzi jeszcze do pewnego gatunku zakładów naukowych wyższych, które, przy domach modlitwy istniejąc, wyłącznie i tylko wykładanie religii na celu mają. Innych stron umysłowości ludzkiej chedery i bet-ha-midrasze nie znają i uczniom swym nie ukazują. Uczniowie ci, żyjąc w ścianach ich, żyją w czasach Akibów i Gamalielów, w czasach cesarzów rzymskich, obalających w gruzy Jerozolimską świątynę, co najwięcej, w czasach inkwizycyi, za której błogosławionej pamięci, odtrąceni od współczesnej nauki i żywego życia, Żydzi rzucili się w bezdenne odmęty kabały.

Prawowierny talmudysta, czy odszczepieniec chasyd, w księgach kabały widzący początek i koniec mądrości, młody Żyd, ze ścian chederów i bet-ha-midraszów wychodzi w świat nowożytny bez najmniejszego źdźbła wiedzy o nim. Wie on o nim tyle tylko, że byt swój i rodziny swej od niego wziąć musi...

Czy wzamian bytu tego powinien też on ze swej strony czemś go obdarzyć?

Alboż słyszał kiedy o obowiązkach mieszkańców kraju względem tego kraju, o wzajemności przysług, o solidarności interesów jednostek i ogółu?

Bez najmniejszych, elementarnych zadatków pojęć tych, bez cienia nawet jakiejkolwiek o nich wiedzy, z chederów i betha-midraszów przechodzi on znowu tam, skąd wyszedł, do brudnej i przeludnionej izby rzemieślniczej czy wyrobniczej, do napełnionej pijanym hałasem karczmy, do targowiska, na którem w śmieciu i błocie drepcząc, drżącemi rękoma pochwytuje nędzny zarobek przekupnia lub faktora. Że ręce jego drżą, wyciągając się po ten zarobek, i namiętnie chwytają go, nie zważając na to, jakiemi drogami przybywa — nie dziw! W dziecięcym prawie wieku, w wieku, w którym ludzie plemion innych całem brzemieniem ciążą jeszcze na pracy i odpowiedzialności swych wychowawców, on nosi już na swej pracy odpowiedzialność za życie i byt kilku istot. Rodzinne obowiązki i ciężary obarczają

nadzwyczaj wcześnie nadzwyczaj słabą siłę jego wytwórczą. To też usiłuje on często wzmódz wytwórczość przez wyzyskiwanie. Wyzyskuje słabości, namiętności, nieuwagi ludzkie, a pomimo to, w ogromnej większości wypadków, mieszka zawsze w brudnych i przeludnionych izbach najuboższych domostw miejskich, okrywa się łachmanami, a dzieci swe raz tylko w tydzień kawałkiem mięsa lub ryby obdziela. Przez sześć dni w tygodniu on i rodzina jego zachowują post bardzo ścisły, a nierzadko istoty te, wygłodzone przymusowym postem, senny spoczynek znajdują już nie w najciaśniejszej choćby izdebce, ale w kącie, w szczelinie, w norze izdebki, wynajmowanej na spółkę z kilku innemi rodzinami, podobnież szczęśliwym cieszącemi się losem. Ten tylko, kto badał życie tłumu tego, a badał je bez uprzedzeń i niechęci, ten tylko, kto zdolnym jest współczuć ludzkim cierpieniom, gdziekolwiekby one istniały, widzieć i rozumieć może całą bezdnię trawiących tłum ten nędz fizycznych. Są to nędze takie, o jakich najniższe nawet klasy plemion innych w dzisiejszym stanie europejskiej cywilizacyi wyobrażenia nie mają. Zazwyczaj ulegamy pod tym względem optycznemu złudzeniu. Kapitały są w rękach Żydów, powiadamy, oni to wzięli w ręce swe wszystkie bogactwa krajowe. Pomijając, że w twierdzeniu tem spoczywa zasadnicza omyłka, ponieważ ziemia, to największe bogactwo krajowe, w nieznacznej zaledwie części do rąk ich przeszła, zapytać należy, gdy mowa o kapitałach ruchomych, jacy to mianowicie Żydzi stali się ich posiadaczami?

Finansiści, bankierzy, fabrykanci i kupcy na wielką skalę, do pewnego stopnia kupiectwo średnie — lecz na żaden sposób nie ten tłum rzemieślników, wyrobników, szynkarzy, pachciarzy, przekupniów i faktorów, nie ten tłum brudny, cuchnący, wychudły, wygłodzony, stłoczony, który jest takim, bo innym być nie może, bo zarobki jego, zdobywane godziwymi i niegodziwymi sposobami, są zawsze zarobkami nędzarzy.

Niekiedy, tu i owdzie, z tłumu tego, ta i owa jednostka wybije się na wyżyny, na wysoki szczebel dostatku, ale reguła pozostaje regułą, pomimo wyjątków.

Reguła ta przedstawia nędzę i poniżenie, pośród których jedyną złotą nicią pociechy, nadziei, wzniesienia ducha nad czarny kęs chleba, ciężką pracą albo szachrajstwem zdobyty, jest — religia.

Jaka religia?

Taka, jaką ukodyfikowali i milionem komentarzy zaopatrzyli Akiby i Gamaliele, w pierwszych pięciu wiekach ery

chrześcijańskiej żyjący; taka, jaka w XVIII wieku po Chrystusie zjawiła się w Hiszpanii wraz z księgą kabały; taka, jaką w końcu zeszłego wieku wytworzył Izrael Baalschem, wpółdziki twórca sekty chasydów; taka, jaką zrozumieć i wykładać mogą wpółdzicy mełamedzi w chederach i sfanatyzowani rabini w bet-ha-midraszach. Religia ta nie jest wprawdzie tem, za co ją mają chrześcijanie, powtarzający na oślep średniowieczne baśnie, nie jest ona zbiorem przepisów uczących niemoralności. Owszem, jak w każdej pod słońcem religii, pełno w niej wzniosłych wyobrażeń, rozrzewniających legend, rozkazów chodzenia po drogach cnoty. Lecz też, jak w każdem dziele ludzkiem, które odbyło próbę długich wieków, które przerabiały dłonie wielu pokoleń, które nadewszystko stanęło twarzą w twarz z nowożytną nauką, pełno w niej sprzeciwieństw i bezsensów, przestarzałości i zgnilizn, form kultu zasłaniających jądro idei, liter martwych i wydających z siebie tchnienie śmierci. Nic to! człowiek wychowany w chederze, człowiek nie mający najlżejszego wyobrażenia o nowożytnej oświacie, człowiek obarczony tysiącem nędz teraźniejszych i milionem wspomnień o nędzach, które przodków jego udziałem były, — bezwzględnie, namiętnie, ślepo, głucho przywiązuje się do tej religii, do tej jedynej karty, na której, zamiast śmiecia i błota, widzi złote głoski, wypisujące imiona dobrych i pięknych aniołów, do tej karty, na którą przodkowie jego leli deszcze łez swoich; do tej karty, która raz w tydzień wydobywającym się z niej śpiewem kantora wyciska mu z oczu łzy rozrzewnienia, a w której słowa wierząc i której przepisy pełniąc, dowiedzieć się on może po śmierci, co to jest spokój i dostojność, których nie zaznał za życia. Wierząc ślepo i namiętnie, nie rozróżnia on, rozróżniać nie może istoty religii od form kultu, form kultu od zmieszanych z niemi starych zwyczajów. Zwyczaj, utrwalony wiekami wyłączeń i prześladowań, wydaje mu się kultem, kult artykułem wiary.

Długość odzieży, szczególny sposób układania włosów, niejedzenie pewnych gatunków mięs, jedzenie żywności w pewien tylko sposób przyrządzonej, obracanie się ku wschodowi w czasie modlitwy, wczesne wstępowanie w związki rodzinne i wielkie mnóstwo tym podobnych zwyczajów, będących niczem innem tylko przetrwałymi dotąd z przyczyn różnych zwyczajami, poczytuje on za artykuł wiary swej, niemniej ważny, jak jedność Boga lub nieśmiertelność duszy.

Pełen zabobonnej czci i trwogi wobec artykułów wiary, których już najlżejszą krytyką dotknąć nie śmie, w najmniejszym stopniu zdolnym on nie jest do krytykowania tego nawet, co właściwie z wiarą tą w pozornym związku tylko zostaje. Obyczajowa odrębność jego posiada sztuczne, lecz głęboko wrosłe korzenie w religijnem jego sumieniu.

Oto są warunki fizyczne, moralne i umysłowe, wśród jakich żyje ten tłum żydowski. Czy przed sądem naszym i wyrokami historyi poczytalność jego uznaną być może?

Zdrowego rozsądku zapytajmy, czy mamy prawo wymagać od niego wysokiej skali moralności i obywatelskich dążności i uczuć?

Najpewniej nie.

A jednak, dla wspólnego naszego dobra, żądać musimy, aby się zreformował i wszedł na inne drogi. Żądać od kogo? od niego samego?

Byłby to bezsens i byłaby to niesprawiedliwość. Nic jeszcze prawie cywilizacya dla niego nie uczyniła, nic też on dla niej uczynić nie jest w stanie. Wszelakie odzywanie się w tym celu do przewodników duchowego jego życia, do mędrców jego czyli rabinów, byłoby płonnem.

Wyszli oni z łona tego samego tłumu, pod tymi samymi żyją wpływami, a przodowanie swe zawdzięczają wyprzedzeniu innych w fanatyzmie, odrębności i zaciekłemu trzymaniu się wieków dawno minionych. Nie do tłumu tego, nie do jego duchowych przodowników, na tym punkcie kwestyi zwrócić się powinniśmy z żądaniami naszemi, lecz do tych właśnie, którzy stoją na całkiem przeciwnym krańcu żydowskiego społeczeństwa, którzy węzłami przywiązania i solidarności związali się już z cywilizacyą krajową.

Z żądaniami naszemi, słowem, zwrócić się powinniśmy do tej grupy Żydów, która zmieszała się z inteligencyą narodu, jako część jej integralna i z innemi solidarna, która w umysłowej i moralnej ekonomice jego stanowi siłę wyrobioną już i czynną. Są to: finansiści i przemysłowcy zupełnie oświeceni, bardzo potężni i często bardzo rozumni, lekarze, prawnicy, pisarze, uczeni, artyści, wydawcy i t. d. Grupa to tak liczna, że imieniem jej prawie już może być legion. Nikt, zdaje mi się, obywatelskich pojęć i dążności odmawiać jej nie myśli. Istnieją w niej one bezspornie; bywają nierzadko bardzo szczere i głębokie.

Kto wie, czy inteligencya żydowska nasza nie zlała się

z inteligencyą chrześcijańską w duchu i dążeniu szczerzej i silniej, niż w tych nawet krajach, które kwestyi żydowskiej nie posiadają wcale?

Na Zachodzie, pomimo małej liczby zamieszkałych tam Żydów i całkowitego ich zlania się z miejscowemi ludnościami, tu i owdzie budzą się jeszcze podejrzenia o niejakie trwanie ich w myśli i chęci odrębności. Podejrzenie to budzi tam przeważnie, jeżeli nie jedynie związek, noszący nazwę Alliance Israélite i wydawane przezeń, Żydów wyłącznie mające na celu, dzienniki.

Otóż u nas, pomiędzy inteligencyą żydowską a ową Alliance Israélite, łączności niema żadnej; wątpię, czy w domu któregokolwiek ze światłych Żydów naszych możnaby odkryć istnienie drukowanych organów opinii jej i dążności. Ludzie ci, pomimo, że wobec równouprawnienia i zupełnej oświaty znajdują się prawie w pierwszem pokoleniu, oddali już krajowemu gospodarstwu, krajowej nauce, sztuce i literaturze usługi znaczne*).

Istnieje przecież pole jedno, na którem mogą oni w porze obecnej oddać krajowi przysługę pierwszej wagi. Polem tem jest ów tłum współwyznawców ich, o tyle przynajmniej nieszczęśliwy, ile dla różnostronnych interesów kraju szkodliwy, o tyle dziś szkodliwy, o ile przy lepszem skierowaniu się użytecznym być może. Od ludzi, którzy w świetle umysłowem ramię przy ramieniu obok nas już stanęli, z którymi wspólnie łamiemy chleb nieszczęścia i przędziem nić nadziei, od ludzi, którzy cywilizacyi naszej mają już coś do zawdzięczenia i szczere ku niej żywią przywiązanie, mamy prawo żądać i wymagać, aby na tem polu czynili wszystko co czynić mogą. Co zaś właściwie czynić oni mogą?

Propaganda cywilizacyjnych idei, od jednostek na jednostki spływająca, posiada znaczenie pewne, ale niewielkie. Każdy dobry obywatel kraju jest do niej obowiązanym, — nie każdy posiada stosunki i zdolności takie, aby uczynić ją skuteczną. W zbiorowem życiu narodów radykalnie skutecznemi mogą być tylko zbiorowe działania. Żydzi oświeceni bywają często cywilnymi naczelnikami gmin żydowskich: tam zaś, gdzie miejsc tych nie zajęli jeszcze, usilnie zmierzać ku temu powinni. Jako cy-

*) Jak pożądany wpływ liczebne zwiększanie się ich wywrzeć może na rozwój cywilizacyi naszej, wspomniałam wyżej.

wilni, przez państwo zatwierdzeni naczelnicy gmin żydowskich, są oni niejako obowiązani do przedstawiania rozsądzeniu władz państwowych projektów, mających na celu poprawę ekonomicznego lub moralnego bytu gminy. Żądać dobrobytu, spokoju i moralności gmin, jest to postępować w kierunku interesów państwa, bogactwa, spokoju i moralnej potęgi jego. Pierwszym i absolutnym warunkiem wprowadzenia w żydowskie gminy wyższego stopnia dobrobytu i moralności, wydaje się zniesienie szkółek wyznaniowych czyli chederów, tych kolumn, podtrzymujących fatalny gmach odrębności, tych mórz baśni, zmieszanych z jedną kroplą istotnie religijnego nauczania. Nikt żądać nie może i nie powinien, aby dzieci żydowskie wychowywały się w nieznajomości religijnej wiary swych przodków. Lecz niechże zapoznają się z nią, na równi z dziećmi wyznań innych, w szkole świeckiej i podającej im naukę różnostronną, z ust nauczyciela, któregoby oświatę i moralność gwarantowało zatwierdzenie władz gminnych i państwowych. Czy sprawę zniesienia chederów i zastąpienia ich świeckiem pierwiastkowem nauczaniem cywilne zwierzchności gmin żydowskich mogą do pożądanego doprowadzić wyniku?

O czynieniu jakichkolwiek prób w tym kierunku — nie słychać. Jednak niepodobna uczynić czegokolwiek, nic nie czyniąc. Pożądanymi byłyby wielce pierwsze przynajmniej kroki na tej drodze. Coś, co stać się nie może odrazu, staje się często powoli i stopniowo siłą wytrwałości, zręczności i energii starań. Wysoką społeczną zaletą Żydów jest to właśnie, że posiadają oni zdolność do działań wytrwałych, zręcznych i energicznych. Dowodzą jej często na polach ekonomicznych i finansowych, dowiedli jej nieraz już i na innych, wyższych szczeblach cywilizacyjnej pracy, niechże ją wyzyskają i dla tej niesłychanie ważnej roboty społecznej. Robotę tę utrudnia wielce samo już usposobienie żydowskiego gminu. Będzie on zrazu sarkał na to pozbawienie go instytucyi, z którą zżył się, — będzie najpewniej usiłował odtwarzać ją na różne mniej lub więcej uprawnione sposoby. Lecz doświadczenie naucza, że instytucye zestarzałe i z potrzebami czasu niezgodne, przy lada dotknięciu ich przez cywilizacyę i ustawy prawne, pomimo nałogowego przywyknienia do nich ludności, prędko i łatwo tracą kredyt moralny i siłą rzeczy wpadają w falę zapomnienia. Prawne szczegóły tego punktu kwestyi najlepiej są znane tym, którym na rzecz jego działać wypada.

Przed punktem drugim stawię znak zapytania, czy nie

jest niepodobnem, aby Żydzi oświeceni, w porozumieniu z najmniej od oświaty oddalonymi teologami żydowskimi, po otrzymaniu odpowiedniego zezwolenia władz państwowych, sprowadzili w chwili obecnej powtórzenie się faktu, często w historyi Żydów napotykanego, faktu zgromadzenia najlepszych sił intelektualnych plemienia, w celu narad nad rzeczami, tyczącemi się tak wyznania i kultu, jak tradycyjnych obyczajów i zwyczajów. Narady te, noszące nazwę Sanhedrynów, toczone były zawsze w chwilach, dla żydowskiego plemienia szczególnie ważnych i przynosiły mu zawsze wyjaśnienie jakiejś strony jego bytu. Zdaje mi się, że dziś chwila jest ważną i wyjaśnienia wszelkie niezmiernie są potrzebne.

Na pierwszy rzut oka Sanhedryn zgromadzony w wieku XIX wydawać się może anachronizmem. W rzeczywistości jednak nie byłby on zjawiskiem wyosobnionem. Przedewszystkiem zaś w sprawach tego rodzaju nie należy nigdy opuszczać z uwagi tej smutnej lecz widocznej prawdy, że cała ludzkość nigdy nie żyje w jednem stuleciu, czyli w jednej porze cywilizacyjnego rozwoju. Są pomiędzy nami tacy, którzy myślą i pojęciami wybiegli już w wiek XX, i tacy, którzy nie wydobyli się jeszcze z objęć średniowieczności. To, co dla pierwszych jest już zupełnie niewczesnem, drugim oddać może ważne przysługi. W socyologicznem znaczeniu Sanhedryny posiadają tą wyższość nad innemi zgromadzeniami tejże natury, że uczestniczyć w nich mogą nie sami tylko teologowie. Żydzi duchowieństwa, we właściwem znaczeniu tego wyrazu, nie mają. Rabini ich nie są święconymi kapłanami i ziemskimi przedstawicielami bóstwa, lecz tylko tłómaczami religii i dziejów. Każdy człowiek plemienia, do tłómaczenia takiego zdolny, posiada w zgromadzeniach ich prawo głosu.

W wielkim Sanhedrynie lubelskim, odbytym za panowania Zygmunta I-go, brali udział cywilni urzędnicy gmin żydowskich i ich to zapewne uczestnictwu przypisać należy wyrok wieńczący prace Sanhedrynu, a w którym nauka świecka i wierne przywiązanie do rodzinnego kraju wyraźnie i energicznie ludności żydowskiej zalecone zostały*).

Że wyrok ten owoców odpowiednich treści swej nie wydał, nie powinno to nikogo zadziwiać ani zrażać.

Wiadomo powszechnie, że wiek XVIII zepsuł u nas wszy-

---

*) Al. Kraushar. »Żydzi w Polsce«.

stkie piękne roboty wieku XVI; że panowanie Augusta III zaprawiło życie narodu wcale innymi pierwiastkami, niż mądre i szczęśliwe czasy ostatnich Jagiellonów. Jednak wiadomo jeszcze, w XIX już wieku, pod rządami Napoleona I-go, odbył się we Francyi Sanhedryn, a ktokolwiek zechce dowiedzieć się, jakim on był zadatkiem i bodźcem dla postępu Żydów francuskich ku nowożytnemu światłu i połączeniu się z ogółem narodu, niech przeczyta niektóre z licznych dzieł Salwadora. Koniecznem tu jest usprawiedliwienie celu, w jakim mianowicie Sanhedryn winien być zwołany w porze obecnej. Wedle mnie, celem zgromadzenia tego, które w mniejszym lub większym stopniu lecz niewątpliwie budziłoby zaufanie gminu, musiałoby być wyjaśnienie gminowi temu, co w regułach rządzących obecnie życiem jego, artykułem wiary jest a co formą kultu, co formą kultu a co zwyczajem. Takie rozróżnienie wobec gmin istoty religii z jej zewnętrznymi formami i tych jeszcze zewnętrznych form ze zmieszanymi z niemi fatalnie zwyczajami; jasne i stanowcze podporządkowanie rzeczy z punktu religijnego ważnych, mniej ważnych i wagi żadnej nie mających: byłoby, zdaniem mojem, ruchem dokonanym w łonie żydowskiego plemienia ogromnym i wiodącym za sobą cały szereg odpowiednich a nadzwyczaj pożądanych ruchów. Dziś sroga, nieubłagana, nakształt puszczy rozpleniona kazuistyka cięży na sumieniu i materyalnym bycie żydowskiego gminu. Ulżyjcie sumieniu i bytowi temu przez rozgatunkowanie obrastających je skrupułów. Niech ciemny i ubogi rzemieślnik, wyrobnik, przekupień dowie się od was o tem, co jest zresztą istotną prawdą, że religia jego będąca szlachetną wiarą w jedynego Boga i pocieszającą wiarą w nieśmiertelność duszy ludzkiej, zbyt już wysoko stoi w hierarchii ludzkich wierzeń, aby włączać w siebie mogła gruby zabobon, wyrażający się wiarą w kabalistyczne brednie, gruby materyalizm, znajdujący wyraz swój w strzeżeniu powszednich cielesnych potrzeb życia, jak: odzież i pokarm. Niech dowie się on, że religia ta nie wzbrania mu upodobnić się z resztą ludzkości w kroju sukni i innych obyczajach codziennego życia, że różnice i odrębności, których strzeże tak pilnie, których naruszenie grozić mu się zdaje potępieniem, to tylko zwyczaj przechowany zbyt długo, lecz który bez nadwerężenia istoty leligii na inny zamienić można. Niech dowie się on, jakim sposobem, wskutek jakich kolei konieczności dziejowych, wpadł w wielką omyłkę mieszania religijnego kultu z samą religią i prostych zwyczajów z religijnym kultem. Niech dowie się jeszcze, że przyszły czasy,

w których obok mądrości religijnej stanęły nauki inne, wskazujące światu niezmierzone okiem drogi ku szczęściu i udoskonaleniu i że, ktokolwiek na drogi te nie wejdzie, do szczęścia i doskonałości nie dojdzie nigdy. O wszystkich tych prawidłach mówi się i pisze w czasach dzisiejszych wiele, ale gmin żydowski nie słyszy tych głosów i nie czyta tego pisania. A jeżeli i dochodzą go one niekiedy zdaleka, nie ufa im. Nie dziwmy się mu. Długie, straszne wieki nauczyły go nieufności. Najwyższa więc zachodzi potrzeba, aby moralnie zmusić go do wysłuchania i do przeczytania prawd tych i aby podali mu je ci, którym ufać on może. Zapewne i w takim jeszcze razie, nie odrazu runie przez wieki wznoszony gmach odrębności, lecz niech zachwieje się tylko — reszty dokonają potężne prądy czasu. Zróbcie szczelinę, przez którąby one w stęchłe wnętrze przeniknąć mogły. Skłońcie tłum do wytężenia słuchu w stronę, w której ludzie z jego plemienia i jego wiary obradować będą. Obudźcie w nim jeden ruch myśli: zmuście go, aby na jedną minutę wziął z ręki waszej skalpel rozbioru i krytyki. Być może, iż z łona jego strzelą ku wam przekleństwa, lecz z innej strony ozwą się głosy wątpiące o ich sprawiedliwości. A gdy tylko zabrzmią pierwsze akordy sporu nad tem, co dotąd z owczą jednomyślnością wielbione było — przyszłość należy do walczących o światło.

Powtarzam pytanie moje:

Czy nie jest podobnem, aby oświeceni Żydzi pochwycili w swe dłonie inicyatywę sprawy tej i jej kierownictwo, aby utalentowane i uczone ich głosy wespół z głosami najmniej nieoświeconych i najlepszej woli teologów wypowiedziały żydowskiemu gminowi formułę nowego, lepszego życia?

Wierzę w wysoką zdolność ich i w wielką kompetencyę do załatwienia spraw wszelkich, które załatwić pragną.

Mówiąc o obowiązkach, przez gwałtowne potrzeby czasu wkładanych na naszą inteligencyę żydowską, możnaby jeszcze przypomnieć t. zw. szkołę rabinów, która w istocie nie rabinów wcale kształciła i przez czas istnienia swego oddała sprawie oświaty i uobywateleniu Żydów znaczne usługi. Istniała ona w Warszawie, w głównem ognisku naszego umysłowego światła, tam więc, gdzie dziś wszelkie odrębne instytucye wydają się już anomalią więcej szkodliwą, niż użyteczną.

Lecz wypada poddać rozwadze ludzi światłych: czy zakłady podobne, ostrożnie i łagodnie pociągające naprzód masy zacofane i nieufne, nie przyniosłyby jeszcze wielkich pożytków

na prowincyach, w oddalonych i najciemniejszą ludnością żydowską napełnionych zakątkach kraju?

Wiem dobrze, że jest to półśrodek, któremu człowiek w zupełności postępowy wiele i słusznie zarzucić może. Ale czy z głębokich ciemności lud wywiedziony być może na światło inaczej jak przez pół światła?

Czy do popraw radykalnych dążyć może inaczej, jak przez częściowe, byleby zasadnicze poprawy?

Są to pytania, które przedstawiam rozwadze ludzi, z socyologiczną wiedzą obeznanych. Pragnęłabym tylko, aby przed rozstrzygnięciem ich zapoznali się oni z istotą, historyą i rezultatami działalności byłej szkoły rabinów warszawskiej, a także istniejącej dziś w Warszawie szkoły realnej, zostającej pod przewodnictwem p. Dickstejna*).

Możnaby tu jeszcze wiele nawet powiedzieć o skierowaniu części żydowskiego gminu ku rolnictwu, które także za sprawą oświeconych i bogatych Żydów stać się może. Ogólne panuje mniemanie, że Żydzi nie zdolni są do zajęć rolniczych. Być może, iż, usuwani od nich przez długie wieki, nie doświadczają oni istotnie silnego w tę stronę popędu, że, co więcej, fizyczne kompleksye ich, ukształcone fatalnymi hygienicznymi warunkami życia wielu pokoleń, utrudniałyby im zrazu pełnienie rolniczych zajęć.

Z drugiej strony zważyć koniecznie należy, iż nie jest to przecież plemię koczownicze i wszelkiej kulturze oporne, jak

---

*) Mniemam, że nie będzie zbytecznym w kilku słowach skreślony obraz szkoły powyższej: Wszystka młodzież, kształcąca się obecnie w szkole realnej, pierwsze lata nauki swej spędziła w chederach (4 — 5 lat), pewna część po wyjściu z chederów uczęszczała poprzednio i do szkółek elementarnych wyznania mojżeszowego. W szkołach elementarnych nauczyła się ta młodzież czytać i pisać po rosyjsku, po polsku i rachunków, z domu i chederu — posiada znajomość czytania po hebrajsku (niepoprawnie).

Szkoły elementarne wyznania mojżeszowego stoją dotąd na stopie dosyć nizkiej, głównie z powodu braku odpowiednio wykwalifikowanych nauczycieli i małego interesowania się ich sprawami szerszej, wykształconej publiczności. Młodzież, uczęszczająca do szkółek takich, po największej części biedna — po ukończeniu całkowitem lub częściowem szkoły, rzuca naukę,

np. czerwonoskórcy amerykańscy; że owszem, jest to plemię, które niegdyś na ziemi swej ojczystej wiodło życie wyłącznie prawie rolnicze, a dla prac tego rodzaju tak wysoki posiadało szacunek, iż religijne święta swe wiązało z epokami siania i dojrzewania plonów rolnych i w religijno-prawnym kodeksie swym zapisało zakaz ścinania na ziemi podbitej drzew owocowych. Czasy te dawne już są, bardzo dawne, to prawda. Nie przestają jednak świadczyć przeciw asymilowaniu w tym względzie Żydów z czerwonoskórcami amerykańskimi. Wogóle bywamy najczęściej zbyt niecierpliwi. Od jednej godziny wymagamy plonów lat długich. Po kilku próbach, niedołężnie wykonanych, opuszczamy ręce i powiadamy: niepodobna! Tymczasem to, co nie udało się wczoraj, udać się może dziś; co dziś postępuje kulawo i powoli, jutro pójść może prosto i prędko. Najpewniej, dla przyzwyczajenia Żydów do zajęć rolniczych, od których przez kilkanaście wieków odwykać im kazano, trzeba pracy i cierpliwości paru pokoleń. Dziś już jednak na pewno twierdzić można, że dla pewnej części proletaryatu tego własność jakichkolwiek rozmiarów i jakiejkolwiek natury posiadałaby urok wielki. Chociażby to była tylko wieczysta, albo długoletnia dzierżawa, część pewna proletaryatu tego, ujrzałaby w niej ratunek od gniotącej go nędzy. W pierwszem pokoleniu niedołężni i w inne strony starymi nałogami pociągani, w drugiem już, wzmocnieni fizycznie i z nowem położeniem swem oswojeni, mogliby oni uprawiać i przedstawiać drobną posiadłość ziemską tak dobrze jak ludzie inni.

Rozumiem wybornie, że utworzenie tej nowej drogi wy-

---

wyciągnąwszy ze szkoły bardzo niewiele, bo zaledwie mechaniczną znajomość czytania i pisania bez innych podstaw do kształcenia się w kierunku obywatelskim.

Szkoła realna ma za zadanie przyciąganie takiej młodzieży i kształcenie jej dobrze. Dotychczasowy rezultat jest ten, że wielu z tej młodzieży już do szkół publicznych wstąpiło, a znaczna część, przebywając w szkole lat kilka, zyskała podstawy do dalszego kształcenia lub pożytecznej pracy w społeczeństwie. Nie ulega wątpliwości, że ci, co skończą 4 klasy szkoły realnej, nie wrócą już na drogę ciemnoty i zacofania, staną się według wszelkiego prawdopodobieństwa rozsadnikami oświaty pomiędzy ciemniejszą bracią swoją.

Większość uczniów stanowią dzieci gminu żydowskiego

maga wielkiego wydatku woli, umiejętności i kapitału. Mniemam przecież, że nikt z nas w pieczone gołąbki nie wierzy, ani o nich marzy. Można je mieć i spożywać, ale nie inaczej, jak po mozolnem umordowaniu się i niejednokrotnem sparzeniu palców. Takim już być musi proceder wszystkich robót ludzkich.

* *
*

Co my, chrześcijanie, dla rozwiązania kwestyi żydowskiej czynić powinniśmy i możemy?

We względzie teoryi, nad wynajdowaniem jej suszyć sobie głów nie potrzebujemy. Wynaleźli już ją najwięksi mężowie stanu przeszłości naszej. Literatura sejmu czteroletniego, pisma Czackiego, Staszyca, Butrymowicza, działalność margrabiego Wielopolskiego, świadczą o dążności naszej, sto lat już mającej, ku zupełnemu, bezwarunkowemu równouprawnieniu Żydów. Ktokolwiek dziś jest mu przeciwny, rozmija się z najlepszą tradycyą naszą. Argumentów, popierających teoryę tę, obszernie rozwijać niema potrzeby. Są one pacierzem każdego, istotnie oświeconego człowieka. Dla mniej, albo pozornie tylko oświeconych zamknąć je można w kilku okresach. Odbieranie jakichkolwiek praw zdejmuje z sumień tych, których dotyka, odpowiednie im obowiązki, więc w miarę upływania czasu czyni ich do pełnienia obowiązków coraz bardziej niezdatnymi. Wyłączanie z pod praw skłania do ich wymijania, więc szerzy nieuczciwość, hipokryzę, podstępność. Spychanie ludzi z dróg jednych

---

a więc synowie wyrobników, rzemieślników, kramarzy, są i synowie szynkarzy i handlujących. Jest kilku z warstwy chasydów, lecz ci wogóle stronią jeszcze od szkoły i trzeba cierpliwie czekać czasu, aż skierować się dadzą nawet do szkół elementarnych.

Na kursy wieczorne uczęszcza młodzież wyrobnicza, rzemieślnicza i handlowa z klasy ściśle ortodyksyjnej — w ostatnich czasach (przed wypadkami grudniowymi) silnie napływać poczęła młodzież chederowa, t. j. ucząca się w godzinach rannych i popołudniowych w chederach; po wypadkach grudniowych przypływ ten osłabł znakomicie, dziś powoli znów powraca. Pomiędzy uczniami tych kursów widzieć można belferów i starych już rzemieślników.

sprowadza tłoczenie się ich na drogi inne, więc nędzę fizyczną i jednostronne wyrabianie się zdolności, ze szkodą dla innych zaniedbywanych. Poniżenie wywołuje gwałtowną żądzę wywyższenia się, nie przebierającą w środkach. Wyodrębnianie, gardzenie, jakiekolwiek krzywdzenie budzi wzajemne niedocenianie się i nienawiści, czyli najsroższe zboczenia umysłowe i moralne. Nakoniec, ponad wszystkie względy praktyczne wzbija się idea sprawiedliwości, wskaniała rodzicielka wszystkich dobrych uczuć i postępków ludzkich, idea równości ludzi pomiędzy sobą wobec praw i obowiązków, będącej kamieniem węgielnym cywilizacyi. Usuńcie ten kamień, a cała budowa nowożytnego świata upadnie w gruzy i od szczytów swych, od nauki i sztuki, do spodu swego, którym są najniższe prace i losy ludzkie, wszystko pogrąży się w upadek i zgniliznę. Te narody, które najgłębiej już przeniknęły się tą ideą i najlepiej ją urzeczywistnić zdołały, najszczęśliwsze są i najdostojniejsze; te, którym najwięcej jej niedostaje, najsilniej chwieją się na swych podstawach, najobfitsze źródło trucizn w łonie swem noszą. Powtarzam: pojęcia te nie są u nas ani nowe, ani rzadko napotykane. Absolutne równouprawnienie Żydów z innemi klasami ludności staje dziś przed nami w tem samem świetle, w jakiem przed oczami mężów stanu obradujących na czteroletnim sejmie stanęło równouprawnienie mieszczan. Najdroższe imiona przeszłości naszej i znane jej doświadczenia, najwymowniejsze głosy i najgwałtowniejsze potrzeby naszej teraźniejszości, nawołują nas w tym kierunku. Wszystkie prace dla wszystkich, wszystkie społeczne godności dla wszystkich, wszystkie drogi, cele i narzędzia dla wszystkich, wszystkie nadewszystko, o! nadewszystko, źródła oświaty dla wszystkich, oto modlitwa, którą zrana i wieczór słać winniśmy do nieba i ziemi, do umysłów i sumień tych, którzy jej nie umieją jeszcze, i tych, którzy ją z ust naszych na kartę życia przenieść mogą.

Prawie każdy wie o tem, jakie znaczenie miałoby dla kwestyi żydowskiej u nas rzucenie na całą przestrzeń kraju paru tysięcy szkółek pierwiastkowych, zastępujących chedery, nie specyalnie żydowskich, lecz mieszaną ludnością dziecinną, przez prawo przymusowej edukacyi pierwiastkowej, napełnionych.

Każdy wie o tem, czego nie możemy...

Rozejrzmy się na polu praktyki, czyli powinności naszych, których spełnienie od nas wyłącznie tylko albo przeważnie zależy.

Przedewszystkiem powinniśmy poznać Żydów. Dotąd doświadczamy ich tylko, ale bardzo niedokładnie, bardzo źle ich znamy.

Nieznajomość nasza Żydów jest faktem zdumiewającym. Żyć z ludnością jakąś na jednej ziemi przez wieków kilka, co minutę wchodzić z nią w stosunki interesowe, cierpieć od niej wiele, mieć w pamięci sporo wyświadczonych jej przysług i zadanych krzywd, wywodzić na nią ustawiczne skargi, czynić jej milionowe wyrzuty, czuć gorąco całą ważność skierowania się, jakiemu ulegnie — a znać ją tylko i jedynie w osobie Reb Jankla kupca, Szymszela faktora i Abramka lichwiarza, nie znać zaś jej w jej historyi, religii, obyczajach rodzinnych, w tem wszystkiem, co na zbiorową istotę plemienia, na samego ducha jego, szerokie i obfite rzuca światło! Nie prawdaż, że jest to leniwe zaniedbanie się, czy brak wszelkiej ciekawości umysłowej, czy lekceważenie wcale nielogiczne tego, czemu przypisujemy w życiu naszem tak ważną rolę?

Zdaniem mojem, kwestya żydowska kuleje u nas najbardziej z tej właśnie strony. Wyobrażenia nasze o historyi, religii i obyczajach żydowskich są wprost dziecinne. Najśmieszniejszem pod słońcem sprzeciwieństwem, obok Szymszelka i Abramka okrytego cechami najskrajniejszego naturalizmu, przed fantazyą naszą stoi wiecznie Żyd taki, jakim wymalowały go średnie wieki: istota wpół-nadprzyrodzona, tajemnicza, owiana grozą popełnionych zbrodni i dymem siarczanym, wydobywanym z paszczy dyabelskiej przez łacińskie egzorcyzmy. Na dnie duszy naszej, wstydliwie kryjąc się przed obliczem nowożytnej nauki, czai się jeszcze wielka skłonność do wierzenia w religijny przepis żydowski zaprawiania mac wielkanocnych krwią chrześcijańską.

Do pamięci naszej przybywają co pewien czas mętne przypomnienia o jakichś hostyach, niegdyś kradzionych i do drzew przybijanych, o jakichś studniach zaprawianych trucizną, o jakiejś czarnej śmierci, wjeżdżającej do krajów chrześcijańskich na plecach żydowskich.

Niby naprawdę nie wierzymy już w to wszystko, ale w imaginacyi naszej pali się jeszcze iskierka tej grozy, którą napełniały ją bajki piastunek, — ale są jeszcze domy wcale światłe, z których podrostki, w dni, poprzedzające żydowską wielkanoc, wychodzić boją się, aby nie zostać porwanymi przez Żydów, — ale te szczątki czasów minionych, konserwujące się

w klasach oświeconych, podtrzymują pełne ich bytowanie w klasach nieoświeconych.

Bardzo często, w zapale dysput, odzywają się głośne i zupełnie szczere zaprzeczenia, jakoby Żydzi byli kiedykolwiek naprawdę prześladowani i dręczeni. Bardzo rzadko spotkać można pomiędzy nami jeszcze pojęcie o tem, jakie cechy ich, jakim kolejom dziejowym przypisać należy.

Nikt prawie — oprócz garstki uczonych i pisarzy — nie wie na pewno, jakie prawa w ciągu wieków przysługiwały im w kraju naszym, a jakie odmawiane im były i w jakiej mierze byliśmy względem nich lepszymi od narodów innych, a w jakiej dzieliliśmy ogólne dążności czasów, ku wyłączaniu ich i poniżaniu. Wszyscy prawie uważamy ich księgi jako zbiór samych tylko bezeceństw i złorzeczeń przeciw nam skierowanych, a nikogo nie zdejmuje ciekawość zajrzenia w te księgi, dla przekonania się, czy to jest prawdą i do jakiego stopnia jest to prawdą.

Zwracając się zaś ku rzeczem najbliższym już, bo obecnym, czy wiemy, kim i jakim jest Żyd poza interesem pieniężnym, który z nami załatwia, — jakie są domowe obyczaje jego, rodzinne uczucia, uciechy, zabawy, cierpienia, dążności?

Wyobrażamy sobie naprawdę, że Żyd jest maszyną do liczenia pieniędzy, że zrana i wieczorem, w pracy i spoczynku, w święta i dni powszednie, u kolan matki i nad kolebką dziecka, nie myśli on o niczem, nie czuje nic, nie kocha, nie pragnie, nie trwoży się i nie raduje, tylko liczy, liczy, liczy, liczy... Jak Franciszka z Rimini z kochankiem swym wiecznie od skały do skały leci i leci, tak Żyd, w jakimś wymyślonym przez nas nowym kręgu piekielnym, wiecznie liczy i liczy. Zbiorowej istoty tej zatrudnionej wieczystem liczeniem nie spróbowaliśmy nigdy dokładnie przeliczyć.

Czy posiadamy statystykę Żydów naszych, zawierającą rubrykę zajęć ich, stopnia oświaty, obracanych przez nich kapitałów i t. p.?

Czy doszliśmy kiedy, jaki jest liczebny stosunek Żydów posiadających wiele albo cokolwiek i nic wcale nie posiadających, trudniących się handlem wielkim i drobnym, pracami fizycznemi i lichwą, szkodliwą choć trudną pracą kręcenia biczów z cudzego piasku?

O wszystkiem tem mówimy, piszemy, dysputujemy podniesionym głosem i z dziarskiemi albo skwaszonemi minami, lecz mówienie, pisanie, dysputowanie nasze nie ma jedynej podstawy,

którąby je mogła użytecznemi uczynić, podstawy gruntownej, obszernej, na faktach opartej znajomości Żydów. A wobec braku podstawy tej, marzcie o rozwiązaniu kwestyi żydowskiej, jeśli to wam przyjemność czyni, — ja o niem marzyć nie będę, jak nikt rozsądny nie marzy, aby prosto, prędko i bezpiecznie dojść do celu, idąc doń po ciemku.

Gniewalibyśmy się bardzo na sąsiada, któryby, znając osobiście dziesięciu lub dwudziestu z pośród nas, a nie znając wcale historycznej przeszłości, ani przedmiotów wiary i czci, ani wewnętrznych stosunków naszych, wydawał o nas sądy i chciał nam pisać prawa. Posiadamy pośród siebie wielu zatańcowujących się na śmierć; a gdyby na tej podstawie sąsiad nasz twierdzić chciał, że cały naród nasz, w przeszłości swej, teraźniejszości, przyszłości, tańczył tylko, tańczy i tańczyć będzie — gniewalibyśmy się o to samo nieraz i słusznie. Mówiliśmy, że nie wolno jest wydawać sądów o narodach na mocy osobistych doświadczeń, na kilku jednostkach dokonanych i gromady wieści zebranych z powietrza; że kryteryum sądów tych nie może być innem jak tylko historyczna i statystyczna, gruntowna i obszerna wiedza o nich.

Skąd szeroka publiczność nasza wziąć może wiedzę taką o Żydach?

W dzieciństwie wszyscy prawie uczymy się Historyi Świętej, a wiadomo powszechnie, że Żydzi to właśnie, sami jedni pośród narodów wszystkich, wytworzyli historyę *świętą*. Sama już jednak świętość ta usposabia nas do zaopatrywania Żyda w przymiot wyjątkowości. Każdy zresztą wie dobrze, że jest to historya święta, więc zajmująca w ekonomice umysłowości ludzkiej całkiem odrębne miejsce. Źródła do przyrodzonej historyi Żydów, w czasach politycznej ich niepodległości, przetrwałe zabytki prawodawstwa ich i piśmiennictwa czyli cywilizacyi, mieszczą się w księdze, noszącej imię Biblii. Księgi tej wyznawcom katolickiego Kościoła bez pozwolenia i dyrekcyi kapłanów czytać nie wolno. Przytem przekład jej polski, przedstawiając sobą piękny zabytek dawnego języka piśmienniczego, z powodu archaizmów swoich dla ogromnej większości ogółu prawie niezrozumiałym byłby, a co najmniej niezmiernie nużącym.

Tyle co do historyi starożytnej.

Potem wiadomości nasze o Żydach, żyjących przez cały ciąg dziewiętnastu wieków, które od ponckiego Piłata do dnia dzisiejszego upłynęły, czerpać możemy z istniejących w litera-

turze pism, których wyliczeniem a i przeczytaniem nikt utrudzić się nie może.

Dzieło Tadeusza Czackiego: »O Żydach i Karaitach« dotąd jeszcze najlepsze ze wszystkich o przedmiocie tym u nas istniejących; książka Ludwika Gumplowicza: »O prawach Żydów w Polsce« cenna, ale dla szerokiej publiczności mało przystępna; Wacława Aleksandra Maciejowskiego: »O Żydach w Polsce, na Litwie i Rusi« materyał raczej dla przyszłych opracowań, niż opracowanie, któreby ogół, choćby oświecony, czytał z zajęciem i korzyścią.

Nadto oprócz pięknie napisanej ale szkicowej i niedokończonej »Historyi Żydów w Polsce« Al. Kraushara, bardzo dobrej i nauczającej broszury Smoleńskiego p. t. »Żydzi w Polsce w wieku 18-ym« i dwu lub trzech innych, drobnych zawsze pism o tym przedmiocie, niejaką wartość historyczną lub społeczną mających, literatura nasza o Żydach składa się z dziesiątka broszur tłómaczonych p. t. »Żydzi i Kahały«, »Mojżesz i Żydzi«, »Talmud i Żydzi«, »Zawojowanie świata przez Żydów« i t. p., jako też z oryginalnie, na podstawie powyższych broszur i osobistych spostrzeżeń kreślonych pism pana Jana Jeleńskiego. Jeżeli uwzględnimy jeszcze parę powieści, na tle żydowskiego życia skreślonych, i setkę pobieżnych artykulików dziennikarskich, nic już więcej o Żydach w literaturze naszej niema. Ani historyi politycznej, ani historyi religii, ani historyi udziału ich w różnostronnych pracach cywilizacyi europejskiej, ani specyalnej historyi przebywania ich w kraju naszym, ani statystyki obecnego ich u nas bytu. Królestwo temu, kto po przeczytaniu powyżej wymienionych broszur uczuje w głowie światło a nie uczuje w sercu nienawiści i wzgardy!

Zrozumieć łatwo, w jakim celu dokonywają się przekłady takie, jak: »Żydzi i Kahały« albo »Zawojowanie świata przez Żydów«. Są to pisma, należące do literatury skandalicznej, a skandal, na tym tu padole tańców, bywa najczęściej dobrą spekulacyą. Nie trudno też pojąć psychiczną istotę pisarza, zasiadającego do pisania, po przeczytaniu jednego z powyższych przekładów i uczynieniu kilkudziesięciu osobistych spostrzeżeń na pierwszych lepszych Lejzorkach i Abramkach, których Opatrzność spotkać mu pozwoliła. Zaiste, psychiczna istota pisarza tego skomplikowaną nie jest. Pisze on, jak ptak śpiewa: z natchnienia. Natchnienie to pochodzi z serca. Gdy serce jego oburzy się, znienawidzi, pogardzi, siada i pisze filipikę.

Że zaś nowomodny zwyczaj — bodaj w piekle smażył się

ten, kto go wymyślił! — w filipikach, z najgorętszego choćby serca tryskających, umieszczać każe fakty i cyfry, rozkłada przed sobą broszurę »Żydzi i Kahały« i czerpie z niej dla swej pracy naukowy materyał.

»Żydzi i Kahały« zawiarają 180 stronic druku i są wyjątkiem z dzieła, które jest paszkwilem. Nic to! zawsze to przecie rzecz drukowana, która piszącym z oburzonego serca coś z powagi swej użyczyć może.

Tak się robi, ale tak robić się nie powinno. Kto chce pisać z serca, z samego serca, bez współudziału pracowitej i oświeconej głowy, niech zajmie się ułożeniem wzorów do korespondencyi miłosnej. Odda przez to usługi ważne kochankom, którym stopień otrzymanej edukacyi nie dozwala gorących uczuć samodzielnie na papier przelewać, a nie zaszkodzi żadnej z ważnych spraw krajowych, nie zaciemni żadnego z tych punktów umysłowości społecznej, na których i bez niego wcale jasno nie jest. Filipiki wszelkie nic nam nie pomogą, tembardziej, że nie Demostenesowskie usta wkładają nam je w uszy. I nie jeremiad nam też trzeba, tembardziej, że Jeremiasze — poeci i obywatele nie z pod każdego kamienia wyrastają. Trzeba nam — studyów sumiennych, poważnych, studyów w tym kierunku takich, jakich wiele posiadają już inne narody. Francya ma swego Cohena i Reusa, którzy jej Biblię na nowożytny fancuski język tłómaczą i komentarzami ją zaopatrują, czerpanymi z najświeższych i najpoważniejszych źródeł oryentologii; ma ona swego Salvadora, który jej opisuje walki Judei z Romą i stosunek Żydów francuskich do Francyi; swego Muncka, który kreśli przed nią historyę cywilizacyi Żydów, i swego Renana, który przedstawia jej chwilę zetknięcia się ich z pierwocinami chrześcijańskiej epoki.

Niemcy mają 13-tomową historyę Żydów Graetza, filozoficzny wykład judaizmu Geigera, liczne przekłady różnych części Talmudu, całą prawie przetłómaczoną Hagadę, całą historyę udziału Żydów w cywilizacyi niemieckiej, przekłady całych dzieł uczonych Żydów z epoki arabskiej, jak np. Majmonidesa, i mnóstwo, wielkie mnóstwo drobnych, większych i bardzo rozległych studyów nad wszystkiem, co tylko tyczy się tego odłamu ludzkości.

My, którzy z dziesięciokrotnie większą ilością Żydów żyjemy od lat 800 w nieustannych stosunkach i zatargach, mamy — pana Jana Jeleńskiego.

Jest to w umysłowości naszej próżnia, którą koniecznie za-

pełnić należy, jeżeli chcemy naprawdę wypracować w sobie bezstronną i gruntowną znajomość Żydów i, co za tem idzie, jasne pojęcie o tem, jak z nimi postępować, co dla nich czynić, czego od nich spodziewać się, albo lękać mamy. Pod względem historyi politycznej, historyi religii i cywilizacyi wogóle, myślę, że tłómaczenia, streszczenia, komplikowania dzieł, których ilość wielką, literatury obce posiadają, lepszemi byłyby, niż zupełna w tym kierunku bezczynność. Inni orali już, sieli, i żęli, my zbierajmy przynajmniej kłosy, na niwach ich rozsiane. Co się tyczy jednak specyalnej historyi Żydów polskich, jako też dokładnej statystyki obecnego ich bytu, rzeczy te ogromnej dla kwestyi żydowskiej doniosłości sami już wypracować musimy. Czy niedostaje nam ku temu sił i talentów odpowiednich? bynajmniej. Niedostaje nam tylko — odpowiednich przekonań. Jakiemi drogami przybyć nam mogą przekonania, udzielające siłom i talentom bodźca i umiejętności do pełnienia zadań wielkich i trudnych?

Powiem później.

Teraz zwracam się ku innemu węzłowi kwestyi żydowskiej, którego rozwiązanie zostaje do wysokiego stopnia w mocy naszej. Trzeba, abyśmy liczniej i energiczniej, niż dotąd, stanęli obok Żydów na polu przemysłu i handlu. Sprowadziłoby to następstwa rozmaite a dobroczynne. Naprzód silna konkurencya, przez Chrześcijan im wytwarzana, zmusiłaby Żydów do poszukiwania innych dróg pracy, pośród których łatwiej gubiliby oni stare nałogi swe i przywary, a nabywali zalet i zdolności, których nie wyrobiło w nich wiekowe oddawanie się zajęciom jednostronnym. Następnie, obracanie znaczną częścią bogactwa krajowego, przez chrześcijan dokonywane, przytłumiłoby znacznie płomień niechęci do Żydów, powstałej z wyobrażenia, że oni to tylko rozporządzają się tem bogactwem. Następnie jeszcze, częstsze, niż dotąd, spotykanie się na jednej drodze dwu odłamów społeczeństwa zadzierzgiwałoby pomiędzy nimi liczniejsze, niż dotąd, węzły znajomości, solidarności, wspólnych potrzeb i dążeń. Nakoniec pracowanie i ciągłe spotykanie się na jednej drodze sprowadzićby mogło wzajemne oddziaływanie na siebie dwu stron, czyli ścieranie wybujałości i zapełnienie braków, tu i tam, w różnych kierunkach istniejących.

Próżnemi są wyrzekania nasze, że Żydzi to zepchnęli nas z pola przemysłu i handlu.

Nigdy, za najlepszych czasów naszych, do wstępowania na nie skorzy nie byliśmy.

Wierzynek, przemyślny i bogaty mieszczanin krajowiec, dlatego właśnie wstąpił na karty historyi, a z nich przeszedł do poezyi i malarstwa, że był wyjątkiem.

U samego początku dziejów naszych widzimy, że na miejscu tem, na którem gdzieindziej stawał silny stan trzeci, z miejscowych żywiołów wytworzony, u nas stawali cudzoziemcy. Nie Żydzi wcale rozpoczęli na ziemi naszej prząść jedną z nici społecznego życia. Byli to Niemcy. Proszę czytelnika, aby przypomniał sobie, skąd wzięło się u nas prawo magdeburskie, które miastami naszemi rządziło i świadczyło o istnieniu w narodowem ciele obcego pierwiastku wpierw, nim pierwiastek żydowski jakiegokolwiek nabrał znaczenia. Że dwa te pierwiastki: handlujący niemiecki i handlujący żydowski, podały sobie ręce i wzajemnie sobie do wzrostu dopomogły, nic dziwnego. Niemcy przybyli tu po to tylko, aby handlować, Żydom nic innego czynić nie dozwalały prawa krajowe. Wprawdzie we wspaniałym momencie historyi naszej, w którym naród nasz zdawał się blizkim urzeczywistnienia wszystkich ideałów społecznych, w którym potężna i swobodna myśli pchała ku postępowi wszystkie społeczne siły, od połowy XV do końca XVI stulecia, i mieszczaństwo krajowe wzmagało się także ilościowo i jakościowo, stawało się siłą inteligentną, wytwórczą i możną. Wtedy też wywarło ono zwykłą cywilizacyom wysokim moc pociągu tak na Niemców jak na Żydów.

Wielu Niemców oswoiło się w zupełności; znaczna część Żydów mówiła językiem krajowym i przybrała strój narodowy.

Nadszedł wiek XVII; rozpoczęła się era jezuityzmu i nietolerancyi religijnej, szlachetczyzny i jej bezwzględnego, bezpodzielnego panowania. Jakaś bezdenna przepaść różnic, na której dwu przeciwległych krawędziach stoją *Dworzanin* wolnomyślny, oświecony, zajęty najważniejszemi zagadnieniami nauki i społecznego bytu, nawskroś przeniknięty ideami tolerancyi i pomiędzyludzkiej równości, i *Sodalis Marianus*, gbur i fanatyk, który z jezuickiego Alwara zaczerpnąwszy całą mądrość swoją, wnosi ją do społeczeństwa pod postacią jezuickiej dyscypliny, załatwiającej sprawę różnicy wyznań zarówno jak różnicy stanów. Czytajcie Górnickiego i Paska, Modrzewskiego i Matuszewicza, a metamorfoza ta stanie przed wami w całej wyrazistości. *Dworzanin* w obliczu biskupa i wielkiego pana głosił cześć dla nauki świeckiej, potępiał fałszywą, zaciekłą pobożność i najuboższemu z kmieci dostojność ludzką przyznawał, *Sodalis Marianus* subtelne i uczone rozprawy przodka swego zastąpił

burdą i hulanką, dysydentów spędził z poselskich krzeseł, pług, łokieć i miarkę głęboką okrył pogardą. I oto — stan mieszczański popada znowu w dawną niemoc, Żyd zaś orać nie mający prawa, giętkości i przebiegłości w szkole prześladowań wyuczony, chwyta za łokieć i miarkę. Gdyby go u nas nie było, lub gdyby ich nie pochwycił, przyskoczyliby — Niemcy. Potem... potem... zmartwychwstaje *Dworzanin*. Pod potężnemi tchnieniami filozoficznych idei czasu, przed śmiertelną grozą buchającą z otchłani, roztwartej u stóp narodu, zmartwychwstaje on w postaci mężów, składających komisyę edukacyjną i wznoszących znowu naukę na tron czci publicznej, w postaci Konarskiego, stającego do walki z edukacyjnym systemem Jezuitów; w postaci braci Załuskich, fundujących w Warszawie bibliotekę publiczną, w postaci prawodawców, dających mieszczanom równouprawnienie zupełne, układających projekty dla równouprawnienia Żydów, wprowadzających reformy w prawa rządzące bytem kmiecia; w postaci Kościuszki, wzywającego kmiecia do zadań, które dotąd obcemi mu były, i w wielu, w wielu jeszcze postaciach innych.

»Gdyby to życie było poematem...« Że zaś stało się ono czemś nakształt drapania się pod górę i pomiędzy przepaściami, bez ochronnych i pomocniczych narzędzi, więc choć *Dworzanin* nigdy już więcej nie umierał, ale... Powolnemi, o, jakże powolnemi są wszystkie roboty jego!

Przez kilka dziesiątków lat bieżącego stulecia szlachcic nasz, jakkolwiek odradzający się już pod wielu względami, głęboko jeszcze i stale brzydzi się miarką i łokciem, że zaś nie było żadnych przyczyn, któreby mieszczaństwo i chłopstwo dźwignąć mogły ku wyższym stopniom rozwoju, Żyd, tak dobrze i tak wyłącznie jak za czasów Sodalisa, trzymał w zwinnych ręku swych tę miarkę i ten łokieć.

Przez ostatnie lat kilkanaście objawiał się w tym kierunku postęp pewien, w bardzo małej przecież mierze odpowiadający wymaganiom czasu. Trudniące się przemysłem i handlem mieszczaństwo chrześcijańskie tu i owdzie urosło nieco w liczbę i oświatę; z innej strony przemysł i handel przybrał w siebie coś z chłopskiego i coś ze szlacheckiego żywiołu. Jednak, ażeby ocenić jak małymi są jeszcze te dokonane kroki, dość jest, przechodząc ulicą miasta, rzucić spojrzenie na szyldy fabryk i sklepów. Nazwiska z brzmieniem krajowem toną w morzu nazwisk żydowskich i niemieckich. Pierwszych jest tam daleko więcej, ale i drugie są. Czy nie nasuwa to obrazu kogoś, kto dziś ple-

cami Żyda odpychany, czeka tylko chwili, w którejby mógł wysunąć się na plan pierwszy?

Po wsiach kramarze, pachciarze, szynkarze, rzemieślnicy—Żydzi; gdziekolwiek wypadkiem Żyd nie dobiegł, tam jest Niemiec. W niektórych, rozległych okolicach kraju znaczna część szlachty wydzierżawia majątki Żydom, ile zaś razy, odłużony albo do gospodarstwa zrażony szlachcic nie dokona manipulacyi tej z Żydem, majątku jego nie wydzierżawia już ale nabywa Niemiec, albo kto inny. Lasy nasze w niektórych prowincyach kraju eksploatują wyłącznie Żydzi, są jednak okolice, w których robotą tą trudnią się na wielką skalę sami tylko Niemcy. Żadna, jak mi się zdaje, z kopalń naszych nie jest jeszcze w rękach kompanii żydowskich, eksploatacyą ich zajmują się kompanie niemieckie i francuskie. Ba! bo i Francuzi nawet, nawet Anglicy, nierzadko zaglądają do przemysłu naszego. Oświetlają oni, kanalizują i wylewają asfaltem nasze miasta, robią wagony i relse naszych dróg żelaznych, tworzą domy i agentury komisowe, towarzystwa ubezpieczeń, żeglugę parową i t. d., i t. d.

Reguła, przemysłem i handlem naszym rządząca: Żyd jest prawie wszędzie; gdzie niema Żyda, tam jest Niemiec; gdzie ani Żyd, ani Niemiec nie dobiegł, tam staje Francuz i Anglik. My, autochtoni, prawie powszechnie zrozumieliśmy już, że jeśli tak trwać będzie, ze wszystkich bogactw tego świata uratujemy tylko nasze fujarki i będziemy sobie, przygrywając na nich, pasać trzody panów naszych. Zrozumieliśmy to i wybuchnęliśmy wielkiem wyrzekaniem — na Żydów. Daremnie. Gdyby nagle ziemia roztworzyła się i pochłonęła wszystkich Żydów, nad zwartemi jej na nowo czeluściami zobaczylibyśmy — Niemców, nie siebie samych — to pewno; bo minęły już złote czasy, w których Duch Święty w jednem mgnieniu oka prostaczków przemieniał w lingwistów.

W dzisiejszych, ciężkich czasach pozbywanie się niedołężności wszelkich wymaga znacznie większych zachodów i dłuższych oczekiwań.

Co nam przeszkadza do pozbycia się niedołężności w tym kierunku?

Powiadają niektórzy: brak kapitałów, które są w rękach Żydów. A pomiędzy tymi, którzy tak powiadają, są ci, którzy ogromne lub znaczne fortuny swe i dochody swych fortun przejadają, przepijają, przetańcowują, przewojażowują, przesypiają, słowem, roztrwaniają marnie sposobami najrozmaitszymi; i są także lepsi i pożałowania godni, którzy wstąpili byli na

nową drogę i wnet, wnet spędzeni z niej nieudolnościami własnemi, utopili na niej bez korzyści dla siebie i dla ogółu wszystkie swe mienia.

Po cóż utrzymywać, że nie posiadamy środków materyalnych dla uczestniczenia w przemyśle krajowym, skoro nie brak nam ich dla brania udziału przy wesołych biesiadach życia albo dla dokonywania licznych i chybionych prób?

Nie; nie brak środków materyalnych staje nam tu na przeszkodzie, lecz przejmujący nas jeszcze na wskroś duch arystokratyzmu. Tłómaczyć chcę myśl moją jasno. Nie o arystokratach tym razem mówię, ale o arystokratyzmie, to jest, o tych wyobrażeniach, przyzwyczajeniach, żądaniach i upodobaniach, które w sny szewców nawet i kucharek naszych wlewają obrazy wykwintu i zbytku. Nie sami utytułowani potomkowie starożytnych rodzin przedstawiają u nas zalety i wady arystokratyzmu. Rozwijają się one na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej, od najwyższych do najniższych. Z jednej strony gładkość i estetyczność form, rządzących życiem towarzyskiem i domowem, wysoce rozwinięta towarzyskość, gościnność, hojność, łatwa zapalność uczuć i wyobraźni, zdolność do wspaniałomyślności i ofiarności, zamiłowanie we wzruszających, artystycznych uciechach. Z drugiej strony: pycha żądna wielkości, pojętej jako wykwint, rozgłos i blask, zamiłowanie w próżniactwie, nieopatrzność, rozrzutność, łatwe poddawanie się wzruszeniom serca i wyobraźni, wstręt do zajęć i nauk surowych. Tak zalety te, jak wady sprawiają, że głównem ogniskiem życia dla jednych, a dla innych szczytem marzeń jest — salon; że białość rąk stanowi przedmiot najczulszych pieczołowitości, że zegarek i kredka to nudziarze zatruwający życie, a wygoda i zabawa — to najpiękniejsze jego ozdoby i najpierwsze cele. Zalety te i wady wywołują też w społeczeństwie namiętne wyścigi, w których pół-panek doganiać usiłuje wielkiego pana, szlachcic lub urzędnik pół-panka, mieszczanin szlachcica i urzędnika. Szlachcianeczka wiejska, tęga i rumiana na wzór hrabiny (o której słyszała), trzyma w grubej rączce delikatny wachlarz, a kucharka jej lub pokojówka, myjąc rondle albo wymiatając pokoje, smuci się głęboko, bo marzy o rękawiczkach. Zgrabny ukłon czy dyg — zasiada na kanapie; rozumne słowa lub czyn pożyteczny, nie poparte estetyką maniery i ubrania — dostaje w ciemnym kącie twardy stołek. Dokoła fortepianów, brzęczących pod palcami domowych wirtuozów, stoją zachwycone tłumy; książka naukowa zaniedbana wala się w pyle z nierozcię-

temi kartami! Zwierciadeł starannie mytych — pełno; zegarków starannie nakręcanych bardzo mało. Pierwszym gospodarskim czynem dzierżawcy niewielkiej wioski jest nabycie powozu i zasłanie podłóg dywanami; pierwsza radość matki rodziny, to ustrojenie dziecka w kosztowną i pięknie wygarnirowaną sukienkę.

Dobry uczynek — posiada zawsze wyłączną postać hojnego rozrzucania pieniędzy pomiędzy żebraków; znaczenie w społeczeństwie mierzy się liczbą przyjmowanych gości. I tam dalej, i tam dalej.

Z materyału takiego powstawać może wiele ładnych i przyjemnych rzeczy, ale nie powstanie nigdy liczny zastęp pracowników silnych i czerstwych, stale i dzielnie stąpać mogących po obranej drodze. Zaprawdę! jakże możemy marzyć nawet, aby na twardej drodze przemysłu powodzić się mogło kiedykolwiek tym dzieciom naszym, które w sposób skandaliczny niemal stroimy od kolebki w atłasy, hafty i koronki? tym młodzieńcom naszym, którym dla ukończenia edukacyi średniej niedostaje cierpliwości i wytrwania? tym kobietom naszym, które pojąć nie mogą życia, bez salonu i kilku kanapek, na którychby mogły z kolei wyciągać się z romansem lub wachlarzem w ręku? I, powtarzam, nie są to wcale księżniczki, książęta... Ba! gdyby niemi byli, znaleźlibyśmy na wytłómaczenie ich mnóstwo rzeczy i zresztą przedstawialiby oni sobą grupę ludzi bardzo naturalną, wszędzie istniejącą, a przez małą liczbę swą nie straszną. Ale są to niemal wszyscy sami panowie! same panie! Jeżeli robotnicy albo robotnice, to z ciężkiego tylko musu i straszne upośledzenie swe, razem z pracą na nich spadłe, głęboko czujący! Sami przytem artyści! same artystki! Marzący, rozmiłowani w muzyce i poezyi, gardzący brudną prozą, do której naukę i zarobkową pracę zaliczają!

I marzmyż tu o konkurencyi na polu przemysłowem z tymi brudnymi Żydami, którzy tak dobrze umieją i rachować, i odmawiać sobie, i wytrwać w czynności swej, chociażby ona długo, długo, nie dawała im nic prócz mozołów i zgryzot, i kęsa czarnego chleba, powiadamy, wytrzymać konkurencyi z Żydami, bo są oni brudni i jedzą chleb z cebulą. Ależ Niemiec ubiera się w czysty surdut a jada kartofle. Czybyśmy z nim konkurencyę wytrzymali?

Niechlujstwo Żydów jest ich wadą i cebula ich brzydko pachnie; ale czysty i kartofle jedzący Niemiec — co więcej — wytworny Francuz i dumny Auglik, wnoszą do przemysłu taką

samą, jak Żydzi, prostotę obyczajów, umiejętność rachowania, powściągliwość żądz, systematyczność działań i — w dodatku — szacunek dla pracy taki, że bez niej szanować nie mogą nikogo, ani nawet samych siebie.

Patrzmy na Czechów.

Kilkadziesiąt lat zaledwie upłynęło, odkąd ocknęli się Czesi z dwuwiekowej apatyi, uczuli w sobie znowu tętna narodowego życia i zapragnęli czynić zadość potrzebom narodu. W chwili ocknięcia się spotkali się oni twarzą w twarz z potężnie rozwiniętym na ziemi ich przemysłem niemieckim. Cóż? wzięli się z nim za bary i dotąd jeszcze walczą; ale wielki przemysł w połowie, a drobny całkiem prawie już znajduje się w ich ręku. Jeżeli zapragniecie statystyki udowadniającej fakt ten, poproście o nią pierwszego lepszego wykształconego Czecha, który chętnie wam ją ukaże; bo i posiada ją i słusznie jest z niej dumny. Jeżeli zaś zapytacie: dlaczego Czesi w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zdołali z jednej z dróg życia i bogactwa swego zsunąć znaczną ilość możnych i wytrawnych Niemców? — odpowiem wam, że stało się to dzięki rozszerzonemu pomiędzy nimi duchowi demokratyzmu, niosącemu z sobą demokratyczną siłę, prostotę, pracowitość, rachubę i cierpliwość. Arystokracya czeska wynarodowiła się i, jak przegniła część ciała, z narodowego organizmu wypadła. Zabrakło ideałów i wzorów demokratyzmu. Mieszczaństwo zamożne bardzo, średnia posiadłość ziemska, przedstawiana przez dostatnich i oświeconych chłopów, wykwint, blask i używanie usunęły na plan dalszy. Na plan dalszy; nie należy bowiem wierzyć tym, którzy utrzymują, że demokracya czeska składa się z samych gburów, obcych całej estetycznej i arystokatycznej stronie cywilizacyi. Owszem, posiada ona poezyę swoją i swoją sztukę dramatyczną, składa olbrzymie ofiary na zbudowanie dla tej ostatniej wspaniałego przybytku, urządza wykwintne zebrania, (Biesiada Umielecka) które muzyką, literaturą i zabawą towarzyską ozłacają co pewien czas nić powszedniego jej żywota. Tylko nić ta nie jest kosztem wszelkim i wiecznie złoconą, bądź złotem istotnego piękna, bądź nędznemi jego imitacyami. Tylko w domach czeskich zamożności średniej salonu często wcale niema; tylko Czech-demokrata nie ima się przemysłowej pracy z ciężkiego musu i z uczuciem głębokiego upokorzenia, ale gotuje się do niej i spełnia ją z przekonaniem, że zapewnia przez to samemu sobie byt szanowany, a krajowi ważne choć skromne oddaje usługi.

I tak już jest w Europie wszędzie, z wyjątkiem hiszpań-

skich hidalgów, noszących łachmany swe z dumą królewską i — naszych królewiąt, zarzucających na wszystkie swe nędze estetycznie falujące draperye.

Zdaniem mojem, do poprawienia stanu przemysłu naszego nie pomogą nietylko wyrzekania i złorzeczenia, ale nawet wykluczanie wszelkie. Wykluczymy Żydów z szynków wiejskich? Wielki Boże! alboż spadną oni przez to z powierzchni kuli ziemskiej w otchłanie wszechświata? Nie wymordujemy ich przecież, pozostaną przy życiu i albo, po upływie krótkiego czasu, ominą jakimkolwiek sposobem prawo i wślizną się napowrót do szynków, albo wtłoczą się na inną ścieżkę drobnego przemysłu i innemi nieco narzędziami robić będą zupełnie to samo. Od wiosek naszych oddalimy szynkarzy, lecz w dworach naszych pozostaną pachciarze i arendarze ogrodów owocowych, którzy wnet przerobią się w potajemnych szynkarzy. Wykluczyć z dworów pachciarzy i arendarzy ogrodów? Któżby w wypadku tym uprawiał dwie te gałęzie przemysłu wiejskiego? Panie wiejskie? Czy podobna? A cóżby się stało z tą osobliwością nad osobliwościami, jaką stanowią księżniczki i królewny... których najczęściej dziadowie jeszcze ziemię orali, a babki gęsi pasały? Na miejsce Żydów, trudniących się przemysłem wiejskim, trzeba więc koniecznie pachciarzy i arendarzy chrześcijan. Gdzież oni są? W jakiej sferze społeczeństwa naszego widzicie kandydatów na te posady, chętnych i umiejętnych?

Gdybyście mię zapewnili, że szynkarzy Żydów, wyzyskujących kmiecia naszego, zastąpią tacyż szynkarze chrześcijanie, uczciwi i choć trochę oświeceni, że czynności pachciarzy i arendarzy pełnić będą same panie dworów wiejskich, córki ich i pomocnice, albo też uczciwi i trochę oświeceni chrześcijanie, zawołałabym z zapałem: Wykluczajcie Żydów z karczem, obór i ogrodów, wykluczajcie co prędzej, pędźcie ich tym sposobem ku roli i rzemiosłom, a nam i im z lepszym podziałem lepiej będzie!

Lecz ponieważ, oglądając się dokoła, nie widzę wcale tych, którzyby w przemyśle wiejskim, bądź wódczanym, bądź mlecznym, bądź sadowniczym zastąpić ich mogli — mówię szczerze: dajcie pokój wykluczeniom!

Sposób ten, sam przez się zły i niesprawiedliwy, tym razem dorazowej nawet praktycznej korzyści przynieść nie może! Gdy społeczeństwo znajduje się w pewnem stadyum cywilizacyi, istnieje minimum jakieś ekonomicznych czynności, które spełnione być musi.

Jeżeli, usunąwszy tych, którzy pełnią je dziś, sami na ich miejsce nie staniemy, usunięci powrócą, albo zastąpi ich ktoś inny — czy nie szkodliwszy i groźniejszy? Zdaje mi się, że nikt pod względem tym wątpliwości nie żywi żadnych.

Lecz arystokratyzm nasz ma inną jeszcze stronę. Przejmując nas gustami i nałogami nieprzyjaznymi dla pewnej, szerokiej kategoryi podstawowych prac i czynności, wlewa on jeszcze w pomiędzyludzkie stosunki i uczucia nasze trujący żywioł wzgardy i wynikających z niej niesprawiedliwości sądów i postępków. Niepodobna nie widzieć, że jedną z głównych przyczyn rozdziału, panującego pomiędzy ludnością chrześcijańską a żydowską, w średnich szczególniej warstwach obu, jest kastowość. Stoją tu naprzeciw siebie nietylko autochtoni i przybysze, chrześcijanie i niechrześcijanie, ale także i może przedewszystkiem stan szlachecki i stan kupiecki. Pierwszy nie pozbył się jeszcze pamięci o tem, że łokieć i miarka hańbią. W Żydzie dostrzega on nietylko Żyda, ale jeszcze i może nadewszystko kupca, handlarza. Dlatego na dnie duszy jego, często nawet mimowiednie, kryje się głębokie lekceważenie dla tego okazu człowieka nizkiego rzędu. Przytem — nieestetyczność form zewnętrznych, którą brzydzi się jego wytworność. Często bardzo wytworność ta bywa w złym gatunku, naśladowana, niezgrabna, niesmaczna; nic to, jest ona wykwitem przejmującej go nawskroś miłości blasku i wykwintu, której najzupełniej brakuje handlarzowi, ogorzałemu na upałach i mrozach, opylonemu w podróżach, mówiącemu o najprozaiczniejszych pod słońcem przedmiotach, nie posiadającemu ani salonów, ani powozów, ani modnie krajanych sukien. Szlachecka wytworność, brzydząc się kupiecką grubością, nazywa ją żydowszczyzną i wmawia w siebie, że brzydzi się Żydami. Zapomina, że handlarz, przemysłowiec, jeżeli do najwyższych sfer handlowych i przemysłowych nie należy, w żadnym kraju i w żadnem plemieniu salonowym nie bywa. Nie wie o tem, że Żydzi, pomimo nawet niechlujstwa swego, które zresztą w średniej ich warstwie szybko dziś znika, mają jeszcze w obejściu się i stosunkach z ludźmi niezrównanie więcej delikatności, miękkości, niż członkowie stanów kupieckich w krajach innych: grubiańscy Prusacy naprzykład albo rubaszni i krzykliwi Francuzi. Dla niego kupiec Niemiec i Francuz byłby zarówno lub może i więcej jeszcze wstrętnym. Lecz on ich nie spotyka. Wstręt więc swój przelewa na tych, z którymi wiążą go ogniwa nieuniknione — na Żydów. I mówiąc, myśląc: Żyd, nie zdaje sobie sprawy, że na dnie istoty jego brzmi wyraz: kupiec. Kupiec więc, czło-

wiek nie mający za sobą szeregu szlachetnych antenatów i, co daleko jeszcze ważniejsze, chodzący i kłaniający się niezgrabnie, ubierający się nieelegancko, mówiący niewytwornie, wszelkiej estetyce i poezyi życia — obcy. Czy jest on istotnie obcy wszelkiej poezyi życia? czy iskier jej, często bardzo gorących, odnaleźćby nie można w uczuciach rodzinnych, zgnębionych zdolnościach, życiowych walkach, tajemnych bólach i tęsknotach jego? Inne to pytanie.

Co pewna, to, że nie posiada on w stopniu najmniejszym tej poetyczności elementarnej i w oczy bijącej, która, powłokę człowieka czyniąc gładką i ponętną, ukrywa często wcale prozaiczne wewnętrzne zjawiska.

Połóżmy badawczą dłoń na sumieniu naszem, szczerem okiem zajrzyjmy w procesy naszych uczuć i myśli i — powiedzmy, czy uczuwana przez nas częstokroć niechęć i wzgarda spływa na Żydów, jako na Żydów, czy też może na klasę społeczną, którą w głębi ducha niższą zowiemy i której powierzchowność, obyczaje, rażą smak i przyzwyczajenia nasze książęce wtedy nawet, gdy Bóg tylko zmierzyć może przestrzeń, dzielącą nas od książęcego dostojeństwa?

Tymczasem to pielęgnowanie przesądu kastowego, to bezwiedne poddanie się wpływom zarystokratyzowanych gustów i nałogów, wnosić musi w stosunki społeczne nieobrachowaną sumę strat i niezmierzoną dozę trucizny. Pomiędzy nami ogłupiają one i ku grubym nieeprawiedliwościom wiodą natury niższe, paczą i poniżają szlachetniejsze. Pierwiastek wzgardy i nienawiści nikomu na dobre nie wychodzi. U najlepszych nawet i najrozumiejszych wywołuje instynktowe, lekkomyślne a niegodne ich słowa i postępki. Pomiędzy Żydami utrwalają wyodrębnianie się, budzą niechęć wzajemną i — kto wie? w gorszych i niższych naturach może pragnienie odwetu, pomsty, wywyższenia się i narzucenie wyższości swej kosztem jakimkolwiek. Bo w stosunkach z Żydami wogóle a szczególniej ze średnią ich warstwą, nieco już oświeconą i w świecie otartą, nie mamy wcale do czynienia z naturą pierwotną, którą to tylko boli, co głodzi, pali albo bije, co, słowem, fizycznie krzywdzi albo dręczy. Bynajmniej, mamy tu przeciwnie do czynienia z umysłami nieraz bardzo przenikliwymi, z organizacyą niezmiernie wrażliwą na wszystkie moralne dotknięcia i wpływy. Wzgarda, pomiatanie, są tu i dostrzegane, i rozumiane, i głęboko i boleśnie uczuwane. Jako przesąd i niedorzeczność, nie dopuszczają szacunku, tego węgielnego kamienia wszelkich dobrych stosunków ludz-

kich; jako krzywda, skłaniają do dumnego zagłębiania się w odrębność, wtedy nawet, gdy inne czynniki i interesy ku jednaniu się przychylają. Zresztą, potrzebaż naturę i wyniki zjawisk i stosunków takich społeczeństwu naszemu obszernie tłómaczyć?

Zdaje mi się, że jednym z głównych sposobów pomyślnego załatwienia kwestyi żydowskiej byłoby pozbycie się pogardy lub co najmniej lekceważenia dla klas tak zwanych niższych, surowsze nieco odłączanie godności i wartości człowieka od miary estetyczności, zawartej w zewnętrznych jego formach, nakoniec, pilne pamiętanie o tem, że nietylko materyalne krzywdy i fizyczne obrażenia mogą być czynnikami nienawiści i niezgód, ale, że bywają nimi częstokroć te niepochwytne i do opisania niepodobne atomy, które, z ludzkich słów, poruszeń, śmiechów i spojrzeń ulatując, atmosferę moralną i umysłową napełniają pierwiastkami jadu albo balsamu, prawdy albo fałszu.

Tu zjawia się pytanie: a lud?

Wszakże on, ani przesądów, ani gustów i nałogów arystokratyzmu nie posiadając, dość wyraźnie zazwyczaj, a niekiedy nawet bardzo brutalnie objawia nurtującą go niechęć i wzgardę dla Żydów?

Odpowiedzi na pytanie to — kilka.

Naprzód, czy tylko rzeczywiście lud nasz nie posiada sobie właściwej przyczyny wynoszenia się nad Żydów i gardzenia nimi, jako istotami, pozbawionemi stygmatu wyższości przez niego posiadanej?

Czy w ciemnym mieszczaninie, rzemieślniku, szczególniej zaś chłopie, wyraz »niechrzczeniec« nie budzi tych samych uczuć lekceważenia, wzgardy, niechęci, jakie szlachcic i naśladowca jego z innych stanów mimowiednie najczęściej uczuwa dla handlarza?

Tu wyższość pochodzenia i profesyi, tam wyższość wyznania i także profesyi. Tu szlachcic - rolnik naprzeciw nieestetycznego handlarza, tam chrześcijanin - rolnik naprzeciw niechrześcijanina - handlarza.

Nie można utrzymywać, aby to pojęcie o wyższości wyznania jednego nad drugiem w klasach przewodniczących wcale już nie istniało, ale najpewniej odgrywa już w nich rolę podrzędną; w klasach zaś ciemnych istnieje jeszcze w całej potędze. Ani podobna określić ściśle granicy, gdzie kończy się przesąd kastowy a rozpoczyna religijny i naodwrót; na wielu bowiem punktach mieszają się one ze sobą, istnieją i działają współcześnie, wzajem się wspierają.

Co pewna, to, że u samego dna społeczeństwa gorzkie źródła pogardy, nienawiści i najsroższych podejrzeń tryskają z przetrwałego tu przeświadczenia o nieskończonej niższości, głębokiej nawet nikczemności wyznania niechrześcijańskiego. Przeświadczenie to, wytwór wieków minionych, przechowując się wśród klas oświeconych w postaci niepokojącej jeszcze szczątkowości, w klasach nieoświeconych posiada pełne, potężne i burzliwe bytowanie.

Przyczyna druga powszechniejsza jeszcze i głębsza od tamtej. Lud nasz ma nędze swoje, często bardzo dolegliwe, upadki i w ślad za nimi idące srogie pokuty. Przyczyn tych cierpień szuka on w najbliższem otoczeniu swem, bo wzrok jego za mało bystry jest, aby sięgnąć mógł do oddalonych, pierwotnych ich źródeł. Najbliższem otoczeniem jego, pierwszym żywiołem, z którym styka się on nieustannie, a który nim samym nie jest, są Żydzi. Jacy Żydzi? Również jak on, choć na inny sposób ciemni, takiemiż jak on nędzami trapieni. Pomiędzy stroną jedną i drugą panuje tu nieustannie zamiana usług, która też naturalnie, ze względu na ciemnotę i nędzę stron obu, na sposób żaden odbywać się nie może, wedle surowych prawideł ekonomii społecznej i pomiędzyludzkiej sprawiedliwości. Stąd chwilowe zatargi i urazy, wnikające w łono ciemnej masy pod postacią poczucia słusznych i urojonych krzywd. Słuszność i liczba krzywd tych wzmagać się musi niezmiernie przez to, że z pomiędzy stojących tu naprzeciw siebie dwu ciemnot i nędz, jedna jest czynną i trzeźwą, druga niezaradną i do dna nurtowaną nałogiem pijaństwa. Naturalnie, w walce o byt, niezbędnej, pierwsza częściej, niż druga, zwyciężać musi. Nie wiem, czy mylę się, mniemając, że w stosunkach ekonomicznych gminu chrześcijańskiego i gminu żydowskiego u nas kapitalnym punktem, który uwagę naszą zwracać na siebie powinien, jest opilstwo pierwszego i trzeźwość drugiego. Namiętność stoi tu naprzeciw powściągliwości, szał i bezprzytomność naprzeciw zimnej krwi i przytomnej myśli. Jednak czyż podobna czynić zarzut Żydom z bezwyjątkowej niemal ich trzeźwości, albo też leczyć ich od niej, dla zrównoważenia siły ich z siłą pijącego naszego gminu? Przypisywać im opilstwo gminu tego — jest to zapatrywać się na zjawiska społeczne bardzo płytko. Gdziekolwiek istnieją w liczbie wielkiej konsumenci przedmiotu jakiegoś, tam zawsze znajdą się ci, którzy produkować go i ci, którzy pomiędzy producentami a konsumentami pośredniczyć będą. Nie Żydzi u nas są producentami wódki. Pośrednicy zaś w tej gałęzi ludzkiego

przemysłu i handlu z natury rzeczy odznaczać się nie mogą wysoką skalą moralności. Każdy, znający Francyę, wie o tem, jak bardzo ujemnym typem jest tam szynkarz — Francuz i chrześcijanin. Komuż z nas nieznanym być może zaostrzony i na wyzyskiwaniu oparty stosunek chłopów wielkorosyjskich do tak zwanych »kułaków«, ludzi wyszłych z ich łona, a którzy oprócz wielu innych czynności, jako to: lichwiarstwa i podstępnego wykupywania gruntów, we władaniu swem trzymają też szynkarstwo. Szynk, wszędzie, zawsze, ktokolwiek byłby gospodarzem jego, musi być miejscem niemoralności, bezeceństwa, wyzyskiwań, nędz i występków. Konieczna ta właściwość jego słabnie w miarę oświaty, dobrobytu i uobyczajenia nie tych, którzy w nim gospodarzą, ale tych, którzy doń wchodzą z mniejszą lub większą skłonnością do poddawania się namiętności, idyotyzującej i znikczemniającej. Gospodarz, kimkolwiek byłby, Żydem czy Chrześcijaninem, przybędzie tu zawsze taki, jakiego publiczność miejsca tego potrzebuje. Jej to potrzeby i różnostronne usposobienia wywołują i kształcą klasę chcących i umiejących czynić im zadość. Ale procesu wytwarzania się z potrzeb i usposobień publicznych, posługujących im czynników, gmin nie jest w stanie zrozumieć, ani też dostrzedz, istniejącej w nim samym, pierwszej przyczyny szkodliwych nań następstw. Widzi on tylko przyczynę pośrednią, najbliższą — szynkarza i jemu wyłącznie nędze i upadki swe przypisuje. Szynkarz ten jest w dodatku Żydem, niechrzczeńcem, więc istotą nieskończenie niższą i o której od wieków krążą opowiadania dziwne, straszne, z tłem wpół-nadprzyrodzonem, wpół-zbrodniczem. Niższość, i nadprzyrodzoność i zbrodniczość obudzają pogardę i wstręt, które łączą się z urazami wynikłemi z zamiany usług, rozwijającej się na tle obustronnych a różnych z sobą zboczeń moralnych i — oto iskry, tryskające z wielu naraz ognisk a zlewające się w jeden płomień nienawiści.

Czy namiętności, szały i słabości ludu naszego dają nam jakiekolwiek prawo do potępiania go lub gardzenia nim? Po stokroć: nie! Zarówno jak na gmin żydowski, zapatrywać się nań musimy ze stanowiska nauki, jako na konieczny wytwór historyczny, ze stanowiska uczuć ludzkich i obywatelskich, jako na warstwę społeczną, której od klas ucywilizowanych, przewodniczących, należy się gorące współczucie i czynna, umiejętna, gorliwa pomoc. Pomoc ta jest obowiązkiem, który wzamian otrzymanych dobrodziejstw cywilizacyi pełnić winniśmy. Bywają położenia, w których niewykonywanie obowiązku tego grozi —

zgubą, a w tych samych właśnie położeniach wykonywanie go jest najtrudniejszem. Jakim sposobem społeczeństwo zdobyć się może na odpowiednią zadaniu sumę inicyatywy, energii, wytrwania, mądrości?

Odpowiedzi mogą być różne. Mojem przecież zdaniem stać się to nie może inaczej, jak przez podniesienie poziomu umysłowości ogólnej. Poziom ten nie podniesie się przez nic innego, tylko przez naukę.

W tej chwili, czytelniku, doszliśmy do najwyższego punktu wszelkich rozwag, sprawy społeczne na celu mających, do punktu, na którym wszystkie one zbiegają się z sobą i roztrzygnięcia oczekują.

Szary obraz życia naszego ma swoje pręgi i światła. Jedną z nich jest wzmożony u nas od lat kilkunastu szacunek dla nauki i żywszy ku niej, niż przedtem, popęd pokoleń młodych. Już pomiędzy naszymi rodami królewiąt istnieją takie, które na widok potomków swych, imających się umysłowych zawodów, wstydem i oburzeniem nie płoną. Już pośród potomków tych dążenie ku światłu umysłowemu stało się dość częstem, a nieuctwo zupełne dość rzadkiem. Już pewna część kobiet naszych zapragnęła opuścić wachlarz dla książki i tkliwe tony fortepianów dla surowych trudów zarobionej pracy. Szczęśliwe początkowanie to jeden z największych pisarzy naszych, do starszego pokolenia należący (T. T. Jeż), określa następnemi słowy:

»...Objawem tym jest: znaczne powiększenie się materyału w ludziach młodych, wykształconych. Spotykam, poznaję, słyszę o różnych, ten umie to, ten owo, ów pracuje w takiej lub innej gałęzi, ów się uczy. Tego dawniej nie bywało. Za czasów naszych nauka wlekła się z tyłu: przodem szło co innego«...

W czasach dzisiejszych nauka podnosić się zaczyna ze stanowiska upośledzonego, na którem różne a różne koleje i usposobienia narodu długo ją utrzymywały.

Jednak nie łudźmy się. Jest to dopiero początkowanie, zawiązek, nadzieja. Do pełnego rozwoju wiedzy i myśli, do takiego podniesienia się skali umysłowej ogółu, na jakiem znaleźć może on umiejętność rozwiązywania zagadnień życia swego, jeszcze nam daleko. Objawia się to nietylko w obrębie kwestyi żydowskiej, ale w najróżniejszych dziedzinach naszych spraw społecznych. Spróbuję zebrać wiązkę faktów, mierzących szerokość przestrzeni tej, która jeszcze rozdziela nas z właściwem ocenieniem i należytem umiłowaniem nauki. W dziedzinie literatury, ile posiadamy pism naukowych i jakimi są losy tych, które istnieją?

Tygodnik p. t. »Przyroda i przemysł«, po dość długiem lecz bardzo trudnem i coraz zamierającem życiu, zagasł całkiem. Tygodnik p. t. »Zdrowie«, niezmiernie praktyczny i pożyteczny, dwu lat nie przetrwał. Miesięcznik »Ateneum« żyje dzięki wytrwałej ofiarności swych wydawców. I cóż dalej? Bardzo cenne wydawnictwa, jak np. »Biblioteka umiejętności medycznych«, dla specyalistów tylko przeznaczone i dzięki znowu ofiarności ich trwające i — mnóstwo dzienników, które makowe ziarnko nauki mieszają z garncem beletrystycznych konfitur. To prasa peryodyczna. A literatura książkowa? W niektórych dziełach swych, szczególniej w tym, który zawiera historyę narodową, przedstawia się okazale, lecz gdzie są badania nasze nad różnemi gałęziami historyi cywilizacyi powszechnej? Gdzie są dzieła, któreby szerzyć mogły wiedzę przyrodniczą i filozoficzną? Gdzie są gruntowne naukowe studya nad własnymi stosunkami i potrzebami naszemi? Biada temu, kto dla pisarskiej albo obywatelskiej działalności swej zapotrzebuje wiadomości ze statystyki krajowej! Biada temu, kto, nie znając języków obcych, zapragnie w polskich przekładach zapoznać się z zagraniczną nauką! Nie twierdzę, aby wszystkiego tego wcale u nas nie było. Ale to, co jest, przedstawia się w dozach homeopatycznych, nie mogących na organizm społeczny wywierać wpływów silnych i trwałych. Tyle o literaturze. Zajrzyjmy do wychowania publicznego. Na pierwszym jego stopniu znajdujemy zupełny jeszcze rozbrat z nowemi, a z gruntu naukowego wyrosłemi metodami pedagogiki. Czy wiecie, ile w Warszawie, w samej Warszawie istnieje szkółek pierwiastkowych, znanych pod nazwą ogrodów Freblowskich? Nie zadziwię nikogo a wielu pocieszę, gdy powiem, że istnieje tam szkółka taka — jedna. Dalej zaś, w głębi kraju zdania o metodzie poglądowej w nauczaniu pierwiastkowem są podzielone. Jedni domyślają się, że to być musi jakieś zwierzę przedpotopowe, inni twierdzą napewno, że to Belzebub. Naturalnie, ani zwierzęcia przedpotopowego, ani Belzebuba nikt w życie społeczne wprowadzić nie myśli. Posuwając się dalej, słyszeliśmy o zamiarze starań u władz państwowych, w celu pomnożenia liczby gimnazyów realnych w kraju naszym i założenia wyższej szkoły techniczno-inżynierskiej. Zamiar był — czynu nie było ani początku. Podobnież snujące się po głowach naszych marzenia o wyższej szkole dla kobiet pozostają dotąd w stanie marzeń, których jednak nikt szczery za niepodobne do urzeczywistnienia nie uzna. Podobnież wyjednana już u władz przez pana Edwarda Łojkę koncesya na założenie szkoły gospo-

dyń wiejskich daremnie dotąd wyciąga ramiona ku społeczeństwu, aby ją z marzeń rozpowić, a do krainy rzeczywistości wprowadzić raczyło. Podobnież szkół rzemieślniczych dla chłopców, tu i owdzie projektowanych, jak niema, tak niema; zaś zakłady dla kobiet w Warszawie żyją chromo i ubogo, — na prowincyach, co zabłysną, to zagasną, a najogólniej wcale nawet nie błyskają. Pięknie urządzony zakład naukowy dla kobiet d-ra Baranieckiego w Krakowie posiada uczenic 36, choć z niektórych dzielnic kraju droga do Krakowa nie długa. Na naukowych lekcyach publicznych bywa także niekiedy po osób 30, a wykładów pedagogiki, przez bardzo zaszczytnie znanego pedagoga dokonywanych w roku zeszłym w Warszawie, wcale prawie słuchać nie chciano. Teraz, co się tyczy stowarzyszeń, instytucyi i czynów, udowodniających szacunek dla nauki i poznanie wysokiej jej wartości. Mistrz krajowego ogrodnictwa naszego, pan Edmund Jankowski, od lat wielu już z całych sił swych woła o towarzystwa ogrodnicze. Jest to głos wołającego na puszczy. Wyprawa do Afryki pana Rogozińskiego, w celach naukowych przedsięwzięta, nie znalazła w kraju ani rozgłosu, ani sympatyi, ani materyalnego poparcia, którego to ostatniego nie mogło jej udzielić towarzystwo pomocy naukowej d-ra Mianowskiego, bo mu także zabrakło sympatyi i poparcia kraju. Z trudnościami, które dla urzeczywistnienia się swego spotyka Macierz polska, jeden tylko Kraszewski z niezmierną powagą i popularnością imienia swego uporać się może, a pora się z niemi już długo, bo chociaż oświata ludu jest najważniejszym z celów naszych, to jednak, ponieważ dokonywać się ma na drogach nauki, więc serc naszych nie rozpala i kieszeni nie otwiera. A kędyś... u jednej z okrain ziemi naszej, żyje dotąd pewien wielki uczony, uczony, którego imieniem zasłaniamy się przed obcymi, gdy nam oni nieuczoność zarzucają, który jest niezaprzeczalną chlubą umysłowości naszej. Jakimże jest los, który mu od nas przypadł w udziale? Kto kiedykolwiek obchodził jubileusz Józefa Supińskiego? Kto i czem usiłował rozświecić wieczne ciemności jego oczu, które od wpatrywania się w oblicze nauki zagasły? Kto z nas w osobie jego uczcił naukę i wieloletnią, żarliwą nad nią pracę?

Oto wiązka faktów na prędce zebrana i bez odpowiedniego ładu przedstawiona, ale mierząca dobrze przestrzeń, która dzieli jeszcze ten stopień umysłowości, na którym znajdujemy się, od tego, który nazywać się ma prawo wysokim poziomem umysłowości ogólnej. Zarzucicie mi może, iż, zbierając tę wiązkę,

odstąpiłam od przedmiotu uwag moich. Będzie to zarzut niesłuszny. Czy nie zauważyliście, jak ścisły związek zachodzi pomiędzy wymienionymi faktami a niejednem ze społecznych zagadnień naszych? Czy nie spostrzegacie łączności, zachodzącej pomiędzy wychowaniem i wykształceniem a sposobem myślenia, pomiędzy sposobem myślenia a kierunkiem i energią czynów? Nie; ktokolwiek, o jakiemkolwiek zagadnieniu społecznem mówi, ten, mówiąc o skali skierowania się umysłowości społecznej, od przedmiotu nie odstępuje, tylko daje mu za podstawę grunt szeroki i pogłębia je badaniem najgłębszych rządzących nim przyczyn. Nie odstąpię też wcale od przedmiotu mego, jeśli przez chwilę jeszcze zatrzymam uwagę waszą nad zapytaniem, co jest właściwie przyczyną powolnego rozwijania się i wynoszenia umysłowości naszej? Dlaczego, parci ku nauce prądami i potrzebami czasu, zbliżamy się wprawdzie ku niej ale powolnym, ostrożnym i nawet lękliwym jakby krokiem?

Przyczyn zjawiska tego, niezależnych od nas i których usunięcie możność naszą przechodzi, jest niemało. Nie idzie zatem, aby nie istniały takie, które w nas samych źródło swe mają. Otóż, najważniejszą z tych ostatnich jest wedle mnie to, że przed ogółem naszym nauka krzywo postawioną i niewłaściwemi jej farbami pomalowaną została.

Od lat kilkunastu nauka zalecana jest wprawdzie narodowi przez przewodników umysłowości jego, zalecana powszechnie i często energicznie, ale w ogromnej większości wypadków zalecania te mają pozór podawania choremu trucizny w dozach tak spreparowanych, aby wypadku śmierci spowodować nie mogły. W twierdzeniach o nauce ogromnej większości inteligencyi naszej, w samych nawoływaniach ku niej, dają się słyszeć wyraźnie albo łatwo domyślać myśli następujące:

»Nauka jest potrzebną dlatego, że takie już przyszły czasy, które obchodzić się bez niej nie dozwalają. Cóż robić? Ciężkie to czasy, ale trzeba się do nich stosować; skoro już więc inaczej nie można, uczcie się...

»Tylko ostrożnie! o! ostrożnie z nauką! Jest ona, jako ozor Ezopa, rzeczą i najlepszą i najgorszą. Najlepszą, bo daje nam możność wytrzymania jako tako konkurencyi na polach różnych z ludami innymi; najgorszą, bo posiada właściwości pewne, które zatruwają duszę narodu.

»Co? zatrucie duszy narodu! rzecz istotnie straszna. Więc możeby lepiej wcale unikać tego źródła trucizny?

»Ha! gdyby tylko można było! ale niepodobna. Takie już

czasy przyszły, że bez nauki ani kawałka chleba mieć nie będziesz, ani narodowi swemu chwały przed obcymi nie przysporzysz.

»Więc dla celów praktycznych i po części patryotycznych uczcie się, ale pamiętajcie, aby nauka was do filozofowania jakiego nie doprowadziła...

»Fakty, cyfry, daty, imiona własne, techniczne procedery robót różnych, dobrze! ale syntezy wszelkie, wywody, konkluzye, wnioski, słowem cała robota myśli, wysnuwającej z suchego materyału naukowego wolne, szerokie poglądy na świat i ludzkość — nie!

»To wszystko już może zatruć duszę narodu, odebrać jej wiarę, miłość, ofiarność, poetyczność, a wtrącić ją w negacyę prawd moralnych, we wzgardę dla tradycyi, w samolubstwo, nieobyczajność i cały słowem poczet grzechów tak powszednich, jako też i śmiertelnych.

»Najważniejsza zaś, że przejęcie się pojęciami wytwarzanemi przez naukę i kierowanie według pojęć tych społecznych spraw i losów przyprawić nas może o pogrążenie w nicość zbiorowej indywidualności naszej«.

Takie obawy i takie przestrogi, wyraźne lub półgębkiem wymawiane, towarzyszą rozumowaniom o nauce większości inteligencyi naszej. Niektórzy posuwają się jeszcze dalej. Był wypadek, w którym głośne morderstwo, popełnione przez prostą chciwość łupów, przypisano wpływowi kilku naukowych książek, przez mordercę przeczytanych; i taki, w którym złoczyńcę, kradnącego srebrną łyżkę w kawiarni, publicznie, w druku, nazwano pozytywistą.

Każdy zaś pilnie śledzący ruchy literatury naszej wie o tem dobrze, jakie insynuacye i oskarżenia najzłośliwszej i najdotkliwszej natury padają na pisarzy jasno i szczerze postępowych. Jasno i szczerze doradzać ogółowi dążenie ku nauce i oświacie, jasno i szczerze wyrażać przed nim filozoficzne i społeczne przekonania, w nauce źródło mające, jest to stawić czoło oskarżeniom o odszczepieństwo polityczne, co najmniej o polityczny indyferentyzm.

Takie łączenie miłości dla nauki i choć trochę swobodnego sposobu myślenia ze zdradzeniem sprawy publicznej i z umyślnem wystawianiem jej na niebezpieczeństwa, stało się u nas orężem zupełnie pospolitym, a ten tylko ciosów czy ukłuć jego uniknąć może, kto zgodzi się być echem i cieniem większości.

Przyznajmy, że w sposób taki ustawiona i umiłowana nauka nie może wywierać na ogół potężnej atrakcyi, że owszem obosieczny ten miecz i to straszydło, rodzące potwory, musi koniecznie budzić uczucie obawy, wahania się, niekiedy wstrętu. I — o szczycie niekonsekwencyi! — ci sami, którzy uczucia te rozbudzili, niejednokrotnie potem wybuchają wyrzekaniami na obojętność ogółu dla nauki — wyrzucają mu upadanie albo nędzne istnienie pism naukowych, niechętne branie udziału w przedsięwzięciach i czynach, bądź naukę na celu mających, bądź przez nią budzonych i popieranych. Co można myśleć o konsekwencyi dziennika, który na jednej z kart swoich uliczne burdy i rabunki przypisuje wpływowi na lud nasz teoryi Darwina, a na drugiej gromi ogół za obojętność dla naukowej wyprawy jednego z uczonych naszych! Wielki Boże! alboż Darwin stworzył walkę o byt i rozwijanie się gatunków? Gdyby tak było, moglibyśmy mniemać, że nasz uczony stworzy coś innego, co Darwinowskie twory w niwecz obróci. Ale każdy wie, że rzeczy tych Darwin nie stworzył, tylko wyczytał je na obliczu natury, którą badał.

Skoro zaś ostatecznym wynikiem czytania w obliczu natury są burdy i rabunki uliczne, głupstwem byłoby, jeżeli nie występkiem popierać tego, kto płynie daleko, aby w czytaniu tem wziąć udział. A nuż wyczyta on to samo, co wyczytał Darwin?

Otóż i przybędzie jeden jeszcze szerzyciel mordów, złodziejstw, burd, rabunków i — nadewszystko — politycznych odszczepieństw!

Nie! Dopóki nauka stawioną będzie przed ogółem w takiej postaci obosiecznego miecza, z taką twarzą Janusową, z jednej strony ziemską a z drugiej piekielną, niepodobna spodziewać się, aby ogół ten przypadł do niej z zapałem, ze czcią, z wiarą w zbawienność jej dla losów publicznych. I zważmy jeszcze, że z natury swej skłonniejszy on jest do marzeń, niż do badań, do artystycznego tworzenia, niż do naukowych mozołów. I zważmy jeszcze, że na drodze umysłowego rozwoju jego stoi przeszkód tysiąc, do których my, z naszej strony, dodajemy tysiączną pierwszą, może najpotężniejszą.

Lecz słyszę odpowiedź:

— »Nie przed nauką przestrzegamy ogół, nie jej samej przypisujemy wpływy, wytwarzające różne gatunki zbrodni i zbrodniarzy, ale — tym ruchom myśli, których ona jest budzi-

cielką, tym ruchom myśli, które jak wzburzone fale biją w strony powag, i jak topory pionierów trzebią gęstwinę dotychczasowych mniemań, siejąc po drodze ziarna nowych pojęć, wiar i dążności. Te to ruchy myśli w karbach trzymać chcemy, aby nakształt swawolnych dzieciaków nie rozrzuciły nam domu naszego«.

Teraz z kolei zawołać trzeba: ostrożnie! ostrożnie z trzymaniem w karbach myśli ludzkiej! Spowinięta i na miękkiej pościeli złożona, może ona tylko spać albo kaprysić. Sen zaś myśli publicznej, to śmierć narodu, a kaprys jej, to szał, niosący mu niebezpieczeństwa straszne.

Jakże podobna marzyć o załatwianiu spraw jakichkolwiek, o rozwiązywaniu jakichkolwiek zagadnień przez społeczeństwo, któremu własna inteligencya tylko w pewnych granicach i do pewnego stopnia uczyć się i myśleć doradza? Któremu wmawiają, że badanie, rozbiór, krytyka, są stopniami, prowadzącymi do zbrodni? w którym każda myśl, swobodniej nieco poruszająca się i przemawiająca, nosi miano zdrady? Którego władze umysłowe, zamiast nabierania w ćwiczeniach giętkości i energii, w zalecanej im bezczynności sztywnieją i drzemią?

Nie! Na takich drogach nie znajdziemy nigdy sposobów rozwiązywania węzłów społecznego życia naszego, ani sił dostatecznych do ich rozwiązywania.

Po takich drogach społeczeństwo postępować musi z pośpiechem podróżnika, który trzy kroki naprzód a dwa wstecz dokonywał, bo każdy postęp, zdobyty mozolnie przez umysły uswobodnione i czynne, pochłaniany będzie powodzią głupoty apatyi.

Tylko rozbudzona silnie ciekawość umysłowa doprowadzić może do zgruntowania interesów społecznych, tylko z niepodległej myśli powstać mogą zadość im czyniące energiczne czyny.

Kłamią z rozmysłem, albo w dobrej wierze, lecz ciężko mylą się ci, którzy utrzymują, że badawczość, krytyczność, słowem, niepodległość myślenia, sprzeczne będąc z narodową tradycyą naszą, mogą zbiorowej indywidualności naszej właściwe cechy jej odebrać i, co za tem idzie, o znikanie i zniknięcie ją przyprawić. O! pocóż tak gorąco niby tradycyę tę miłując, tak strasznie spotwarzacie ją przed nami? Pocóż, okazując dla niej cześć tak bezwarunkową, wydzieracie z korony jej klejnot najwspanialszy?

Tradycya ta nasza, jak każda inna, posiada dwie strony:

jedną, która wstecz cofa pokolenia współczesne, i drugą, która zaklina je, aby postępowały naprzód. Dlaczegoż w pierwszej tylko spostrzegać cechy właściwe zbiorowej jednostce i słyszeć nauki przodków?

Najwspanialszym klejnotem tradycyi naszej jest właśnie ta epoka, w której z najswobodniejszych i najenergiczniejszych ruchów publicznej myśli powstawały, wyprzedzające prawie czas swój, zjawiska politycznej i społecznej natury. Była wtedy tolerancya religijna, pozwalająca bezpiecznie i swobodnie żyć na ziemi naszej dysydentom, Żydom i Mahometanom, a czcią publiczną okrywająca pisarzy takich, którzy, jak Rej z Nagłowic, wiarą religijną różnili się z większością narodu, lecz jednoczyli się z nią w ludzkiej i obywatelskiej cnocie. Była wtenczas cześć dla nauki taka, że kanclerz państwa kosztem własnym wznosił w Zamościu przybytek dla niej, że największy z wieszczów krajowych jeździł po nią aż na krańce Europy, że *Dworzaninowi* wolno było wobec księcia kościoła wysławiać wielkość jej i dobrodziejstwa, że sami książęta kościoła jawnie i szlachetnie wyznawali humanitarne idee z gruntu jej wyrosłe.

Wtedy to na wysoki poziom wyniesiona cywilizacya klas wyższych wywierała na klasy niższe atrakcyę potężną: mieszczanin oświecał się, wzbogacał, pracował — Żyd uczył się krajowej mowy i przybierał strój ogólnie noszony.

Oto jest strona tradycyi naszej, którą bardzo mała liczba przewodników umysłowości społecznej społeczeństwu ukazuje. Cóż? czy nie warto jej właśnie wziąć za przykład dla teraźniejszości, jej właśnie zagłady w pamięci publicznej lękać się, przez nią głosami przodków do ogółu przemawiać?

I kłamią także albo srodze mylą się ci, którzy budowę naszą za tak kruchą poczytują, że pierwsze lepsze nadużycie krytyczności i niepodległości myślenia o rozpadnięcie się przyprawić ją może. Zapewne, każde dobro przynosi za sobę niepożądane wybujałości i nadużycia. Są krańce myślenia takie, na których krytyka wnet tylko rozwalać a niepodległość burzyć, na których panują mrzonki, utopie, wszechwzględne i rozkładające negacye. Lecz czyliż tak już jesteśmy słabi, że niezbędnej tej, wszędzie w Europie istniejącej wybujałości nie moglibyśmy zwalczyć i przetrwać? Lękliwość ta nieuzasadniona, bo niczemu nie zaradzająca, bo to właśnie, czego lękamy się, wnika do nas przez wszystkie szczeliny na szeroki świat otwarte, a duszność powietrza naszego wzmaga tylko ostrość i szkodliwość tych powiewów, przybywających z zewnątrz. Starając się zmniejszyć

wpływy nauki na społeczność i trzymać w karbach rozwój i wzlot jej myśli, tłumimy ognisko, które ogrzać i oświecić nas może, a nie możemy przeszkodzić temu, że parzą nas iskry, lecące z ognisk sąsiednich. Czyliż tak trudno zrozumieć, że dla swawoli myśli tylko swobodna praca myśli hamulcem być może, że tylko nauka udziela oręży, mogących zwalczać utopie, że tylko na wysokim stopniu umysłowego rozwoju wyrabiają się siły twórcze, zdolne stawić tamy prądom burzącym.

Co do mnie, wierzę, że wtedy tylko zagadnienia nasze społeczne wszelkie, z żydowskiem włącznie, szczęśliwie rozwiązane zostaną, gdy nauka da nam możność badawczo, jasno i swobodnie myśleć, a myśl badawcza, jasna i swobodna nauczy nas energicznie i umiejętnie działać.

Wierzę mocno, że zbiorowa indywidualność nasza posiada za sobą tradycyę taką, a w samej sobie takie jeszcze siły trwania i życia, że myśl oświecona i niepodległa w najszerszych rozmiarach i ze wszystkiemi nawet krańcowościami swemi, unicestwić właściwych cech jej, ani o zagładę przyprawić jej nie może.

Wierzę, iż prędzej lub później — może bardzo prędko, zrozumiemy wielką omyłkę naszą i, zamiast gasić światło, z całych i wszystkich sił naszych rozpalać je będziemy.

Wierzę, że na wyższy poziom wyniósłszy ogólną umysłowość naszą, prędzej niż dotąd pozbywać się będziemy starych przesądów i nałogów; że, pod działaniem uswobodnionej i wyćwiczonej myśli, prędzej, dzielniej wykonywać się będą wszystkie nasze przedsięwzięcia i prace, że wiekowa cywilizacya nasza, skrzepiona i odmłodzona wiedzą i pojęciami czasów nowych, przyciągnie ku sobie i spoi ze sobą te grupy społeczne, które dziś są jej jeszcze wrogie albo obce.

Wierzę, że gdy dziecinne baśnie i fantastyczne widma ustąpią miejsca prawdom i naukom wiedzy, nienawiści umilkną, odrębności znikną, niedołęstwa zamienią się w dzielność a pogardy i złorzeczenia we wzajemny szacunek dla spraw i godności człowieka.

Wierzę mocno, że tak się stanie. A jeśli ta wiara moja próżnem jest marzeniem, niech umrę wprzód, nim ją postradam!

* * *

...Po przeczytaniu myśli i uwag powyższych, powiedziałeś mi pan, że są one drobną zaledwie częścią tego, co o Żydach i kwestyi żydowskiej napisaćby można.

Naturalnie. Inaczej nie zamierzałam. Przedmiot ten jest tak różnostronny, tak gromadzącymi się na nim od wieków kolcami zjeżony, tak z najróżniejszemi innemi zagadnieniami i interesami zwikłany, że, aby ze wszystkich stron go ukazać i wszystkie składowe części jego ścisłemu rozbiorowi poddać, trzebaby pisać bardzo długo i daleko uczeniej, niż ja to uczynić mogłam. Co więcej, uwagi i myśli te, luźnie i pobieżnie kreślone, nie przedstawiają nawet wszystkiego, co kiedykolwiek przyniosły mnie samej długie godziny badania przedmiotu tego w książkach, życiu i własnej rozwadze. Chciałam, aby pismo to było krótkie i lekkie; bo głównym celem jego jest wezwać przez nie szerszy ogół do głębszego zastanawiania się nad przedmiotem tym, do żywszego zajmowania się nim — nie namiętności, ale władz myślenia i rozumowania. Pragnę też, aby ulotne kartki te przyczyniły się do wywołania około sprawy tej ruchu tego i tej zamiany myśli, które jedynie drogi czynom rozświecać i torować mogą. Wprawdzie utrzymują niektórzy, że od zbyt wytężonego ruchu umysłowego, od niezmiernej liczby głosów naradzających się nad publicznemi sprawami, aż duszno się u nas zrobiło. Ja jednak zdania tego nie podzielam i myślę, że we względzie tym wyosobnioną nie jestem. Wielu zgodzi się z tem, że jest duszno — ale, aby duszność ta pochodziła z nadmiaru życia i ruchu, to już być może tylko indywidualnem zdaniem kogoś, kto, stworzony na zakonnika, wypadkiem jakimś pośród świata żyjących pozostał, a ziemskie głosy uszy jego ranią, bo mu niebiańskich słuchać przeszkadzają. Prosta ziemianka i ogniwami mocnemi, jak miłość bez granic, do rodzinnej ziemi swej przywiązana, pragnę nietylko mówić o wszystkiem, co jej dotyczy, ale chciwego nadstawiam ucha w stronę, w której jakiekolwiek toczą się o niej rozmowy, i rozmów tych pragnę i je wyzywam i wierzę, że myśl dyktuje słowo a myśl i słowo wywołują, wzmagają i prostują czyny.

Ale — mówisz pan jeszcze — niejedna z kart tych mnogie zarzuty wywołać i niezadowolenie obudzić musi. Niezawodnie. Co do zarzutów, wszak mogą one być słusznemi, a wykazując błędy lub zasadnicze opuszczenia, które popełnić mogłam, przyczynią się tylko do wyjaśnienia prawdy. Co zaś do niezadowolenia, nie myślę, aby ono powszechnem być miało. Geniusz nawet, nie już prosta i skromna zdolność pisarska, z nieba nie spada ani z ziemi wyrasta. Pisarz, wyrażając myśli i uczucia swoje, wyjaśnia tylko i porządkuje myśli i uczucia pewnej przynajmniej części społeczeństwa. To, co w społeczeństwie nie ist-

nieje całkiem, i w piśmienictwie jego objawiać się nie może. Umysł i serce pisarza czerpią natchnienie swe z łona ogółu tego, którego on jest dziecięciem, tworem i jeżeli niekiedy kierownikiem także, to jednak zawsze uczniem i sługą.

Zupełnie przecież słusznie wspomniałeś pan o większości... Wiem. A w odpowiedź powtórzę tylko słowa poetki:

Kto w majestacie myśli się zasłucha,
Ten poprzez tłumów groźby i przekleństwa,
Przez piekło ognia, przez ocean wody,
Z wzniesionem czołem pójdzie...

„SILNY SAMSON“.

(OBRAZEK MIEJSKI).

Drukowany po raz pierwszy w r. 1878-ym.

Jeżeli kiedykolwiek zechcesz, czytelniku, znaleźć w mowie ludzkiej jednoznacznik wyrazu: »Żyd«, weź dykcyonarz historyczny, szukaj pod literą »K«, a gdy znajdziesz imię: »Krezus«, podkreśl je i pamiętaj, albowiem posiądziesz już wiedzę, której żądałeś. Synonimem Żyda jest: »Krezus«.

Żyd i Krezus, to zupełnie wszystko jedno. Każdy przecież wie, że pomiędzy Żydami są Rotszyldowie przedewszystkiem, a następnie też i inni bankierowie, posiadający nie wiem już jaką ilość milionów i pałace, pełne złoceń, rzeźb, kobierców, zwierciadeł i t. p.

Stąd wniosek prosty, jak dwa a dwa cztery, że plemię, wydające z siebie Rotszyldów i owych innych bankierów, jest bardzo bogate i caluteńkie opływa w miliony, pałace, złocenia rzeźby, zwierciadła i t. d., a jeżeli którykolwiek z synów plemienia tego nie opływa w to wszystko, to dlatego tylko, że sam nie chce, bo obyć się może byle czem; gdyby jednak chciał, opływałby z pewnością.

Bogate plemię! szczęśliwe tedy plemię! Uznaję w zupełności to szczęście jego i temu tylko dziwię się, dlaczego Szymszel, syn Gerszona, a mąż Cipy, nic a nic o bogactwie tem i wynikającem z niego szczęściu nie wie. Widząc tę zupełną nieświadomość Szymszela, myślałam zrazu, że udaje on, kryje się ku lepszemu wyprowadzeniu w pole gojów, pomiędzy którymi wybrał już sobie z pewnością Meropię jakąś, czyli ofiarę, na wyzyskiwanie przez zarząd kahalny skazaną i sprzedaną, o których-to Meropiach, czyli ofiarach, tyle u nas mowy było w ostatnich czasach.

Po bliższem jednak przypatrzeniu się, z najgłębszem zdziwieniem przekonałam się dowodnie, że Szymszel w istocie i najszczerzej Meropii żadnej nie posiada, a o bogactwie i wszelkich szczęśliwościach, których on źródłem jest, nic zgoła nie wie. Co

się tyczy złoceń, rzeźb i zwierciadeł, wątpię nawet, czy Szymszel widział je kiedykolwiek w życiu, chyba, że zwierciadłem nazwiemy lusterko, mające ćwierć łokcia długości, które w drewnianych ramkach, bez śladu złoceń i rzeźby, wisi nad kuferkiem Cipy, a ku któremu sześcioletnia Esterka, dziecię Szymszela, wspina się po kilka razy dziennie, w celu zapewne zobaczenia ognistych kędziorków swych, błękitnych oczu, śmiejących się do lusterka, i bladej twarzy ojca, który uśmiecha się, patrząc na lusterko i na nią.

O innych więc zwierciadłach, niż to, w którem odbija się zawsze kawałek brudnej ściany, a czasem figlarny nosek Esterki, Szymszel nic a nic nie wie, tak jak zresztą nie wie o mnóstwie zjawisk i rzeczy, choćby dość pospolicie istniejących na tej ziemi; albowiem wyznać to muszę z wielkim wstydem, uczuwanym za tę postać obrazka mego — krąg rzeczy i zjawisk, znany Szymszelowi, jest niezmiernie ciasnym, jakkolwiek zresztą z nieświadomości tej rzeczy ziemskich, rządząc się sprawiedliwością, wyłączyć należy izbę, mającą 10 stóp długości, a pięć szerokości, którą Szymszel zna dokładnie we wszystkich jej szczegółach, raz dlatego, że mieszka w niej od lat dwunastu, następnie, iż niema w niej nic do poznawania, prócz dwu łóżek, piętrzących się pościelą burakowej barwy, ogromnego pieca z czarnym jak otchłań otworem, wiecznie przy piecu suszących się szmat odzieży, okienka w spróchniałych ramach, stołu pod okienkiem, stołków trzech, kota jednego i pięciorga dzieci.

Pięcioro dzieci szczególniej Szymszel zna dobrze, bo bardzo je kocha. Jakżeby ich zresztą mógł nie kochać, skoro są to wszystko dzieci zupełnie niepospolite, piękne na podziw, rozumne nad wiek, a dobre!... no, co to już o tem gadać!... Gada jednak o tem długo i często Cipa, a Szymszel nie przeczy jej bynajmniej. Owszem, czuje on sam głęboko całą niepospolitość dzieci swych i cieszy się nią nie mniej od Cipy, choć w milczeniu, tworzącem sprzeczność z wymownością ich matki.

Każde z dzieci tych sprawia mu tak wielkie, a coraz inne pociechy!

Esterka, naprzykład, iskrą jest, nie dzieckiem. Trzewiczki nosi ona tylko w sobotę, i to jakie! żal się Boże! wybrane z kosza starej łachmaniarki, znoszone już przez bogate dzieci jakieś, czasem atłasowe, albo z cieniutkiej safianowej skóreczki, czasem błękitne albo ponsowe, ale podarte bardzo i sznurkami, zamiast tasiemek, związywane. Ale w trzewiczkach tych, lub bez nich, drobne jej nóżki drepcą po izbie, wskakują na matczyny kufe-

rek, skaczą po kamieniach, okrywających podwórko, a czasem zwieszają się na płocie, odgradzającym podwórko od sąsiedniego domostwa, w ten sposób, że wydaje się, jak gdyby były tam bez swej właścicielki; wyższa bowiem połowa ciała Esterki zwisa ku dołowi z jednej strony płotu, a niższa z drugiej.

Włosy jej, rozczochrane zawsze do ostatnich granic, wyglądają jak zwikłane z sobą kręte płomyki, a są tak wielkie, że mała, okrągła twarzyczka jej, z koralowym punkcikiem w miejscu ust, wydaje się pośród nich zupełnie malutką. Taką jest Esterka, trzecie z rzędu dziecko Szymszela.

Doskonale dobraną z nią parę tworzy brat jej młodszy o rok, Mendele, którego jedynemi indywidualnemi cechami zdają się być dotąd: spencerek z różowego płócienka i wiecznie z za niego wymykające się, a ku ziemi zwisające białe tasiemki, na które wciąż następując, Mendele często pada i przeraźliwym krzykiem rozdziera nawskroś tę malutką ilość powietrza, która napełnia izbę i ciasne podwórko; że jednak na krzyk ten nikt a nikt najmniejszej uwagi nie zwraca, trwa on zazwyczaj krótko. Mendele samodzielnie powstaje z upadku, poprawia malutką jarmułkę na włosach, tak jak u siostry ognistych i ogromnych, i w towarzystwie Esterki rozpoczyna na nowo po płotach, stosach śmiecia i różnych kołyszących się deskach najrozmaitsze akrobatyczne ćwiczenia, na które Szymszel spogląda przez okno z cichym uśmiechem głębokiej radości.

Mendele zresztą skończy już, niestety! wkrótce tę najpiękniejszą zapewne w życiu swem epokę bezgranicznej swobody i niezmąconej wesołości; za parę miesięcy bowiem będzie on już miał lat pięć, będzie więc musiał rozpocząć prawidłowo prowadzone kursy naukowe. I tak już z rozpoczęciem ich spóźnił się znacznie.

Przed rokiem, coś około czwartej rocznicy urodzin jego, była już mowa pomiędzy nim a rodzicami o posyłaniu go do chederu.

Podówczas przecież Mendele na uczynione mu w tej mierze przedstawienie w żaden sposób zgodzić się nie chciał. Nie chciał iść do chederu — i koniec. Schwycił się obu piąstkami za spódnicę matczyną, przysiadł, stopami wparł się w ziemię, wrzasnął ogromnie, strumień łez z błękitnych oczu na rumiane policzki wypuścił — i nie poszedł!

Cipa gniewała się zrazu i martwiła wstrętem tym, okazanym przez czteroletniego syna do nauki i do przedstawiciela jej,

mełameda o długiej brodzie, plecach przygarbionych i ponurem wejrzeniu.

Pocieszył ją jednak mąż, mówiąc:

— Kiedy ja byłem w jego wieku, ja po ulicach jeszcze biegałem i bawiłem się... jednak, ot do czego później doszedłem... dojdzie i on kiedyś, a tymczasem niech jeszcze trochę podrośnie!

Starszy zato syn Szymszela, dziewięcioletni Enoch, od pięciu już lat uczęszczał do chederu, umie wybornie czytać po hebrajsku, biegły jest w znajomości Chumeszu czyli Mojżeszowego Pięcioksięgu, a przed rokiem wstąpił już nawet na szczebel wyższej całkiem nauki, rozpoczynając studya nad Talmudem i komentarzem Raszy.

Niezwykłe to postępy! Cóż, kiedy czarne oczy wysmukłego dziecka rozwarły się też niezwykle szeroko i, niezwykle głęboko zapadłe, świecą wśród ściągłej, bladej twarzy blaskiem gorącym jakimś i tak jakoś smutnym, jakby się ciągle na coś skarżyły. Skarżył bo się też zrazu mały Enoch na srogość mełameda swego, pokazując uszy swe, tak zaczerwienione od częstego ich targania, że świeciły jako rubiny w gęstwi czarnych włosów. Cichutko mówił też matce, że bolą go plecy i głowa: pierwsze od uderzeń mełamedowej pięści, druga od nadzwyczajnej ilości wiedzy, gromadzącej się na zbyt małej stosunkowo przestrzeni dziecięcego mózgu.

Skargi te Enocha, nie otrzymując przecież żadnego pocieszającego rezultatu, ustały wkrótce.

Mełamed, nauczający Enocha, najtańszym był ze wszystkich mełamedów, wydających z siebie światło w mieście Ongrodzie; a chociaż wśród narodu żydowskiego są i Rotszyldowie i inni owi bardzo bogaci bankierzy, Szymszel i Cipa nie byli w możności opłacania mełameda takiego, któryby z większą łagodnością charakteru i ogładą obyczajów łączył też i większe wymagania.

Enoch tedy uczy się dobrze i umie bardzo wiele, ale nie uczuwa tego wewnętrznego zadowolenia, które towarzyszy zazwyczaj szczęśliwym podróżnikom po krainach wiedzy. Nie ma on wcale pozoru ani szczęśliwego, ani zdrowego dziecka. Po powrocie z chederu siaduje najczęściej w kącie izby na ziemi. Zrudziałą czapeczkę nasuwa na czoło (bo, bardzo nabożnym będąc, nie chce ani przez chwilę zostać z odkrytą głową) i albo w zamyśleniu głębokiem rozgrzebuje pałeczką śmiecie, zalegające kąt izby, albo, trzymając na kolanach wielkiego burego kota,

zwolna przesuwa po sierści jego małą, chudą rękę i wielkiemi swemi, zapadłemi, smutnie byszczącemi oczyma spogląda w złotawą i przyjaźnie ku niemu mrugającą źrenicę kocią. Stworzenie to, wzięte przez Cipę na ulicy małem, zjeżonem i z głodu mrącem kocięciem, wyhodowane razem z dziećmi swej właścicielki, posiada w rodzinie, oprócz Enocha, jedną jeszcze istotę, do której czuje żywą sympatyę.

Istotą tą jest najstarsza córka Szymszela, dziesięcioletnia Liba, wysmukła, szczupła i od pięciu już lat kaszląca. Liba twarz ma bladą i zdradzającą chorobliwe usposobienie, oczy jasnoszare, z wyrazem cierpiącym i cierpliwym, włosy lnianej barwy, gładkie i z tyłu głowy splecione w krótki, sterczący warkoczyk. Uważana w domu za zupełnie dorosłą już osobę, Liba jest bardzo poważna i rozważna, zastępuje przy gospodarstwie matkę, po całych dniach w domu nieobecną, i piastuje młodsze rodzeństwo.

Pali ona w piecu, chodzi po wodę do poblizkiej studni, strawę gotuje, raz na tydzień izbę zamiata, sto razy na dzień przechodzi najróżniejsze katusze z powodu Esterki i Mendelka, których ustawicznie szukać musi, wołać, strofować albo pocieszać, a wszystkie czynności te spełniając z niezmierną powagą i wytrwałością, obraca w chudych dłoniach druty wełnianych pończoch, czasem żółtawych, a czasem czarnych albo błękitnych, które robić nauczyła ją matka przed sześciu laty i które też od lat sześciu robi ona dla matki, siebie i rodzeństwa, a czasem, w wypadkach trudnych przesileń finansowych, i na sprzedaż. Niekiedy Liba uczuwa się zmęczoną, siada na nizkim stołeczku pod piecem i ręce trzymające pończochę składa na kolanach; spoczynki te jednak trwają krótko. Najczęściej bowiem wtedy właśnie dwuletniemu Lejzorkowi przychodzi ochota spacerowania po izbie. Spaceruje tedy, gwarząc głośno i energicznie machając rączkami, potem pada i wrzeszczy okropnie, a Liba wstaje, podnosi go z ziemi i kołysze w objęciach póty, dopóki dziecko nie uspokoi się i nie zaśmieje do pochylonej nad sobą twarzy siostry. Wtedy Liba składa je w kołysce i chce odejść ale Lejzorek ponownie wydaną z piersi nutą najżałośniejszego minoru objawia żądanie, aby pozostała przy nim. Kołyska stoi tuż przy łóżku Cipy, wysokiem samo przez się, a podwyższonem jeszcze dwoma leżącemi na niem pierzynami. Libie, jakkolwiek wysmukłą jest względnie do wieku swego, na łóżko to wejść trudno; gramoli się jednak na nie, siada na szczycie pierzyn, nogi opiera o brzeg kołyski i, robiąc swą pończochę, może już

wygodnie z wysokiego stanowiska tego doglądać Lejzorka, który usypia, ale od chwili do chwili otwiera jeszcze oczy, patrząc, czy siostra jest przy nim.

Nie wiem, czy te otwierające się co chwila senne oczy dziecięce spostrzegają, jak wydatnie a zarazem dziwnie jakoś, głowa poważnej dziewczynki, z bladą twarzą, spuszczoną powieką i sterczącym z tyłu warkoczykiem, odbija od burakowego tła piętrzących się dokoła niej pierzyn i poduszek.

Takiemi są dzieci Szymszela; lecz kim i jakim jest sam Szymszel? Kim jest?

W pytaniu tem zawierają się kwestye urodzenia i tego wyższego lub niższego stanowiska, które człowiek zajmuje na drabinie hierarchii społecznej.

Co do urodzenia, nie umiem powiedzieć państwu dokładnie, kim był rodzic Szymszela.

Woziwodą podobno, czy drwalem. Jedni mi mówili tak, a drudzy inaczej; lecz wszyscy zgadzali się w twierdzeniu, że musiał być bardzo ubogim, skoro syn jego uczyć się zaczął w Talmud-Torze, to jest w szkółce bezpłatnej.

Co zaś do stopnia hierarchii, że wysokim on być musi, wnieść możemy z owych słów Szymszela samego, do żony powiedzianych: »Ot, do czego ja doszedłem!«

Człowiek, który wyrazy te wymawia z dumą i zadowoleniem, do czegoś ważnego i wysokiego dojść musiał.

Szymszel posiada istotnie to stanowisko, które my wszyscy przywykliśmy uważać za wysokie i szacunek, a nawet pewną wdzięczność u ludzi budzące, jest on bowiem... Sprawię wam, czytelnicy, niespodziankę prawdziwą, gdy powiem, że Szymszel jest — uczonym.

Wiadomość ta nie stanie w sprzeczności najmniejszej z uprzedniem twierdzeniem mojem o tem, że krąg rzeczy i zjawisk, znanych Szymszelowi, jest nadzwyczaj ciasnym, jeżeli tylko zechcecie z pamięci i wyobraźni swej wykluczyć w tej chwili wszystkie wiadome wam akademie, uniwersytety i wysokie instytuty, rozdające uczniom swym dyplomy na uczoność w znanych wam z imienia przynajmniej gałęziach wiedzy.

Zakłady naukowe, w których Szymszel uczoność swą zaczerpnął, nazywają się: Talmud-Tora, Jeszybot i Bet-ha-midrasz. Tworzą one stopnie zupełnie takie: szkółka elementarna, gimnazyum i akademia.

Nie wszyscy Żydzi stopnie te przechodzą. Są tacy, którzy dla braku zdolności albo ochoty zatrzymują się na pierwszym

albo na drugim; Szymszel nie zatrzymał się i przeszedł wszystkie.

Co więcej, dosięgnąwszy na pierwszym ze stopni tych lat wieku swego dziesięciu, na drugim trzynastu, na trzecim ośmnastu, a w ośmnastym roku ożeniwszy się, nie przestał jeszcze się uczyć.

Chodził do Bet-ha-midraszu i uczył się, siadywał wieczorami i nocami całemi w izbie swej, przy stole stojącym u okna i — uczył się.

Czego mianowicie uczył się?

Religii swej, dziejów jej, niezmiernie licznych a subtelnych jej odcieni, metafizyki w niej zawartej i przyozdabiających ją podań, przypowieści, aksyomatów, legend, których część znaczna — czy uwierzycie państwo? — porównaną być może do pereł i kwiatów ludzkiej myśli. Szymszel więc jest — jakby to powiedzieć? — teologiem-metafizykiem, a w części też i dziejoznawcą, w tej części, która ściśle i bezpośrednio dotyczy dziejów ludu żydowskiego i wiary jego. Poza tą dziedziną wiedzy, w której dosięgnął wysokiego bardzo stopnia biegłości, nie wie on o niczem a o niczem, i poza czynnością ustawicznego ćwiczenia się w swej specyalności, nic a nic nie robi.

Absolutne zagłębianie się to w specyalności, dość oderwanej od potrzeb i wymagań codziennego bytu, wprowadziłoby codzienny byt Szymszela i pięciorga jego dzieci w trudności nierozwikłane, gdyby nie ożenił się on był, mając lat ośmnaście, z Cipą, która miała lat szesnaście; gizelką była w dużym sklepie korzennym, na handlu więc i manipulacyach jego znała się, a zostając żoną uczonego (dzięki swatostwu kupcowej, u której służyła), uczuła się tak szczęśliwą i zaszczyconą tem małżeństwem, iż człowiekowi, który ją podobnie świetnym losem obdarzył, oddała się z duszą i ciałem, z miłością tkliwą a nieśmiałą, z czcią głęboką i niezmordowaną ochotą do poświęcenia się bezgranicznego.

Szymszel, syn woziwody czy drwala, ubogi uczeń bezpłatnej szkoły, nie posiadający żadnego majątku, prócz dwustu złotych, zebranych dla niego drogą składki publicznej, uchodził przecież w oczach młodych dziewcząt i rodziców ich za partyę tak świetną, że, gdy małżeństwo jego z Cipą ogłoszone zostało, wszyscy jednomyślnie dziwili się szczęściu małej gizelki, której stara matka roznosiła po ulicach ciężkie kosze z owocami, a siostry powychodziły za szewców, stolarzy i tym podobnych ludzi grubego rzemiosła i nizkiego stanu. Szewcy ci i stolarze po-

siadali wprawdzie własne małe domki, duże warsztaty i stałe dochody.

Szymszel nie miał ani domu, ani pracowni żadnej, ani żadnego dochodu, ale był uczonym i przytem — a może i zatem — tak pięknym i delikatnym!...

Szymszel i Cipa tedy pobrali się, mając społem kapitału rubli trzydzieści. Oprócz tego, Cipa miała jeszcze wyprawę, t. j. trzy koszule, dwie pierzyny, dwie suknie i kaftan watowany jeden.

Nic więcej nad to w porze pobrania się swego nie mieli, a jednak od lat już oto dwunastu jakoś istnieją...

Urodziło się im przez czas ten dziewięcioro dzieci, z których czworo umarło, a pięcioro żyje; urodzi się pewno jeszcze z pięcioro, z których ze troje umrze, a ze dwoje wyhoduje się... a jednak oni żyć będą...

Dziwnem się to zapewne wyda państwu, a może i nieprawdopodobnem, aby rodzina jakaś, w tak świetne — szczególniej liczebne — rezultaty obfitująca, żyć mogła z kapitału, wynoszącego rubli trzydzieści. Ja sama dziwiłam się temu niezmiernie dopóty, dopóki zblizka nie poznałam Cipy.

Z pozoru jest to sobie mała Żydóweczka, zupełnie, jak to mówią, prosta. Dwadzieścia ośm lat mając, wyglądała na czterdzieści z górą.

Nizka, naprzód podana, z plecami, na których watowany kaftan garbi się i błyszczy, nie tyle od cenności materyi, ile od zgrzybiałego wieku, przesuwa się ona przez tłum drobnym, śpiesznym, a jednak nieśmiałym i jakby skradającym się krokiem...

Wydaje się widocznie skłopotaną czemś, ogłuszoną, ogłupioną, i tylko czarne oczy jej ruszają się wciąż bardzo szybko wśród śniadej, zwiędłej twarzy i rzucają często bardzo żywe błyski.

Błyski te zdradzają ustawiczne a bystre szukanie i upatrywanie czegoś, a niekiedy niespokojne, czujne i namiętne pożądanie. Zdarza się też czasem, że oczy Cipy przybierają wyraz złośliwy i doskonale wtedy harmonizują z czołem nizkiem, okrytem od gęstych brwi aż po kraniec czarnej peruki niezliczoną ilością drobnych zmarszczek.

Raczcie jednak państwo nie żartować z tej małej, prostej Żydówki, bardzo nieestetycznie i niemądrze wyglądającej; dokonała ona rzeczy pewnej, wcale ważnej, rozwiązała w praktyce pewną kwestyę społeczną, którą świat cały uznał za niezmiernie

trudną do rozwiązania, mianowicie: kwestyę równouprawnienia kobiety wobec praw zarobkowych.

Cipa doprowadziła rozwiązanie kwestyi tej do ideału, albowiem zarobkiem swym utrzymuje od lat dwunastu siebie, męża i pięcioro dzieci, we wszystkich przedsiębiorstwach swych, do celu tego prowadzących, wspierając się na kapitale, wynoszącym rubli trzydzieści.

Za owe rubli trzydzieści, wyobrażające podwalinę rodzinnego jej bytu, Cipa założyła sklepik korzenny, mając w dodatku, co prawda, przyobiecany sobie na równą sumę kredyt w sklepie, w którym pełniła przedtem funkcyę gizelki. Najważniejszem zadaniem dla wszelkiego przedsiębiorstwa, mającego na celu zarobek, jest znalezienie klienteli.

Cipa od pierwszego dnia założenia sklepiku zaczęła szukać klienteli i po dziś dzień jej szuka, nie dlatego, aby znaleźć jej nie mogła, ale że, znalazłszy, wnet ją traci i szukać musi nowej. Tracenie to staje się dla przyczyn rozlicznych, pomiędzy któremi nie najmniejszą rolę grają pewne tajemnicze czynności, którym Cipa oddaje się wieczorami, po zamknięciu sklepu, w tegoż sklepu kąciku ciasnym, pomiędzy szafą, kontuarem a ścianą.

Wtedy z kącika tego odzywają się szczególne szelesty jakieś, dokonywa się tam odklejanie niby czegoś i ponowne zaklejanie, przesypywanie i przelewanie.

Jakkolwiek przecież czynności, którym w chwilach owych oddaje się właścicielka sklepu, tajemniczo wyglądają przy mdłem światełku lampki, palącej się na ziemi za kontuarem, przesadą byłoby przypisywać im tragiczne znaczenie.

Cipa nie należy do żadnego spisku Żydów, ku szkodzie lub zniszczeniu chrześcijańskiej ludności skierowanego, nie przygotowuje w skrytości i tajemnicy żadnych zgubnych działań przeciw swej Meropii, bo ręczę za to państwu, że Meropii żadnej, którąby wyłącznie jej własnością była, nie posiada, a nawet wątpię, aby brzmienie wyrazu tego kiedykolwiek w życiu swem słyszała. Działa ona zupełnie na własną rękę, bez żadnej solidarności z resztą swego narodu.

Meropią jej jest zbiorowa istota, nosząca imię: kupującej publiczności; a możebnemi władzami, które ją skłaniają do owych różnych przesypywań i przelewań, czyniących dobre gatunki towarów miernemi, a mierne szkaradnemi, są: mąż uczony, dzieci pięcioro i trzydzieści rubli podstawowego w przedsięwzięciu kapitału.

Meropia Cipy, kupująca publiczność, posiada snadź smak

i węch wytrawny, gdyż członkowie jej, zaledwie zawrą znajomość z jej towarami, wnet nabywać je przestają (po mnogich, w dodatku, a niestety, słusznych wyrzutach, krzykach i łajaniach), tak, że wyszukiwanie coraz nowej klienteli stanowi dla Cipy cel nigdy nieustających starań i zabiegów. Stara się też ona i zabiega w sposoby najróżniejsze: jękliwemi prośbami, całowaniem rąk, oddawaniem każdemu, kto zażąda, wszelkich zażądanych przysług. Ażeby zasłużyć się publiczności i zdobyć od czasu do czasu jakiś grosz naddatkowy, staje się wszystkiem naprzemian: posłańcem publicznym, listonoszem, stręczycielem sług, pośredniczką między pożyczającymi a chcącymi pożyczać, sprzedającymi a chcącymi nabywać.

W sklepie siaduje dorywczo tylko, kiedy niekiedy; wyręcza ją tam matka, z sióstr która, sąsiadka jaka; ona zaś sama całymi dniami biega ze schodów na schody, dźwiga pod ramieniem ciężkie zawinięcia, nosi na plecach stosy starej odzieży, staje pokornie u progów różnych, z dwoma koszami w rękach, z których jeden zawiera bakalie, a drugi herbatę i butelki z winem, kłóci się z kucharkami i stróżami domów, którzy jej do dobroczyńców puszczać nie chcą, przekupuje surowość ich parą fig, albo garsteczką orzechów; niekiedy wpada w niecierpliwość i z osobami płci swojej, które wytwarzają dla niej uciążliwą konkurencyę, wszczyna na ulicach takie kłótnie, iż zbliżają się ku niej stróżowie porządku publicznego i do ustąpienia z placu walki skłaniają ją siłą pięści.

Raz nawet w ręku tych grubiańskich przedstawicieli wielkiej idei pozostał spory kawał aksamitnego niegdyś kołnierza, zdobiącego watowany jej kaftan.

Cipa po zginionej w ten sposób świetności stroju swego zapłakała rzewnemi łzami...

Chwila ta rozczulenia była przecież u niej całkiem wyjątkową.

W ogólności nie skarży się ona nigdy na nic, a jeśli czasem ktoś, spotkawszy okiem żałośliwe spojrzenie jej, zapyta ją z większem lub mniejszem współczuciem:

— Cóż, Cipo, czy wielka tam u was bieda?

Nigdy nawet na pytanie to nie odpowiada twierdząco, tylko mówi:

— Nu! jak Pan Bóg chce, tak jest.

Zdarzają się i tacy, którzy, znając nieco bliżej domowe stosunki Cipy, a widząc ciemną, pomarszczoną twarz jej, wilgo-

tną nieraz od potu zmęczenia i wstrząsaną pomimowolnemi, nerwowemi drganiami, mawiają do niej:

— A cóż-bo ten twój mąż przez całe życie robi? Dlaczego on ci nie pomaga?

Wtedy z twarzy Cipy znika wyraz znękania, a zastępuje go coś nakształt gniewu.

— On ma swoją robotę, — odpowiada mrukliwie — on nie może pomagać mi w handlu.

— Jesteś więc, Cipo, bardzo nieszczęśliwą, mając takiego męża niezdarę.

Słysząc to, Cipa podnosi głowę.

— Żebym ja miała dziesięć córek, to jabym Boga prosiła, ażeby im wszystkim dał takie szczęście, jak moje.

Przy słowach tych oczy jej promienieją i śmieją się, rozrzewniony uśmiech okrąża zwiędłe usta, a rumieniec wzruszenia czy zawstydzenia opływa pomarszczone czoło aż po brzeg czarnej peruki...

Ba! sztuki dokazałby ten, ktoby uzdolnił Szymszela do pomagania Cipie!

W pierwszych latach małżeństwa swego Cipa, sama nie znając jeszcze całej rozciągłości, jakiej dosięgła uczoność jej małżonka, pozostawiała go w sklepiku do pilnowania i sprzedawania towarów w czasie swej nieobecności.

Pilnować — pilnował i nawet bardzo sumiennie, bo, jak kamień, nieporuszony siedział za kontuarem, trzymając głowę w obu dłoniach i dumając nad tem, jakby się dały pogodzić dwa znajdujące się w Misznie przeciwne sobie twierdzenia: rabbi Gamaliela i rabbi Eliezera, albo — jakie wnioski wyprowadzić należy z pewnego powiedzenia rabbi Papy, z którego-to zresztą powiedzenia wyprowadzonych już zostało przez różnych komentatorów wniosków sto i dziesięć. Szymszel przecież usiłował wywieść z niego wniosek sto jedenasty i, dumając nad nim, pilnował powierzonego sobie sklepiku bez żadnej przykrości, ni przeszkody.

Ale gdy przyszło do drugiej części zleconej mu roboty, czyli do sprzedawania, rzecz zaczynała być wielce trudną dlatego, że nie mogła wesprzeć się na rozmowie, gdyż Szymszel nie rozumiał wcale języka, w którym przemawiali doń kupujący.

Parę razy wprawdzie zdarzyło się, iż znalazłszy na prędce tłómacza, za pośrednictwem jego rozmówił się z przybyłymi i żądane towary im sprzedał; lecz gdy Cipa po powrocie do

domu zbadała sposób, w jaki sprzedaż ta dokonaną została, zmieniła się w posąg rozpaczy, nieruchomy, niemy i tylko głową żałośnie kiwający.

Pokazało się, że Szymszel, ważąc zbywany towar, odważył go półtora razy więcej, niż należało (udawał bowiem tylko, że zna się na wadze, w gruncie zaś nic a nic mechanizmu jej nie rozumiał), a dając resztę z podanych mu pieniędzy, przeliczył się na swą niekorzyść o całe dwadzieścia groszy (na wartości monety znał się tyle, co i na wadze).

Nie wiem, dlaczego kupujący goj, tym razem spostrzegając wybornie omyłkę Szymszela, nie sprostował jej, lecz, przeciwnie, przenajspokojniej z niej skorzystał.

Stało się to zapewne dlatego, iż więcej, niż w świadectwo oczu własnych, wierzył on w to, że Żyd ani odważyć, ani przeliczyć na niekorzyść swoją nie może, i dlatego jeszcze, że z Meropii, czyli z ofiar wyzyskiwaniu poddanych, korzystać lubią, nietylko Żydzi sami, ale także niektórzy gojowie... Dość, że Cipa wyręczywszy się parę razy przez męża w sklepikowych czynnościach, wyręczać się nim nadal przestała.

Ręką swą zgrubiałą i ciemną powiodła zwolna po czarnych jego włosach, popatrzyła mu chwilę w twarz, uśmiechając się z nieśmiałą czułością, i powiedziała:

— Nu! idź ty do swojej roboty! ja już sama wszystkiemu dam radę... niech twoja głowa będzie o wszystko spokojną.

Szymszel poszedł do swojej roboty, czyli do swoich uczonych ksiąg i dumań.

Głowa jego była spokojną, a serce opływało w słodycze różnego rodzaju.

Szczęśliwym był on w sposób wieloraki. Duma wielka i doskonałe zadowolenie z siebie napełniały pierś jego wtedy, gdy do ciasnej i brudnej jego izdebki wchodzili ludzie różni, mężowie nieraz poważni bardzo, bogacze, ba! nawet uczeni, i zapytywali go o znaczenie różnych ciemnych miejsc w świętej nauce, prosili go o rady w różnych drobniutkich punktach religijnej kazuistyki, albo, poprostu, o opowiedzenie im tej lub owej historyi, poczerpniętej z Hagady, tej lub owej legendy, przypowieści i t. d.

Szymszel tłómaczył, wyjaśniał, radził, opowiadał, wpadał sam w zapał, graniczący z ekstazą, i zachwyceniem napełniał serca swych słuchaczy, którzy odchodzili z głębokimi ukłonami, oddawanymi mądrości jego i wymowie...

Była to jedyna uciecha Szymszela.

Drugą i nie najmniejszą czerpał on, jak już wiemy, z ojcowskiej miłości swej, rozdzielony pomiędzy pięć przedmiotów, z których każdy zachwycał go innymi wdziękami, a budził w nim czułość tkliwą, zachwyconą i wiecznie radosną. Smutek najlżejszy nie mieszał się z tą czułością. Teraźniejszość dzieci nią sprawiała Szymszelowi żadnej troski. Troszczyła się o nie srodze Cipa, ale że nigdy o troskach swych mężowi nie mówiła, więc nie wiedział o nich wcale.

Co do przyszłości, jeżeli kiedy Szymszel, patrząc na pięć pociech swych, pomyślał o niej, wnet mówił sobie:

— Enoch, Mendele i Lejzorek będą uczonymi, Liba i Esterka wyjdą za mąż za uczonych.

I nie była to nawet prosta nadzieja, ale pewność, która zupełnie uspokajając Szymszela co do przyszłej doli jego dzieci, dawała mu w dodatku uszczęśliwiający przedsmak chronicznej i bezwyjątkowej w rodzinie jego uczoności.

Trzeciem i najwyższem może źródłem szczęścia była dla Szymszela — praca.

Tak. Próżniakiem on nie był wcale, jak o tem mógłby mniemać ktoś, powierzchownie na rzeczy patrzący.

Ja, która często bywam w sklepiku Cipy i stamtąd spoglądam w głąb sąsiedniej izby, na własne oczy widuję nieraz Szymszela tak, ale tak zapracowanego, że mu aż pot kroplisty występuje na blade od znużenia czoło, krwiste plamy rumieńców pałają chorobliwie na policzkach, obrosłych czarnym włosem, a wargi drgają nerwowo od wzruszeń, doznawanych w walce z trudnościami zadania. Szymszel pracuje z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, lecz cóż za pyszne, wspaniałe nagrody otrzymuje wzamian za wysilenia swoje!

Jakich odkryć dokonywa!

Jakie głębokie a ważne rozwiązuje zagadki!

Jakie cudowne miewa złudzenia!

Raz, naprzykład, udało mu się odkryć, że w Kedaszym, czyli w księdze piątej Talmudu, traktującej o ofiarach, znajduje się wymienione imię zwierzęcia pewnego, które, jako nieczyste, nie mogło być składane w ofierze Panu, a o jakiem-to imieniu dotąd jeszcze nikt nie wiedział. I teraz także z odkrytego w księdze Kedaszym imienia tego nikt a nikt nie domyślił się, jakie mianowicie zwierzę ma ono oznaczać, niemniej przecież odkrycie to dostarczyło samemu Szymszelowi rozkoszy, będącej

zwykłym udziałem wynalazców, a w gminie całej stało się wielkim prawdziwie wypadkiem.

Jakże!... małą to rzeczą było dowiedzieć się, że zwierzę jakieś, niewiadomo jakie właściwie, ale takie a takie imię noszące, nie mogło być według prawa składane Panu w ofierze w świątyni, zburzonej przed dwoma tysiącami lat?

Innym znowu razem, Szymszel ujrzał rzecz nadzwyczajną. Było to w nocy. Cipa spała, dzieci spały, ale on nie spał i przy lampie o długim, kopcącym knocie, nad książką siedząc, pracował. Pracował długo, niezwalczony sen ogarniać go już zaczynał, gdy nagle, podniósłszy oczy z nad księgi, wyprostował się, pobladł śmiertelnie, rozwarł usta i oczy szeroko i tak już w nawpół przerażonej, a wpół zachwyconej postawie pozostał. Nie dziw, bo oto, co ujrzał w tej chwili.

Za oknem, przed którem siedział, wisiała gruba ciemność nocy. Na czarnem jej tle, przed oderwanemi od księgi, krwią nabiegłemi oczyma Szymszela, błysnęła naprzód długa, złota pręga, potem rozszerzała się zwolna, rozdzielała się na pręgi drobniejsze, aż rozwinęła się w drabinę złotą, której szczyt dotykał niebios, ciężkich jesiennemi chmurami, a podstawa wspierała się o zroszone deszczem kamienie podwórka.

Dokoła ciemność panowała czarna, a na tle jej promieniały szczeble tej drabiny złotej, z których na każdym stał anioł. Aniołowie to byli różni.

Szymszel rozpoznawał ich z kolei, niby istoty, których nigdy wprawdzie dotąd nie widział oko w oko, ale których portrety widywał nieraz na kartach czytanych ksiąg.

Tam, u samego dołu drabiny, wspierając ją całą potężnymi barkami swymi, stał Sar-ha-Olam, archanioł wiedzy.

— Nie darmo w Hagadzie nosi on tytuł księcia świata — pomyślał Szymszel, bo szkarłatna opona opływała olbrzymią postać jego, a na głowie swej dźwigał koronę, złożoną z liter misternie zwikłanych, a pałających na podobieństwo promieni tych, które strzelają ku niebu z męczeńskich stosów. Zresztą duch to był dumny i z chłodnem obliczem; otaczały go mgły srebrzyste, o których Szymszel domyślał się, że były wyłanianemi przez ducha myślami.

Mgły te, srebrnemi pasmami odrywając się od łona anioła wiedzy, ulatywały w otaczające go ciemności i gdy zdawały się walczyć z niemi w przestrzeni, Sar-ha-Olam patrzył na walki te wielkiem, spokojnem, przejrzystem okiem, a płomienne litery, splatające litery jego, układały się w wyraz:

»Z w y c i ę ż ę!«

Powyżej wznosili się aniołowie inni, różni, mniejsi i więksi, bardziej i mniej promieniści.

Szymszel poznawał ich wszystkich, każdego zwąc po imieniu.

— Oto jest anioł Metatron — mówił sobie w duchu. — Bądź pochwalony, aniele Metatronie, który strzeżesz Izraela, jako źrenicy w oku swojem, i biedną jego głowę osłaniasz skrzydłami swemi.

Skrzydła anioła Metatrona śnieżyście białe są i tak jak tałesy, chusty owe, w których modlą się synowie Izraela, obramowane ciemno-błękitnymi szlakami.

— A oto jest anioł Uryel z jedenastu towarzyszami, którzy rządzą dwunastu miesiącami w roku. A oto aniołowie wichru i ognia... wyglądają, jako tęczowe tumany, lecz barwy ich bledną co chwila... rozpraszają się oni, znikają, i stamtąd, kędy stali, leci już tylko dźwięk jakby struny, pękającej z długim, żałosnym poświstem... A oto... bądź pochwalony, o, Sandalfonie, aniele modlitwy!

Tak; u szczytu drabiny złotej, której podnóże wspiera archanioł wiedzy, o potężnych ramionach, w płaszczu szkarłatnym i koronie z hieroglifów splecionej, stoi anioł modlitwy, wysmukły i biały, z włosem złocistym, uwieńczonym cierniami, z głową, łagodnym ruchem tak przechyloną ku ziemi, jak gdyby wiecznie wsłuchywał się w lecące od niej szmery.

Szymszel patrzy na Sandalfona wzrokiem śmielszym daleko, niż spoglądał na innych aniołów.

Po ustach jego wije się nawet uśmiech przyjacielskiego porozumienia.

Anioł-powiernik to i anioł-przyjaciel ludzi.

W dłoniach jego pełno kwiatów. Zmieniają się one wciąż... coraz to inne są, a on je wciąż splata w wieńce niezmiernej długości.

— Wiem, — myśli Szymszel — są to modlitwy ludzkie, które z nad ziemi płyną, płyną, płyną ku Jehowie, a Sandalfon chwyta je w przelocie, w kwiaty przemienia, w wieńce uplata i ściele Przedwiecznemu pod stopy. Przedwieczny pozna już tam, czyje to są i jakie błagania.

Sandalfon, zbierając wszystkie modlitwy ludzkie, czuje snadź w sobie wielki smutek i litość, bo oko jego goreje łzą ogromną, tak błyszczącą, jak najpiękniejszy brylant.

Szymszel patrzy na tę łzę i myśli:

— Bądź pochwalony, aniele Sandalfonie, za to, że taką litość czynisz nad ludźmi!

A powiedziawszy to, zaczyna przyglądać się kwiatom, płynącym z dłoni Sandalfona, jak długa barwista wstęga, i nadziwić się piękności ich nie może.

Szkarłatne kielichy wyrastają w oczach jego do wielkości takiej, że okienko, przez które patrzy na nie, pomieścić ich nie może; róże, białe jak śnieg, błyszczą srebrnemi łzami, na krwawych łodygach wyrastają liście czarne z żałobą białych rąbków, błękitne gwiazdy sypią z siebie deszcz złotych iskier, żółte tulipany wyglądają jak dzwony ogniste z wielkiemi sercami, kołaczącemi w nich mocno i porosłemi ciemnym piołunem.

Szymszel patrzy na wszystkie te cudowności; do ust jego przylgnął uśmiech zachwycenia, głowę z podziwu wielkiego przechyla zwolna w obie strony, a ręce mimowolnym ruchem podnosi w górę.

Nagle złota drabina i napełniający ją aniołowie, srebrzyste łzy Sar-ha-Olama, walczące z ciemnościami, i przecudowne kwiaty Sandalfona — bledną, zlewają się w tuman niewyraźny, tu i owdzie centkowany jeszcze złotem i purpurą, aż znikają całkiem.

Szymszel ciężką ręką przeciera powieki i smętnym wzrokiem spogląda dokoła.

Przed nim, na stole, z wązkiego kominka dogasającej lampki wymyka się dym brudny, cuchnący, dokoła niego na łóżkach, kufrze i na ziemi pod piecem szemrzą senne oddechy i chrapania, z pod pierzyny odzywa się kaszel Liby, kot głośno mruczy, śpiąc obok skurczonego w kącie Enocha; za oknem dnieje, lecz grube chmury zasłaniają niebo, a duże, mętne krople deszczu spadają z nich na brudne kamienie podwórka, po którem przelatują długie jęki i pogwizdy wiatru.

Szymszel powstał, przywdział tałes, opasał czoło rzemieniem z tefilą i, wznosząc w górę obie ręce, dziękował Bogu za to, że dał mu, niby drugiemu Jakóbowi, ujrzeć żywemi oczyma anioły swe — i za to, że uczynił go tak bardzo, tak bardzo szczęśliwym...

Szymszel był tem szczęśliwszy, że głębokich a licznych uciech jego nie mąciła żadna troska, żadna boleść, których tyle doświadczają wszyscy nieobcy uczuciom, noszącym nazwy: humanitaryzm, filantropia, dbałość o sprawy ogółu i t. d. Uczuć ych uczony Szymszel nietylko nie doświadczał, ale nie wiedział nawet, że istnieją na ziemi.

Oprócz nauki, której oddawał się, dzieci, które kochał, i żony, dla której doświadczał uczucia pobłażliwego, jakby litośnego przywiązania — nic na szerokim świecie nie obchodziło go w stopniu nawet najmniejszym.

Ze społeczeństwem, otaczającem szczupły ten krąg, wśród którego upływało mu życie, nie miał nigdy stosunków żadnych; ani znał go, ani znać chciał. Mowy jego nie rozumiał. Nienawiści dla niego żadnej nie miał i mieć nie mógł, bo nie istniało ono dla niego; nie myślał o niem nigdy.

Co się zaś tyczy społeczeństwa tego, z którem wiązała go jedność pochodzenia, wiary i mowy, czuł dla niego życzliwość, która przecież utrapień, ni trosk nie sprawiała mu żadnych. Chętnie otwierał przed niem skarby wiedzy swojej.

Zresztą nie wdawał się w żadne sprawy i nie łamał sobie głowy nad dodatnimi lub ujemnymi warunkami zbiorowego jego bytu.

Jeżeli kiedykolwiek o uszy jego obiło się westchnienie:

— Źle z nami.

Odpowiadał:

— Tak Bóg chce.

A jeżeli westchnienie to przybierało formę zapytania:

— Co będzie z nami?

Mawiał:

— Tak będzie, jak Bóg zechce.

Przyczem wspominał sobie proroctwa o przyjściu Mesyasza, proroctwa, które w mniemaniu jego spełnić się muszą niewątpliwie, i uśmiechał się wpół tajemniczo, wpół rozkosznie.

Spokój jego był tak niezmąconym, jak zupełnem i głębokiem było zadowolenie z samego siebie, jak wielorakiem i żywo uczuwanem było jego szczęście.

Jedyne zmartwienie, którego doświadczał kiedy niekiedy, sprawiała mu znoszona niegdyś przez Żydów niewola babilońska. Myśląc lub czytając o niej, stawał się smutnym, zamyślał się i przyciszonym głosem nucił pieśń o rzekach Babilonu i ziemi wygnania.

Martwiło go też niekiedy zburzenie świątyni jerozolimskiej. Cesarza rzymskiego, Tytusa, który tego dokonał, nienawidził z całego serca, namiętnie, zjadliwie. Była to jedyna nienawiść, którą nosił w sercu. Częściej jednak, niż nienawiści tej, oddawał się żalowi.

Niekiedy, czytając historyę oblężenia Jerozolimy przez

wojska rzymskie i wszystkiego, co nastąpiło potem, brał głowę w obie dłonie, jęczał i płakał.

Czarność przecież chwil takich stokrotnie wynagradzaną mu bywała różowością wielu innych. Jak np. rozpływał się cały z rozkoszy na widok bogactw i chwały króla Salomona! jak głośno wyśpiewywał i podskakiwał radośnie, wraz ze śpiewającym i tańczącym przed arką przymierza królem Dawidem! Jak dumnie tryumfował z Machabeuszami! Jak gorąco radowało go pierwsze po klęsce zgromadzenie się izraelskiego Sanhedrynu i jak żywy, gorliwy brał udział w staczanych w Sanhedrynie walkach mędrców i jak pysznym był z tego, że brał w nich udział!

Godzinami całemi siadywał u nóg rabbi Gamaliela, z rabbi Jehudą toczył delikatne, lecz wytrwałe spory, z rabbi Akibą przyjaźnił się czule, serdecznie i kochał go, a uwielbiał bez granic.

Tak, wśród rzadkich zmartwień, a ustawicznych uciech płynęło życie uczonemu małżonkowi niestrudzonej Cipy, aż do wypadku pewnego, który najniespodzianiej w świecie zmącił spokojny i błogi bieg jego żywota.

* * *

Jeżeli ktokolwiek z państwa był w Ongrodzie, znać musi zaułek ów, który od tak zwanego bulwaru prowadzi ku nieznanym i niezbadanym, bardzo jednak obszernym, choć niezmiernie ciasnym głębinom dzielnicy żydowskiej.

Mój Boże! jak ja się wstydzę tego, że muszę państwa prowadzić do miejsca, które nazywa się »zaułkiem«. Lecz cóż mam czynić?

Powieściopisarz jest jak podróżnik. Mało znane lub całkiem dzikie miejscowości pociągają ku sobie najżywiej. Kto więc z państwa posiada instynkty podróżnicze, niech idzie za mną w ten zaułek, którego obie strony zabudowane są z początku ślepemi ścianami wysokich kamienic, ale potem zniżają się i ukazują same tylko niziuchne, drewniane i licho pobielane domki, o trzech, dwóch, albo i jednem oknie.

Oto domek, w którym mieszka Rebe Szymszel ze swoją rodziną.

Ma on ze strony zaułka dwa okna i drzwi, raczej drzwiczki, wyniesione nad poziom parą schodków. Okna nie należą do

Szymszelowego mieszkania: mieszka za niemi Icko, blacharz, wraz z siedmiu innemi osobami, rodzinę jego składającemi, ale drzwiczki prowadzą właśnie do sklepiku Cipy.

Przykro mi bardzo, że koło sklepiku tego przechodzić musimy, bo ulatują z niego wonie świec, mydła, masła i śledzi, zlewające się w aglomerat niezbyt przyjemny dla powonienia. Są to przecież rzeczy istniejące, realne, choć prozaiczne; nie podobna ich ominąć przy podróżowaniu po krainach rzeczywistości. I głąb' sklepiku wygląda też bardzo realnie i prozaicznie, możemy przecież nie przyglądać się mu wcale, bo oto brama od podwórka, na które wejść musimy, ażeby módz nawiedzić Szymszelowe mieszkanie.

Zmrok wieczorny zapada.

Jednak, przy ostatkach światłości dziennej, dostrzegamy w głębi podwórka, nad domkiem o dwóch oknach, który naprzeciw bramy stoi, zawieszoną w powietrzu — rękę olbrzymich rozmiarów.

Ręka ta tak wielka, jak dwadzieścia zwykłych rąk ludzkich razem wziętych, pomarańczową ma barwę i najwyraźniej wisi w powietrzu...

Cóżby to było? czary jakieś albo guślarskie maszynerye, wykonywane w nienawistnych i zbrodniczych celach? Wszystkiego przecież spodziewać się można w brudnem tem siedlisku ciemnego żydostwa!

Nie drżyjcie państwo i nie zabierajcie się do odwrotu.

Ręka ta, wisząca w powietrzu, nie ma w sobie żadnych nadnaturalnych celów ni właściwości. Jest to rzecz bardzo prosta: szyld, wymalowany dla rękawicznika jakiegoś i wywieszony na powietrze w celu wysuszenia wielkiego tego plastra farby.

W domku, naprzeciw bramy stojącym, mieszka Mowsza, malarz ścian i szyldów. Prawdziwy to dobroczyńca Szymszelowych dzieci, szczególniej Esterki i Mendelka. Sprawia on im ustawiczne a radosne niespodzianki i uciechy. Raz widzą one przed domkiem jego wiszącą rękę olbrzymią, to znów but cały czerwony z żółtą podeszwą, to różowe suknie szeroko rozpięte na tle błękitnem, albo kocze i kabryolety, których lazurowe pudła wspierają się na purpurowych kołach.

Przed cudownymi tymi obrazami Esterka staje częstokroć godzinami całemi z palcem utopionym w koralowych ustach i oczyma wzniesionemi w górę, a Mendele zapomina się wobec nich do takiego nawet stopnia, że przysiada na kamieniach i głowę w niemym zachwycie tak wysoko podnosi, iż

mała jarmułka spada mu z ogromnych włosów, a on tego nie spostrzega.

Spostrzega to przecież przez okno pobożny Enoch, wychodzi z mieszkania, z wielką powagą przebywa dziedziniec i podnosi z ziemi jarmułkę, w celu przykrycia nią głowy lekkomyślnego brata; lecz, przypadkiem spojrzawszy na cudowny obraz, wiszący przed domem malarza szyldów, nie dokonywa zamiaru tego, ale trzymając jarmułkę, zawieszoną niby miecz Damoklesa nad głową Mendelka, staje w nieruchomej postawie i patrzy. I tak we troje patrzą i patrzą dopóty, aż Liba nie przyjdzie zawołać ich na obiad lub wieczerzę.

Liba nie ma czasu przypatrywać się cudownym obrazom, ale gdy raz już tam przyjdzie w celu wyrwania rodzeństwa z idealnych sfer zachwytu, sama w nie wpada, staje także i patrzy.

W tej chwili jednak wielka pomarańczowa ręka nie posiada podziwiających ją widzów. Na drucie, którego w zmroku nie widać, wisi ona i niekiedy, przy powiewie wiatru, kołysze się z przeciągłem skrzypieniem, pięciu swymi grubymi i szeroko rozwartymi palcami migocąc na tle dwu, poniżej oświetlonych okien.

Okienka Mowszy są dziś oświetlone rzęsiście, a z za nich dolatuje uszu naszych gwar ożywionej i przez liczne głosy prowadzonej rozmowy.

Czyżby Mowsza i żona jego Chaja wdawali się w wydawanie u siebie balów?

Watpię; albowiem, pomimo istnienia wśród izraelskiego ludu Rotszyldów i innych owych bardzo bogatych bankierów, malarz szyldów jest, można powiedzieć, wcale niezamożnym człowiekiem.

Spostrzegam, iż trwoga połączona z oburzeniem maluje się znowu na twarzach państwa!

Jeżeli to niepospolite oświetlenie okienek mieszkania Mowszy i gwar za niemi brzmiący nie są oznakami balu, są one niezawodnie oznakami tajemniczej narady jakiejś lub mrocznego spisku...

Nie wiem; być może.

Nie znam zblizka Mowszy, a zatem i ręczyć nie mogę za niego, tak jak ręczyłam za Szymszela. Dowiemy się jednak o tem niezawodnie, a teraz rzućmy okiem na to oto okienko, całą szerokością nieszerokiego podwórka rozdzielone z oświetlonemi okienkami Mowszy.

Ściana domu, przy którym stoimy, starą jest, nizką, i posiada widoczną skłonność do położenia się na ziemi, ku której też pochyla swą chropowatą i popielatą powierzchnię. Wraz z nią chyli się też ku ziemi tkwiące w niej okienko z czterech szyb złożone i w spróchniałe ramy oprawione.

Za okienkiem błyszczy mdłe światełko. Pochodzi ono od lampki z długim, wązkim kominkiem, palącej się na stole pod oknem stojącym, a do połowy okrytym wielką, roztwartą księgą.

Przy stole i nad księgą siedzi...

Tym razem przedstawię już państwu Szymszela we własnej jego osobie.

Jestem pewną, że, przypatrzywszy się mu, potwierdzicie zdanie Cipy, iż jest on bardzo pięknym i delikatnym. Jest wysoki i bardzo szczupły. Ręce ma białe jak u kobiety najlepszego tonu i urodzenia, wązkie i kształtne bardzo, choć chude. Twarz jego ściągła, blada, z długą, kędzierzawą, kruczej czarności brodą, posiada przedziwną czystość i delikatność rysów, a wyraz spokojny i bardzo łagodny. W chwilach, gdy podnosi z nad księgi swe oczy, twarz ta oblewa się światłem głębokiego, tajemniczego marzenia: znać zaraz, że źrenice te czarne, ogniste w głębi a z wilgotną powierzchnią, płaczą niekiedy nad niewolą babilońską i zburzeniem Jerozolimy, a często spoglądają na płomienne hieroglify, wieńczące dumną głowę archanioła wiedzy, i na łzę brylantową, gorejącą w oku anioła modlitwy. Coś ze spokojnej dumy Sar-ha-Olama i z przedziwnej dobroci Sandalfona odbiło się i pozostało w ognistej, a jednak miękkiej źrenicy Szymszela.

Wargi jego, cienką i zaledwie różową linią zarysowane wśród czarnego zarostu, gdyby nie były wargami tak ciemnego i prostego Żyda, oznaczałyby niezawodnie naturę wrażliwą, nerwową, artystyczną może, tak wytworny posiadają one zarys, tak wymownem drżeniem poruszają się od chwili do chwili i takie zjawiają się na nich pojętne a miękkie i rozrzewnione uśmiechy.

Co do mnie, podzielam zupełnie zdanie Cipy o powierzchowności jej męża i uważam, że, patrząc na nią okiem, posiadającem w sobie coś ze świateł anioła wiedzy i anioła litości, można wiele myśleć, domyślać się i żałować...

Jeżeli przecież Żyd ten zainteresował państwa tak, jak mnie, będziecie mogli przypatrywać się mu dowoli, ile razy zechcecie tylko przyjść o tej samej porze na to samo podwórko,

gdyż codziennie i niezmiennie siaduje on wieczorami, tak jak dziś go widzimy, przy stole, z twarzą zwróconą ku oknu, oświetloną mdłem światłem lampki, schyloną nad księgą lub zapatrzoną kędyś wysoko. Niekiedy zobaczycie go z Esterką, która skacze na jego kolanach, albo z Lejzorkiem, który włazi mu na plecy i obie ręce zatapia w kruczych jego włosach. Wtedy on jest bardzo wesołym, zapomina o niewoli babilońskiej i Sandalfonie, i śmieje się do dzieci i głośne pocałunki wyciska na ich policzkach...

Teraz nie będziemy już przypatrywali mu się dłużej, gdyż oto otwierają się drzwi mieszkania malarza szyldów i gromada czarnych postaci, wyszedłszy z nich, przesuwa się pod zdającą się grozić ich głowom pomarańczową ręką, z gwarliwą rozmową przebywa podwórko i wchodzi do izby Szymszela.

Wejdźmy za nimi.

. . . .

W izbie zrobiło się strasznie pełno. Weszło do niej sześciu ludzi: Icko, blacharz; Mowsza, malarz szyldów; Josiel, kuśnierz; Meir, syn kuśnierza Josiela, i dwóch innych jeszcze.

Dla tych-to ludzi zapewne Mowsza oświecał a giorno swe mieszkanie, oni to tak gwarnie w nim rozmawiali. Lecz czego żądają oni od Szymszela?

Kłaniają się mu z uszanowaniem wielkiem, tak wielkiem, że znać zaraz, iż ci prości rzemieślnicy czują nad sobą niezmierną wyższość uczonego.

Szymszel wita ich uprzejmie, łagodnie, ale z powagą odpowiednią dostojeństwu swemu.

Z pośrodka gromadki całej występuje, bądź jako najstarszy, bądź jako najwymowniejszy, kuśnierz Josiel. Z lekką nieśmiałością przystępuje on do rzeczy i powiada, że całe obecne tu towarzystwo uradziło...

Uradziło... a co? czyśmy nie zgadli? Oni coś uradzili! Cóż uradzić mogli?

Naturalnie nic innego, jeno coś, co podkopać ma lub boleśnie zranić świat chrześcijański, jak dowodnie przekonywa nas o tem broszura, ręczę, że przez mądrego wielce męża napisana, ale przez mędrszego jeszcze przepolszczona, nosząca tytuł: »Zawojowanie świata przez Żydów«.

Oni chcą i usiłują zawojować świat (taki wojowniczy naród!) i pewno teraz rzecz jakąś, ku celowi temu prowadzącą, uradzili.

Josiel, kuśnierz, tedy powiada, że on i towarzysze jego uradzili w dzień najbliższego Purymu... grać teatr.

Tylko?! Tylko. Grać teatr na rzecz ubogich. Nawet?! Nawet.

Uradziwszy zaś grać teatr na rzecz ubogich w dzień najbliższego Purymu, umyślili prosić Rebe Szymszela, aby chciał do ich kompanii należeć.

Rebe Szymszel ma głos do śpiewania piękny, bardzo piękny. Nikt nad niego lepiej nie wyśpiewa roli głównej.

Sam kantor im to doradzał, kantor, który—jak wiadomo—cudownie śpiewa, a wszystkie głosy w całej gminie zna, jak swój własny.

Rebe Szymszel jest uczonym, bardzo uczonym człowiekiem. Nikt nad niego żywszej sympatyi dla ich przedsięwzięcia nie obudzi u ludu, nikt większą powagą przedsięwzięcia tego przed ludem nie okryje. Sam rabbi Boruch, który wiadomo jak gorliwie opiekuje się ubogimi, ku większej korzyści ubogich prosi go o to...

Co oni takiego grać mają?

Grać mają sztukę p. t. »Silny Samson«, którą Rebe Szymszel z pewnością zna (czegoż nie zna mądrość Rebe Szymszela?), a w której są takie piękne śpiewania i takie piękne widoki, że... ach!...

Josiel, kuśnierz, mówić przestaje, lecz z za krępej, nizkiej postaci jego wysuwa się wysoki i barczysty Mowsza, malarz szyldów, i z uśmiechem, napoły wesołym, napoły nieśmiałym, czyni tę trafną uwagę, że Rebe Szymszel i dlatego jeszcze przychylić się do prośby ich powinien, że najstosowniejszem będzie, gdy rolę »Silnego Samsona« odegra »Silny Samson«.

Wszak tamten nazywał się Samson i ten nazywa się Samson, a jeżeli tamten miał siłę w swojem ciele, ten ma siłę w swoim rozumie.

Uwaga ta Mowszy, tak grzeczna, dowcipna, a przytem słuszna, otrzymała poklask ogólny.

Rzeczywiście, Szymszel to Samson, tak jak Mowsza to Mojżesz, Josiel — Józef, Icek — Izaak i t. d.

Nie domyślaliście się państwo, jak wspaniałej i powszechnie szanowanej pamięci imiona kryją się za imionami tak skromnemi, że aż powszechnie wyśmiewanemi. Śmieliście się nieraz z Mowszy, Icka i Szymszela, nie wiedząc o tem, że macie do czynienia z Mojżeszem, Izaakiem i Samsonem... Gdybyście odwykli trochę od śmiania się, dowiedzielibyście się może wielu innych podobnie nowych a wcale zajmujących rzeczy. Ale śmiech...

Gdyby mię zapytano, jak Ezopa: co na świecie jest najlepszego i zarazem najgorszego?

Odpowiedziałabym: śmiech.

Szymszel czyli Samson długo namyślał się nad uczynionem mu przedstawieniem.

To, czego po nim żądano, było nie medytacyą już i nie kontemplacyą, ale czynem, więc czemś, z czem Szymszel nie miał dotąd stosunków najmniejszych.

Czyn przerażał go.

Tak mu ciężko będzie chodzić, ruszać się, usiłować — słowem działać. Przytem rzecz tak płocha, jak granie teatru, czy nie ubliży jego powadze, czy nie poniży jego dostojności.

Myślał długo, potem wstał i rzekł:

— Jeżeli kantor mówi, że ja mam taki piękny głos do śpiewania, i jeżeli rabbi Boruch mnie o to prosi i jeżeli to dla ubogich, to ja zgadzam się do tego należeć.

Wielka radość w całej kompanii, w czem po chwili bierze udział i sam Szymszel.

Gdyby Szymszel nie był Żydem, powiedziałby i miałby zupełne prawo powiedzieć:

— »Ja sam jestem ubogim«.

Ale, będąc Żydem, nie miał prawa powiedzieć tego i nie powiedział; żona jego bowiem posiadała przedsiębiorstwo, wsparte na trzydziestu rublach podstawowego kapitału, gotowała codziennie krupnik z kartoflami, a na piątek i sobotę kupowała nawet półtora funta mięsa lub ryby, co, zgódźcie się państwo, dla siedmiu osób rodzinę składających było zupełnie dostatecznem.

Posiadając więc wszystkie te warunki życia, Szymszel ani pomyślał nawet o tem, że jest ubogim, i że grаćby można teatry i na jego także korzyść.

Kompania zapraszająca rozpowiadać zaczęła Szymszelowi, kto kim będzie.

— Wysoki, barczysty Mowsza akurat pasuje do roli »cesarza« filistyńskiego, nu! on ją i odśpiewa.

— Icko, blacharz, będzie ministrem i zausznikiem Mowszy, a ci dwaj Rebowie przedstawią starców jerozolimskich, co to przed filistyńskim »cesarzem« płaczą...

Meir, syn Josiela, kuśnierza (on czerwieni się teraz od wstydu), będzie przedstawiał Dalilę... on taki młody i taką delikatną twarz ma, z niego będzie piękna dama.

— Innych Filistynów tu niema, ale my już ich mamy,

tylko nie mieli oni czasu tu przyjść, bo to są szewcy i stolarze, którzy do późnej nocy pracować muszą.

— Uczyć nas będzie sam kantor i do niego schodzić się będziemy na próby, a na ubrania i wszystkie inne wydatki obiecał nam rabbi Boruch zebrać pieniądze u bogatych kupców... Nu! i my sami zresztą postaramy się... Co robić? Kiedy nam Pan Bóg dał takie szczęście, że my mamy z czego żyć, to trzeba Jemu za to dziękować, dopomagając tym, którym on tego szczęścia nie dał.

— Josiel, kuśnierz, grać teatru nie będzie, on tylko gospodarz i do niego należy, aby rzecz cała urządzoną była recht i richtig!

Rozpowiedziawszy to wszystko, goście odeszli z podziękowaniami i pokłonami.

Szymszel zaś ani przypuszczał, że postanowienie, które powziął przed chwilą, zaznaczy się silnie w życiu jego i — kto wie? będzie może miało ważne następstwa dla przyszłości jego dzieci.

To pewna, że dzień owej deputacyi rozpoczął nową erę w życiu... Cipy. Ileż przez kilka tygodni, które nastąpiły po nim, doświadczała ona przyjemności niewymownych i chluby, rozlewającej się w piersi jej potokiem miodu!

Szymszel zmienił nieco swe zwyczaje; nie pędził już życia siedzącego od rana do wieczora, na całe ranki często opuszczając izbę, przepędzał czas u kantora, gdzie ćwiczył się w sztuce śpiewu, którą i przedtem już, nie na żarty wcale, ale na seryo w dość wysokim stopniu posiadał. Wieczorami zato trupa artystów-amatorów schodziła się do izby jego w pełnym swoim składzie.

Z tą uprzejmą dumą, która właściwą jest ludziom zajmującym wysokie stanowiska, prosił on swych czasowych kolegów, aby czynili mu ten honor, a oni skłonili się do żądania tego z uciechą i z pewnem także zadowoleniem miłości własnej. Miło to jest módz bywać codziennie u kogoś, nieskończenie od nas wyższego.

Blacharz, kuśnierz i malarz szyldów czuli się zaszczyconymi możnością codziennego bywania w domu uczonego, ale że zajmowali się robotą grubą, nizką, która ma to do siebie, iż zabiera dwanaście, czternaście albo i szesnaście godzin na dobę, nie mogli przychodzić inaczej, jak tylko o dość późnej porze wieczornej.

Gdy przybywali, robiło się w izbie gorąco, jak w suto na-

palonym piecu. Dusili się, co widząc, Szymszel dawał z siebie dobry przykład, zdejmował chałat i tak sobie w kamizelce i białych (nie śnieżnie białych) rękawach siadał na stole, stojącym przy oknie.

Widząc to, goście mówili: »z przeproszeniem« i, zdjąwszy także chałaty swe, siadali, gdzie komu wypadło: na kufrze, kulawych stołkach i na ziemi.

Ta ostatnia pozycya przypadała zawsze szesnastoletniemu Mejerowi, mającemu odegrać rolę Dalili, któremu także, jako najmłodszemu, nie wolno było zdjąć szarej, okrywającej go (z wyjątkiem łokci, których nie okrywała) surduciny.

Obraz cały układał się w ten sposób, że Szymszel, siedzący na stole, górował nad całą grupą, z pośród której najwydatniejsze punkty stanowili: cesarz filistyński, vulgo malarz szyldów, z twarzą i rękami utatuowanemi farbą czerwoną i szafirową, i okrągła twarz Dalili, vulgo Mejerka, szkarłatna od gorąca i zawstydzenia, niby piwonia, i błyszcząca potem, niby rosa. Gdy zaś usadowili się już wszyscy w ten sposób, rozpoczynali próbę, czyli śpiewanie wspólne i kolejne, ożywiane i kierowane przez kuśnierza, który, stojąc w głębi, tak obiema rękoma wymachiwał i często słuchał Mejerka, który, zapewne z nieśmiałości, kolei swej dostatecznie nie pilnował.

Wtedy to w piersi Cipy rozpoczynał płynąć ów potok miodu.

Jakkolwiek była gospodynią domu, nie potrzebowała wcale myśleć o przyjęciu gości. Bardzo to w złym tonie jest, ale cóż czynić? Na wieczorach wokalno-dramatycznych u Szymszela i Cipy przyjęcia żadnego nigdy nie bywało. Jeżeli ktokolwiek z gości zmęczył się śpiewaniem, napijał się wody (czystej wody, bez cukru ani wina) — i koniec.

Cipa tedy, nie potrzebując, na wzór innych gospodyń, odrywać się od przyjemności towarzyskich dla gospodarskich zachodów, siadała na ziemi przy samym piecu, obejmowała obiema rękami podniesione swe kolana, patrzała i słuchała. Patrzała na męża i słuchała męża. Gdy inni śpiewali, twarz jej stawała się obojętną, czasem nawet lekceważącą, wzgardliwą; ale gdy kolej śpiewania przychodziła na wysmukłego człowieka, tego, który w kamizelce i rękawach od koszuli na stole siedział, wtedy, o! wtedy, mrocznie rysująca się w cieniu pieca, twarz ta uwiędła, ciemna, z czarną peruką niby z plastrem sadzy nad nizkiem, pomarszczonem czołem, tak rozpromieniała się dumą, taką okry-

wała się tkliwą, zachwyconą, niewymowną błogością, iż, patrząc na nią, każdy rzekłby:

— Szczęśliwa kobieta!

Tak, w niezapomniane dla niej te wieczory, Cipa była szczęśliwą, dumną i wesołą. Zapominała o sklepiku, o wierzycielach, o progach, przy których stawały bolące jej nogi, o schodach, na których brakowało jej oddechu, o kucharkach niegrzecznych i rywalkach niegodziwych, stróżach porządku publicznego i wszystkich zmartwieniach swych — a myślała tylko:

— Aj! jaki on piękny! i jaki on delikatny! i jak on pięknie śpiewa! jak jego ludzie szanują!

A czasem dodawała:

— Pan Bóg łaskaw na mnie! dał mi szczęście!

Próby ciągnęły się niekiedy do godziny pierwszej i drugiej po północy, ale Cipa ani na chwilę oczu swych do snu nie zamykała. Starał się także nie zamykać ich nabożny Enoch, siedzący w zwykłym kąciku, z burym kotem w objęciach, ale powieki kleiły mu się mimowolnie, a czapczyna zsuwała się na tył głowy, coraz to wśród drzemania uderzającej o ścianę. Co do innych dzieci, Liba leżała na wysokościach matczynych pierzyn, z szeroko wciąż roztwartemi oczyma, z warkoczykiem, który rozplatał się zwolna i opuszczał na bladą jej twarz pasma lnianych włosów; Esterka usypiała twardo za plecami ojca, rozciągnięta na stole, z pod którego wyglądały stopy i białe plecionki śpiącego też Mendelka. Lejzorek budził się czasem i łączył swój ultra-alt z głosami śpiewaków, ale w tych uroczystych chwilach nikt już na niego nie zważał.

* * *

Purym! Purym!

Przed nie wiem już ilu tysiącami lat okrutny Haman, minister króla Ahaswerusa, umyślił wytępić cały lud izraelski, uratowali go: Mardocheusz mądrością swą i królowa Ester pięknością swoją i dobrocią. Haman zawisł na szubienicy, a lud izraelski został zbawiony od zaguby; i oto aż po dziś dzień lud ten obchodzi rocznicę uratowania swego z radością taką, jak gdyby była nie dwutysięczną którąś tam, ale pierwszą lub drugą, a na pamiątkę Hamanowego powieszenia wypieka ciasta kształtu osobliwego, zwane »Hamantasze«.

Purym!... Purym!...

Wszyscy Izraelici miasta Ongrodu porwani są wirem radości i wesołości nadzwyczajnej. Od starców aż do dzieci, od bogaczów do nędzarzy, cieszą się wszyscy. (Tylko Rotszyldowie i owi inni bankierowie bodaj że już nie cieszą się!). W każdym domu i domku toczą się w dniu tym długie, rozrzewnione rozmowy o pięknej i dobrej, ach! jak dobrej królowej Ester! Wszędzie błogosławią imię jej i imię mądrego Mardocheusza. Szczęśliwi ludzie, ten Mardocheusz i ta Ester! We wnętrznościach ziemi zniknęły aż do ostatniego atomu prochy ich, a pamięć ich błogosławioną jest dziś jeszcze przez miliony serc, i jakich jeszcze serc! oto takich, które nic czułego, nic szlachetnego, nic wspaniałego pojąć, ni odczuć nie umieją. Serca te, poziome, samolubne, niewdzięczne — z radością, rozrzewnieniem i czułą wdzięcznością po raz dwutysięczny któryś tam obchodzą święta dobroczyńców swych i zbawicieli.

O! serca poziome, samolubne, niewdzięczne! że jest w was zasób niewyczerpany czułości i wdzięczności, niech świadczy o tem Ester i Mardocheusz!

Szymszel cieszy się wraz z innymi i przez dzień cały błogosławi oboje bohaterów, lecz radość jego zmącona jest nieco uczuciem uroczystego lęku, którego doświadcza, nie przed publicznością, wobec której ma wystąpić, lecz przed wielkością i ważnością przyjętego na się zadania.

Gdyby, przedstawiając ludowi tak wielkiego męża, jakim był Samson, ubliżył w czemkolwiek pamięci męża tego, obarczyłby sumienie swoje grzechem ciężkim. Nie, on musi być pięknym, wielkim, potężnym, tak jak był tamten! On czuje nawet, że już mu w piersi wzbierają fale uczuć jakichś, nigdy przedtem nie zaznanych, że pragnienia jakieś potężne, tęsknoty niby, żale i radości nieokreślone rozpierają mu serce, które w miarę jak zbliża się wieczór, uderza coraz silniej i rośnie, rośnie tak, jakby stawało się coraz szerszem.

Przez cały dzień nie mówi nic do Cipy — chciałby mówić, ale nie może.

A Cipa płacze...

Jakże nie ma płakać, skoro w teatrze być i męża na scenie występującego widzieć nie będzie mogła!

Na cały wieczór zamówiona jest do pewnej pani, która jej usług potrzebuje koniecznie. Przytem i sklepiku pilnować trzeba będzie w porze, w której nikt z pewnością wyręczyć jej w tem nie zechce.

Płacze tedy Cipa, biegając, jak zwykle, tu i tam po ulicach, albo w niemocy i żalu siedząc za kontuarem.

Popłakuje także Liba, krzątając się koło gospodarstwa. Ona także nie pójdzie do teatru, gdyż sukienka, którą ma na sobie, jest jedyną jej sukienką, a że rozpada się w kawałki (w czem ją aż nadto wiernie naśladują buciki), Libie przeto niepodobna ukazać się pomiędzy ludźmi.

Nabożny Enoch za to obojętnym okazuje się na uroczystość wieczorną, a nawet mając jej wiele do zarzucenia z punktu ścisłej ortodoksyi religijnej, dobrowolnie postanawia nie wydalać się z domu.

Esterka zato i Mendele wybierają się na teatr od najwcześniejszego rana i tylko czekają chwili, w której dzieci sąsiadów (blacharza i malarza szyldów) wybiorą się w drogę, aby pójść w ich ślady.

W tym celu Liba prawie jeszcze o świcie obuła małą siostrę w błękitne atłasowe trzewiczki (pocerowane białemi nićmi i związane szarymi sznurkami) i, o ile możności, ukryła białe tasiemki za różowy spencerek Mendelka. Lecz dzień miał się już ku końcowi, a ani ojciec nie opuszczał jeszcze domu, ani dzieci Mowszy nie udawały się w drogę.

Przy końcu dnia dopiero Szymszel, po długiej i żarliwej modlitwie, powolnym krokiem, głęboko zadumany, opuszczał izbę. Za nim, krok w krok, trzymając się za ręce, idą Esterka i Mendel.

W tej chwili otwierają się z trzaskiem drzwi domku, stojącego w głębi podwórka, i wypada z niego szumne towarzystwo, złożone z dziewcząt i chłopców, dzieci Mowszy i Icka.

Esterka i Mendelek wydają okrzyk tryumfu. Opuszczają ojca i przyłączają się do gromady małych sąsiadów. Ale mali sąsiedzi są wszyscy starsi od nich, dłuższe mają nogi i szersze kroki stawiają. Przytem weseli są niezmiernie, bo poubierali się w stroje prawdziwie świetne; dziewczynki szczególniej jaśnieją całe od świeżo wypranych perkalikowych sukienek i czerwonych chusteczek, okrywających ich głowy.

Biegną bardzo szybko z krzykiem, śmiechami i gonitwami, a nie myślą wcale zważać na dwie malutkie istoty, które śpieszą za nimi co siły i tchu, z rozognionemi twarzami i ognistymi włosy, miotanymi przez zimowe wiatry. Nie widzą, ani spostrzegają, że błękitne buciki Esterki grzęzną w śniegu, ale tak grzęzną, że wydobyć je bardzo trudno, i że jarmułka Mendelka wciąż spada mu z głowy.

Dla tych bucików i dla tej jarmułki muszą wciąż się zatrzymywać, przytem i tasiemki te... wymknęły się znów jakoś z pod spencerka i utrudniają i tak już plączące się kroki Mendelka. A tu kompania wesoła i świetna oddala się coraz, oddala... oto już końca zaułka dobiega... oto już sunie szybko po obszernej i śniegiem okrytej przestrzeni bulwaru.

Esterka i Mendele dobywają sił ostatnich, dosięgają też kresu zaułka. Lecz gdzież są ci, którzy krokami ich mieli kierować?

Niema już ich na bulwarze. Rzucili się snadź w boczną ulicę jakąś... zniknęli...

Cóż? iść tak samym, tak we dwoje?

Dobrzeby było, ależ...

Przed oczami tej drobnej pary, która znowu ujęła się za ręce i stoi u wejścia do zaułka, rozlegają się niezmierzone, nieskończone przestworza bulwaru.

Co za ogrom! a w dodatku, nieznany! Wiek ich sprawił, iż nigdy tu jeszcze nie byli.

Jakże teraz w te obce puszczą się krainy? I zresztą, chociażby nawet przebyli tę rozległą równinę, kędy dalej skierują się kroki?

Ze wszystkich stron równiny otwierają się tak długie, przepaściste wąwozy, a turkot z nich i hałas taki straszny! Który właściwie z tych wąwozów prowadzi do miejsca, będącego upragnionym celem ich podróży? Nie mają o tem najmniejszego pojęcia.

Cóż więc uczynią?

Rzecz prosta. Po długiem, nieruchomem staniu i patrzeniu Esterka ściska swe obie piąstki i przykłada je do oczu, z których wytryskuje prawdziwa fontanna łez.

Mendele naśladuje ją w zupełności, z tą tylko różnicą, że żałośnie i rozdzierająco krzyczeć zaczyna:

— Tatele!

Esterka, jako starsza, wie dobrze, iż ojciec usłyszeć ich nie może, bo już jest gdzieś daleko... daleko, ale matka bliżej.

Poprawia więc brata i krzyczy:

— Mamele!

Z wołaniem tam i z piąstkami przy oczach odwracają się i idą znowu zaułkiem ku domowi...

W tej samej prawie chwili Szymszel, nie wiedzący nic wcale o zgryzocie, która dotknęła dwie jego pociechy, wchodzi do teatralnej garderoby...

Tu pełno, gwarno i ponsowo, bardzo ponsowo. Ponsowość bije szczególniej od Mowszy, malarza szyldów, który przechadza się po garderobie w przeznaczonym dla niego teatralnym stroju, przywdzianym już od południa.

Barczysty, silny, z nerwami zahartowanymi i muskułami rozwiniętymi ciężką fizyczną pracą, Mowsza jest daleko mniej wrażliwym i skrupulatnym od Szymszela. Przytem, jako cesarz filistyński, nie czuje on na barkach swych zbyt ciężkiej odpowiedzialności, polegającej na potrzebie obudzenia czci i sympatyi ludu. Wesołym tedy czuje się i pełnym dobrych myśli. Widzi odrazu, że stał się duszą przedsięwzięcia całego.

Wygląda też wcale pokaźnie, jak na monarchę wielkiego państwa przystoi. Ubiór jego składa się z ponsowych jak krew szarawarów i takiejże bluzy przepasanej złotym galonem. Złota korona z ponsowemi centkami wieńczy mu głowę, a u pasa wisi pałasz prawdziwy, wyproszony i wypłakany u jakiegoś wojskowego niższej rangi.

Mowsza jest cały tak posągowy, że ktoś nie znający się na rzeczy mógłby mniemać, iż grać on ma rolę średniowiecznego kata.

W gruncie jednak, strój to istotnie monarszy i monarszo też wygląda oblicze Mowszy, zaopatrzone we wspaniały, kartonowy nos, potężne, węglowo-czarne wąsy i również czarną, śpiczastą brodę »à la Napoleon trzeci«. Przechadza się po garderobie od kilku już godzin, pałaszem pobrzękuje, zcicha nuci, a głośno i energicznie kieruje należytem umundurowaniem wojska swego.

Armia to nielada: składa się z czterech szeregowców i jednego dowódcy.

Dowódca, przytem zausznik i pierwszy minister władcy, Icek, blacharz, jaśnieje cały od żółtego kaftana, usianego srebrnemi blaszkami. Z natury jest on brunetem, ale że brunetami są też Samson i filistyński cesarz, on zatem dla rozmaitości włożył na głowę perukę rudą jak ogień i przystroił się leciuchną rogatywką, tak zieloną, jak trawa w maju.

Szeregowcy skromniejsze już mają stroje, zawsze jednak o tyle wytworne, że ogólnym wyglądem przynoszą prawdziwy zaszczyt swemu władcy.

Wszyscy ci rycerze, jak przystoi rycerzom, wcześnie bardzo przysposobili się do stanięcia na placu boju. Ale Dalila, jako dama, nie jest jeszcze gotową.

Tam, w kątku garderoby, gdzie tak wiele natłoczyło się

osób i taki panuje gwar, połączony z jękiem, Mejerek, syn kuśnierza Josiela, ledwie nie mdleje ze wstydu i tajemnej radości, gdy mu na krynolinę olbrzymich rozmiarów wkładają suknię błękitną, a w perukę, spływającą mu na plecy wełnistymi lokami, upinają dwie ogromne, płaskie, ponsowe róże. Twarz Mejerka pulchna, dziecinna jeszcze prawie, ponsową jest jak te róże; wielkie ręce jego (które od lat już wielu dzielnie dopomagają ojcu w kuśnierskich robotach) z głębokiem zdumieniem wtłaczają się w paliowe rękawiczki, a z głębszem jeszcze ujmują podawany mu wachlarzyk z różowej materyi.

W paliowych rękawiczkach i z wachlarzykiem Mejerek przyciska się plecami do ściany i stoi prosto, sztywno, a ubierające go osoby (płci męskiej naturalnie), z cesarzem filistyńskim włącznie, odstępują o kroków kilka, oglądają go z tej odległości od stóp do głowy i jednogłośne a pełne zadowolenia wyrażają twierdzenie:

— Ładna dama.

W tej chwili wchodzi Szymszel. Garderobę zalega cisza, znak uszanowania. Nie przerywa jej Szymszel ani jednem słowem. Zbliża się do stołu, na którym złożony jest jego teatralny kostyum i zaczyna przywdziewać go z tak uroczystym wyrazem twarzy i takiem skupieniem ducha, z jakiemi zwykle przywdziewa przed modlitwą tałes i tefilim.

Wielki też już czas pokończyć toalety. Sala teatralna kipi niecierpliwością zgromadzonych w niej widzów.

Jaka to sala, gdzie ona znajduje się i jakim sposobem zdobyła ją sobie na wieczór dzisiejszy kompania amatorów? Długoby opowiadać!

Trudności, kłopotów i męczarni wszelakich było z nią niemało. Koniec końców jednak istniała ona, a wiodła ku niej z ulicy wielka pieczara, alias sień, w której mrocznych i mglistych głębinach przy świetle łojowej świeczki ustawiono bufet, dźwigający na sobie znakomitą obfitość lepkich i miernie ponętnych cukierków, czarnych jak noc makagig, nadgniłych jabłek i t. p.

Pieczarą tą płynęły tłumy, płynęły, płynęły, aż wpłynęły do sali bardzo wązkiej a niezmiernie długiej, z podłogą, ku dogodności widzów okrytą spadzisto ułożonymi klocami drzewa. Kloce te posiadały powierzchnię półokrągłą, nie można więc powiedzieć, aby stanie na nich przedstawiało warunki zupełnego komfortu.

Przy odrobinie złej woli znalazłoby się też coś do zarzu-

cenia i oświetleniu; było ono bowiem urządzone w ten sposób, iż oświecało tylko ścianę i kilka ławek, najbliżej sceny stojących, a przeznaczonych dla najwyższych sfer społecznych, pozostawiając głębie sali w mrokach, ciemnych jak rozpacz.

Orkiestry nie było wcale (jakkolwiek sztuka, wybrana do grania, jest operą), ale na miejscu, gdzie pospolicie znajduje się orkiestra, stało krzesło, a na niem siedział kuśnierz Josiel. Siedział on z twarzą zwróconą nie ku scenie, lecz ku publiczności, nie artystami bowiem tym razem, lecz publicznością miał dyrygować.

Artyści, umiejący doskonale swe role, zwłaszcza przy pomocy i dozorze energicznego i przytomnego Mowszy (»cesarza« filistyńskiego), dadzą sobie rady wybornie.

Ale publiczność — żywioł to burzliwy i niekarny.

W celu więc właśnie regulowania nieprawidłowych częstokroć ruchów publiczności Josiel, reżyser, usiadł na miejscu tem, kędy zazwyczaj bywa orkiestra...

I teraz także ludzie, stojący na półokrągłych klocach, zaczynają poruszać się i szemrać z niecierpliwością widoczną... minuta jeszcze, a wybuchną wrzawą ogłuszającą. Lecz za szerokiemi plecami Josiela podnosi się kurtyna...

Głośne szemrania milkną, jak zaklęte, a wśród ciszy grobowej rozlega się przeciągłe, groźne, po kilkakroć powtórzone ryczenie lwa...

Scena przedstawia pustynię.

W głębi kilka palm rysuje się wśród tła mglistego. Oaza to zapewne, a z oazy tej wychodzi lew potężnych rozmiarów, orzechowego koloru i z bardzo błyszczącemi oczyma. Król pustyni niedarmo wywołał ów ryk straszliwy. Ma on węch wprawny i poczuł snadź zbliżanie się człowieka.

Ale otóż i ów człowiek.

Wychodzi on tak, jak i lew, z pomiędzy palm, tylko z przeciwnej strony.

Domyślamy się, iż jest to Samson.

Ale byłżeby to Szymszel?

Co za przemiana!

Cipa sama, gdyby tu była, nie poznałaby męża swego. Wydaje się wyższym, mężniejszym; strój jego, którego układem sam kierował, niepozbawiony jest blasku i powagi. Składa go suknia szkarłatna, olśniewająca złotemi wyszyciami, i biały, fałdzisty płaszcz, na który spływa las włosów, czarnych jak noc, a długich do pasa.

Piersi Samsona okryte są całe dyamentowym naszyjnikiem, a na głowie dźwiga hełm złocisty z wielkim pióropuszem zdobnym w dyamenty.

Nie mogę tego utaić przed państwem, że wszystko to złoto jest szychem, a dyamenty — to blaszki i paciorki. Ale nic niema fałszywego w obliczu Samsona: powaga i męstwo, które malują się na niem, najczystszej są wody. Znać, że artysta wchłonął w siebie rolę swą tak zupełnie, iż utożsamił się z osobą, którą miał przedstawiać.

Śmiały i pewny swej siły, postępuje on ku królowi pustyni i błyszczący wzrok jego spotyka spokojnem, trochę nawet szyderskiem okiem. Król pustyni, zdumiony tą zuchwałością, podnosi się i staje na tylnych łapach (Mowsza, przysiadłszy za kulisami, pociąga sznurek, okręcony około tylnych łap króla pustyni) i wydaje ryk przeciągły, straszny (co za potężne płuca miewają czasem malarze szyldów!), który to ryk słysząc, publiczność truchleje i odetchnąć nie śmie — ale Samsona nic nie przeraża. Jednym podskokiem przesadza on scenę i zanim przebrzmiał wielki krzyk przerażenia — rozdziera króla pustyni na dwie równiuteńkie połowy.

— Brawo, brawo, brawo! — wołają na ławkach wyższe sfery, a z mroków, w których pogrążone są sfery zwyczajne, odzywają się głosy radości i tryumfu pełne, a tak wrzaskliwe, że Josiel, kuśnierz, powstaje z miejsca swego i, obiema rękami machając ku mrokom, woła:

— Still!

Mroki zapadają w ciszę, a Samson, stojąc u brzegu sceny, ukazuje widzom plaster miodu, znaleziony w paszczęce rozdartego lwa, tego lwa nieszczęśliwego, którego dwie połowy leżą zdala od siebie, z oczyma, po śmierci, jak za życia, przeraźliwie błyszczącemi.

Ukazując widzom plaster miodu, Samson całą twarz ma obleczoną wyrazem więcej niż miodowej, niebiańskiej słodyczy. Rozedrzeć lwa, zdumiewającą w istocie musiało być niespodzianką dla Szymszela, który dotąd ani przeczuwał w sobie sił podobnych. Widać, że radość wielka napełnia mu pierś, która podnosi się szerokim, silnym oddechem i z której też wybucha po chwili pieśń chluby i wesela.

Głos jego jest pięknym, szerokim i dość wyrobionym tenorem. Pomimo niezupełnie doskonałych warunków akustyki, dźwięki tego głosu napełniają salę od krańca do krańca, a tak są przejmujące i czyste, tak pełnym, wezbranym płyną strumie-

niem, że nawet wyższe sfery słuchają ich z przyjemnością nieudaną wcale, a co się tyczy sfer zwyczajnych, utopionych w mroku, te, po opadnięciu zasłony, wybuchają tak wielkim zapałem, iż Josiel-reżyser długo i mozolnie pracować musi nad jakiem takiem uregulowaniem tego publicznego ruchu, grożącego doszczętnem zniszczeniem wszelkich prawideł porządku.

Odsłona druga niewiele się różni od pierwszej co do treści, ale forma, w jakiej się objawia, jest wcale inną.

Spostrzegamy niwę, zarosłą zbożem. Jest tam co najmniej pięćdziesiąt ździebeł słomy, stojącej w postawie prostej i w przyzwoitej od siebie odległości.

Nad zbożem stoi Samson i śpiewa.

Ze śpiewu tego dowiadujemy się, że niwy te są filistyńskie, a on zniszczyć je zamierza. Jakoż, zaledwie skończył śpiewanie swojej aryi, nabrzmiałej srogą ku Filistynom nienawiścią, wśród zboża z szybkością błyskawicy przebiegać zaczęły rude lisy (tym razem nietylko już Mowsza, ale i zausznik jego, Icko, i jeden z szeregowców pociągali pewne, im tylko wiadome sznury).

Za lisami zaś tuż zabłysły ogniki silne i purpurowe, które paliły się dość długo, aż zgasły i napełniły tak scenę, jak salę całą, gęstym dymem i silnym zapachem siarki.

Sfery wyższe, siedzące bliżej owego pożaru i ulatującego zeń dymu siarczanego, nie dały tym razem żadnego oklasku, bo zakrztusiły się silnie i na długo, lecz w mrokach panowała radość wielka, której objawów nie poskramiał tym razem Josiel-reżyser, albowiem zakrztusił się także i, chowając głowę w czerwoną chustkę do nosa, kaszlał zawzięcie.

Krztuszenie się i kaszlanie z jednej strony, a gorące oznaki zadowolenia z innej, trwają dopóty, aż podnosi się znowu kurtyna, a widok sceny skłania wszystkich do milczenia i uwagi.

Tym razem, pomimo pewnych niedostatków w środkach scenicznych i dekoracyjnych, widok sceny wydaje się zajmującym i malowniczym nawet zasiadającym ławy sferom wyższym, i za taki uznaćby go mogły sfery daleko jeszcze od tych wyższe.

U stóp palm, więc w głębi sceny, siedzą trzej starcy judejscy, blizko ku sobie przysunięci i biadają nad nieszczęściami swej ojczyzny, sprowadzonemi srogą zemstą, wywieraną przez władcę Filistynów za zniszczenie pól filistyńskich przez lisy Samsona, niosące pożar. Odzież starców długa, poważna, białe włosy spływają na plecy z pod wielkich futrzanych czapek,

które tylko do połowy zasłaniają im czoła, zorane latami i szlachetnym smutkiem, białe brody okrywają ich piersi, a w drżących od żalu rękach trzymają wielkie kije, na których wspierają chwiejne ze starości kroki.

Głosy ich są drżące i wybornie tłómaczą patryotyczną trwogę i boleść, przejmującą ich serca. Słowa ich śpiewu uwiadamiają nas, że monarcha filistyński, jako niezbędny warunek do zawarcia pokoju z izraelskim ludem, stawia żądanie, aby »Silny Samson« skrępowany i wydany mu został.

Starcy judejscy postanawiają żądać od Samsona, aby dokonał ofiary i dobrowolnie, w okup zagrożonej i udręczonej srodze ojczyzny, oddał się w ręce wroga. Postanawiają iść do niego i błagać go o to, ale... otóż i on sam nadchodzi.

Scena pełna iście dramatycznego pierwiastku.

Oddać się w ręce wroga!... na pośmiewisko, niewolnictwo srogie, śmierć straszliwą!

Szymszel, który, odkiedy stał się Samsonem, zaznał był upojenia chwały i zwycięstw, jest teraz zdjęty grozą i smutkiem głębokim. Z innej przecież strony, poczucie obowiązku i miłości dla kraju ojczystego wstrząsa silnie jego sercem. Patrzcie, państwo, jak mieni się twarz jego! jaka bladość śmiertelna okrywa mu czoło i policzki! jak oczy jego buchają ogniem namiętnym, rozpaczliwym, to znowu przysłaniają się wilgocią bezbrzeżnej litości!

Brawo! brawo!

Nie prostego to aktora widzimy, ale istnego artystę, który aż do najdrobniejszej fibry istoty swej czuje się w tej chwili mężem o potężnem ramieniu i wulkanicznej duszy... Walczy długo... potem nagle wyciąga ku starcom judejskim obie ręce, a z piersi wydaje wielki okrzyk:

— Wiążcie!

Okrzyk ten rozbrzmiewa po sali dźwiękiem niezmiernej boleści i wysokiego bohaterstwa: starcy judejscy, krępując ręce i nogi bohatera, płaczą; sfery wyższe mają tu i owdzie łzy w oczach, z głębi oddalonych mroków wydobywają się jęki i łkania, a Josiel-reżyser nie zwraca już na nie uwagi, albowiem, przyłożywszy sobie czerwoną chustkę do twarzy, płacze także.

Wtem robi się na scenie hałas, brzęk i wielkie tupanie nogami.

Cesarz filistyński wpada na scenę z całym swym orszakiem i pełną wyniosłej pychy przybiera postawę na widok skrę-

powanego Samsona, którego, płacząc wciąż i wzdychając, wiodą ku niemu judejscy starcy.

Więzień stoi nieporuszony i pełen godności; milczy i spokojnem okiem patrzy w twarz wroga.

Ale twarz ta, opatrzona wspaniałym nosem i bródką »à la Napoleon«, szyderską jest i wzgardliwą. Niepomni wspaniałomyślnych zasad rycerskości władca filistyński i jego towarzysze pozwalają sobie obsypywać ubezwładnionego bohatera grubiańskiemi wymówkami i nieprzyzwoitymi żarty.

Samson cierpi chwilę w milczeniu, lecz potem drżeć zaczyna; widać na twarzy jego, jak burza uczuć, ukojona przedtem w rezygnacyi, wzbiera w nim nanowo, jak wśród krępujących go sznurów nabrzmiewają jego muskuły...

Nagle wstrząsa się cały od stóp do głowy, więzy spadają zeń, niby porwana pajęczyna, a zanim Filistyni oprzytomnieć mogli, pochyla się i porywa leżącą u stóp swoich... oślą paszczękę. Jedno szerokie zatoczenie ramieniem, jedno mgnienie oka... armia filistyńska z wielkim stukiem upadających ciał runęła na ziemię, a władca jej zniknął, sromotną ratując się ucieczką...

Wtedy, w upojeniu tryumfu, w radosnem uczuciu uratowania się i uratowania ojczyzny, Szymszel staje się tak pięknym, jakim nigdy nie widziała go Cipa, piękność jego wiecznie podziwiająca. Z dziwnym swym orężem w podniesionej dłoni, z drgającym uśmiechem na ustach, które, otwierając się, ukazują zęby śnieżnej białości, w białym płaszczu, który zsuwa mu się z ramion, i złocistym hełmie, którego dyamentowy pióropusz rzuca na jego czoło tęczowe połyski, — śpiewa on pełną, wezbraną piersią hymn chwały i wesela i pieśnią tą dzięki składa Jehowie, że mu pozwolił pokonać te »możne tysiące«.

Czy u stóp zwycięskiego Samsona leżały pokonane »tysiące«? Czy oręż, którym je pokonał, był istotnie oślą paszczęką, lub wyglądał raczej na goleń wołu? — Mniejsza o to; dość, że Szymszel był w tej chwili pięknym, potężnym, upojonym, szczęśliwym, i że, gdy spadła zasłona, Josiel-reżyser począł wołać z całej siły: »still! szaaa! szaaa!« a potem, spostrzegając, iż samym tylko głosem nic nie poradzi, poskoczył z swego miejsca, wpadł w mroki, pogrążył się w nich na chwilę, potem ukazał się z jakimś malcem. Ciągnął go za rękę aż ku drzwiom pieczary (sieni), za któremi malec zniknął...

Biedny malec! nigdy w życiu nie widział jeszcze tylu naraz trupów. Martwo leżący Filistyni przerazili go też nadzwyczajnie, a gdy w dodatku jeden z nich (podobno zausznik cesa-

rza), w czasie długiej aryi Samsona, zaczął się poruszać, zapewne w celu przybrania dogodniejszego położenia dla wiecznego spoczynku, malec wrzasnął z całej siły, w czem doskonale poczęli go naśladować rówieśnicy. Utworzył się z tego chór, całkiem nieprzewidziany w pierwotnym układzie opery. Josiel położył jednak koniec temu nieregularnemu ruchowi audytoryum przez podanie przywódcy ruchu absolutnemu ostracyzmowi...

Zaledwie reżyser zdołał wrócić na swoje miejsce, gdy zasłona podniosła się zwolna.

Tym razem widzimy rzecz całkiem nieprzewidzianą.

Pośrodku sceny stoi... nie myślcie państwo, aby to była budka, w której się sprzedaje wodę sodową. Jest to pałac, w którym mieszka piękna panna i wabna Filistynka, Dalila. Drzwi pałacu są otwarte i przyozdobione festonami perkalowej firanki, z brzegami wyciętymi w zęby (żupełnie jak w budkach z wodą sodową). Z jednej strony ściana pałacu jest ślepą, z drugiej ma jedno okno.

Za firanką na wiedeńskiem krzesełku siedzi Dalila, w błękitnej sukni, rozpiętej na ogromnej krynolinie, z różowym wachlarzykiem w ręce. Siedzi i wielkiemi dziecinnemi oczyma, które wśród jej twarzy wyglądają jak niezabudki w bukiecie z piwonii, patrzy wprost na publiczność. Potem wstaje i wychodzi z za firanki. Zaczyna śpiewać.

Bas wcale ładny!

Śpiewa o tem, iż wdziękami swymi uwieść musi Samsona, aby następnie wydrzeć mu tajemnicę jego dziwnej siły.

Dalili trochę niezręcznie jest poruszać się w długiej sukni i przytrzymujących ją żelaznych obręczach; oprócz tego, jest mocno zakłopotana różowem narzędziem, które trzyma w ręce, a z którem nie wie sama, co jej czynić wypada.

Wełniste loki, opływające jej czoło i plecy, zwiększają gorąco, które uczuwa na widok mnóstwa oczu, w jej twarz wlepionych.

To też basowy jej głos drży i wpada w tony tak już nizkie, że aż zupełnie nie są właściwe delikatnej kobiecej piersi, a błękitne oczy roszą się łzą niewymownego udręczenia...

Wszystko to przecież jest niczem.

Szymszel nie widział nigdy w życiu kobiety tak pięknej, jak ona.

Czy, wchodząc na scenę, spostrzegł on istotnie tę Dalilę, która się tam znajdowała? Niewiadomo. Słyszałam jednak potem, że Szymszel, wchodząc na scenę, zamiast ponsowej twarzy, nie-

zabudkowych oczu i wełnianych loków Mejerka, widział śnieżno białe lica, uwieńczone kruczym, lśniącym warkoczem i patrzące na niego dwiema gwiazdami płomiennych źrenic.

Widział w tych czarnych źrenicach łzę marzenia i żar namiętności, a postać, która stała przed nim, była wysmukłą, gibką...

Niby od niebios, rozgrzanych wschodniem słońcem, wiały od niej tchnienia upalnych rozkoszy Wschodu.

Tego, co czuł Szymszel w tej chwili, nie zaznawał nigdy i nazwaćby nie umiał, ale, gdy zbliżył się do uroczego widma, które stało przed jego wzrokiem, i gdy śpiewać doń zaczął, głos jego miał takie miękkie lub gorące, błagalne lub gwałtowne tony, iż Dalila szeroko od zdumienia rozwarła błękitne swe oczy, a potem, kiedy wypadło jej z roli podać mu rękę, czyniła to z widoczną trwogą.

Szymszel ruchem gwałtownej radości pochwycił rękę, nie tę, która trzymała wachlarz, ale drugą i, przyciągając Dalilę do swych piersi, złożył na jej ustach taki pocałunek, że, do reszty nim przestraszona, wyrwała się z objęć jego i usiadła na jednem z dwóch wiedeńskich krzesełek, umieszczonych przed krużgankiem jej pałacu.

Oprzytomniawszy nieco, Szymszel usiadł na drugiem krzesełku. Zaczął się duet.

W tym-to duecie rozstrzygnęły się losy Samsona. Skrytym był i do zbadania nie łatwym, ale wdzięki Dalili pokonać zdołały opór najwytrwalszy. Daremnie, stojąc przed nią, najbardziej przekonywającym, najbardziej błagalnym głosem śpiewał jej:

— Dos ist nyt dein Geschäft!

Zwodna zalotnica wiedziała dobrze, iż interes to był ważny dla niej, i dopóty śpiewała basem (Szymszel zamiast basu słyszał najcudowniejsze mezzo-soprano), dopóty z wielkiego wysilenia roztwierała znużone, dziecinne oczy (Szymszel, zamiast tych oczu, widział dwa czarne, gorejące brylanty), aż znużony walką i pokonany miłością, ujął w obie dłonie swe ogromne włosy i, pokazując je czarodziejce, wyśpiewał:

— W nich siła moja!

Dalila powstała, tryumfalnie skinęła różowym wachlarzykiem, poprawiła osuwającą się na czoło płaską, ponsową różę, otarła kroplisty pot z amarantowej twarzy, splunęła i podała rękę zwyciężonemu bohaterowi.

Ponowny pocałunek i ponowny przestrach Mejerka, który nie może pojąć, dlaczego Szymszel z taką czułością obejmuje

jego kibić i tak silnie do jego ust przykłada swe usta. Poczem rozkochana para znika w głębi pałacu zwodzicielki, za firanką wyciętą w zęby...

. . . .

Zjawiają się Filistyni. Zmartwychwstają ci sami, którzy w akcie trzecim polegli byli z ręki Samsona. Tem sroższą po zmartwychwstaniu czuć muszą nienawiść ku swemu mordercy. Czekają na Dalilę, skradają się pod drzwi pałacu, zaglądają przez jedyne okno, wymieniają między sobą tajemnicze znaki... Lecz otóż i ona!

Wychodzi z za firanki i, trzymając w jednej ręce różowy wachlarzyk, w drugiej niesie wielki zwój długich, kruczych włosów. Pomiędzy Filistynami radość nieopisana. Sam cesarz na znak dziękczynienia ściska dłoń Dalili.

Rycerze dobywają broni z pochew i z krzykiem zajadłej zemsty rzucają się na wychodzącego z pałacu Samsona. Samson niepodobny do siebie. Bez hełmu, bez włosów, bez białego płaszcza, wpada w ręce swych wrogów, którzy, nie czyniąc długich ceremonii, oślepiają go na oba oczy.

Zasłona spada, wśród słuchaczów panuje głębokie milczenie grozy, i tylko w mrokach słychać szlochania..!

Słusznie łzy leją litościwe dusze. W teatralnej garderobie Samson siedzi na tej ławie, na której posadzili go Filistyni, blady śmiertelnie, ciężko dyszący, z zamkniętemi oczyma.

— Rebe Szymszel, — mówi doń Mowsza — spojrzyj na ten pałac, który masz przewrócić na scenie... Może on ciężki dla ciebie... można go zmniejszyć...

Ale w piersi Szymszela szemrzą głuche jęki.

— Wrogowie odebrali światłość źrenicom moim — szepce boleśnie — jestem ślepy i oczy moje nie ujrzą nigdy wielkich dzieł Przedwiecznego!

— Herste! — mówią Filistyni do siebie i zamieniają zdziwione spojrzenia.

— On myśli, co my jemu naprawdę wyłupili oczy.

Wtem przez garderobę przesuwa się Dalila.

Szymszel usłyszał szelest jej sukni i podniósł powieki.

Oczy jego ciskają błyskawice gniewu i rozpaczy, ciemne rumieńce wytryskają na bladą twarz.

— Co ty mnie narobiła? co ty mnie narobiła? Ty mnie zgubiła! Ja przez twoją wielką chytrość moje oczy stracił, w niewolę się dostał i — przepadł!

Wykrzykując te słowa coraz gwałtowniej i głośniej, ściska pięści i rzuca się ku Dalili, która, przelękniona, upuszcza z ręki różowy wachlarzyk i ucieka w najdalszy kąt garderoby, gdzie się zasłania długim, kwiecistym szlafrokiem jednego z judejskich starców. Zasłania ją też szerokiemi piersiami Mowsza, a nie śmiąc podnieść głowy na uczonego męża, wyciąga tylko przed siebie obie ręce i woła głosem pełnym przekonania:

— Rebe! aj waj! Rebe!

Uniesienie Szymszela trwa przecież krótko i zmienia się wnet w rzewną, głęboką żałość.

Opada na ławę, opuszcza ręce, zamyka powieki i zaczyna jęczeć.

— Oj! oj! ja na twoją twarz jak na rajski kwiat patrzyłem! Usta twoje były dla moich ust potokiem miodu, a twoje oczy paliły się przede mną, jak wielki płomień, i całe moje serce przed niemi topniało! A ty mnie tak źle zrobiłaś! Ja przecież, Dalilo, przepadłem!

Nikt już nie zważa na rzewne skargi oślepionego bohatera, z wyjątkiem Dalili, która, oglądając swą głowę z loków i róż, z trwogą spogląda na niego.

. . . .

Na scenie stoi pałac, inny całkiem niż przedtem, złożony z dwóch kartonowych filarów, połączonych u góry kartonowym gzymsem. Około filarów Filistyni ucztują, cieszą się, śpiewają, a ku większej swej radości »cesarz« rozkazuje wwieść w monarsze progi oślepionego więźnia.

Samson, wprowadzony przez dwóch szeregowców, stoi z zamkniętemi powiekami, nie trwożny, lecz tylko śmiertelnie smutny.

Przypatrzcie mu się państwo uważnie: zdawałoby się, że przez tę upłynioną godzinę schudła jego twarz. Blade jego policzki wydają się zapadłymi, a zamknięte oczy otaczają ciemne koła. Możnaby rzec, iż twarz to strawiona namiętnością, nienawiścią, rozpaczą...

A Filistyni śmieją się, stroją z niego najróżniejsze żarty, opowiadają mu o spustoszeniach i zemstach, które roznoszą po jego ojczyźnie, a on więzień, ślepiec, bezsilny atleta, nie może jej już bronić...

Daremnie tam kędyś płaczą judejscy starcy, daremnie jękami swymi napełniają powietrze judejskie niewiasty, a najwa-

leczniejsi mężowie krwią swą zlewają spalone niw judejskich rozłogi...

Samson nie osłoni już ojczystej ziemi swej piersią, której odebrana wszystka jej siła, nie dojrzy przeciw wrogom jej oręża oczyma, którym odebrana wszystka ich światłość.

Szymszel słucha żartów, naigrawań i tryumfalnych opowieści wrogów, i zwolna podnosi głowę... Omackiem, chwiejnym krokiem wychodzi z pałacu, staje z drugiej strony filarów i śpiewać zaczyna. Jakże głęboką, bezbrzeżną boleścią nabrzmiały jest głos jego! jak wysokiej skali tonów dosięga! jakie napełniają go rozpaczne wołania i prośby! Woła do Jehowy o siłę, o tę dawną siłę swoją, której pragnie na chwilę jeszcze, na jedną chwilę, na mgnienie oka.

Wołając tak, ręce drżące i twarz bladą swą, o zamkniętych oczach i ustach, okrążonych wyrazem męczeńskim, podnosi w górę.

Istotnie, gdy stoi teraz przed nami, w ramach kartonowych filarów i oświetlony lampką z długim kominem, którą jeden z Filistynów trzyma mu przy samej twarzy, ma pozór męczennika, ale takiego męczennika, który boleje »bólem milionów«.

Lampka owa, trzymana mu przy twarzy (zapewne dla lepszego oświetlenia obrazu), parzy mu strasznie policzek. Odtrąca ją ruchem energicznym, gniewnym, obiema rękoma chwyta za filary, wstrząsa nimi i obala je na Filistynów, którzy też wszyscy z wielkim łoskotem padają na ziemię...

Zabici wszyscy i Samson zabity.

Martwe ciała poległych leżą pod gruzami pałacu i mienią się wśród przyciskających je filarów szkarłatnemi, żółtemi i zielonemi barwami odzieży.

Zasłona spada... publiczność wybucha szalonymi okrzykami.

Sfery wyższe i zwyczajne, ławki tonące w świetle i grzęznące w mrokach — kloce półokrągłe — łączą się w jednem ogólnem uczuciu, klaszczą, śmieją się, płaczą, biadają, przywołują Samsona, »cesarza«, Dalilę, starców judejskich; a Josiel-reżyser, nic już nie ma przeciw tej całej wrzawie i poskramiać jej nie myśli, tylko, wsparłszy się o brzeg sceny, smutny jakiś stoi, bo oto już koniec uroczystości, o której myśl przez parę miesięcy wlewała trochę wesela w mozolne, jednostajne życie ubogiej garstki ludzi.

* *
*

Po skończonem przedstawieniu artyści nie zdejmują teatralnych kostyumów swych, ale owszem, dopełniają je pociesznymi dodatkami różnymi, a że są zmęczeni trochę, już zatem w garderobie wypijają parę butelek miodu i rozpoczynają chóralną, wesołą, rozgłośną pieśń. Z pieśnią tą wychodzą na ulice miasta, dążąc do mieszkań bogatych kupców i zamożnych właścicieli kamienic miejskich. Tam oczekują ich sute, gościnne przyjęcia, tam tańczyć oni będą, śpiewać i weselić się przez całą noc, a niejeden pieniążek srebrny, niejedna nawet asygnata rublowa wpadnie im w ręce, i z rąk ich przejdzie nazajutrz do kasy ubogich, którą samo już przedstawienie zaopatrzyło obficie i na długo.

Ale wśród wesołej i gwarnej gromadki tej, która teraz właśnie, z wybuchami pieśni i śmiechu, wstępuje na dość szerokie schody, wiodące do mieszkania kupca Rozendorfa, Szymszela niema.

Tam, ulicą mroczną, gdzieniegdzie tylko oświetloną słabym płomykiem latarni, samotnie kroczy wysmukła postać męska. Gdy przechodzi około rzadkich słupów z latarniami, biją od niej połyski szkarłatu, złota i dyamentów, któremi jest okryta; gdy zatapia się w mroku, płaszcz jej długi i fałdzisty bieleje i rozwiewa się, niby ramiona widma. Samotną jest postać ta, ale nie smutną. W pełnem powagi stąpaniu jej znać lekkość i siłę, a z piersi jej to przyciszonymi, to rozgłośnie wybuchającymi tony wypływa wielka arya tryumfu.

Szymszel, po zgruchotaniu Filistynów i siebie samego, obalonemi przez się ścianami pałacu, zmartwychwstał, przejrzał, zapomniał o wszystkich przybytych upokorzeniach i męczarniach, lecz ani na jedno mgnienie oka nie przestał być jeszcze »Silnym Samsonem«. Owszem, idąc teraz z ulicy w ulicę, pomiędzy ścianami murów, o zgasłych już i gdzieniegdzie zaledwie świecących się jeszcze oknach, przebiega pamięcią wszystkie wielkie czyny, których dokonał, i czuje się przepełnionym radością i dumą.

Niekiedy błyska mu w pamięci wspomnienie zwodnej, niewiernej Dalili... wtedy tęsknota jakaś, jakiś żal ściskają mu serce. Wnet przecież przypomina sobie ojczystą Judeję, którą uratował od krwi, łez i pożóg; podnosi wysoko głowę, uśmiecha się, śpiewa głośniej, radośniej i po nierównym bruku mrocznej ulicy stąpa, jak po wawrzynach...

W ten sposób Szymszel przeszedł bulwar i wszedł w zaułek. Machinalnie, przez przywyknienie, kierował się ku mieszka-

niu swemu i, ani myśląc o tem, co czyni, śpiewając wciąż, dotknął ręką klamki nizkich drzwiczek i stanął w progu swej izby.

Stanął — i przez parę minut stał w nieruchomości kamiennej.

W izbie, na stole, u okna stojącym, paliła się lampka, z której długiego kominka wił się ku górze dym żółtawy, cuchnący. Dalej szare nizkie ściany, łoża z pierzynami, porozrzucana na ziemi i kufrze stara odzież, podarta i brudna, kilka ludzkich postaci mniejszych i większych, tu i owdzie leżących we śnie — tworzyło w zmroku chaos, całkiem zrazu oczom i myśli jego niezrozumiały.

Zrozumiał po kilku minutach i — obudził się.

Pierzchnął od niego cudowny, upajający sen. Szymszel zrozumiał, że nie jest Samsonem, owym potężnym atletą i poetycznym bohaterem Biblii, ale sobą, Szymszelem, synem Gerszona, uczonym czasów dzisiejszych, który przeszłość swą spędził i przyszłość całą spędzić ma w tej ciasnej, szarej izbie, nad tą księgą, która i teraz, dziwiąc się jakby opuszczeniu swemu, leży rozwarta na stole, z długimi wierszami, wijącymi się nakształt węży pod światłem lampki.

Rzecz dziwna! Przy spojrzeniu na księgę, wyraz niesmaku, prawie wstrętu, przyoblókł zbladłą twarz Szymszela. Odwrócił od niej oczy i, zwolna bardzo postąpiwszy kroków parę, siadł na stołku przy stole.

Widocznie patrzeć nie może na księgę, bo wciąż odwraca od niej wzrok niechętny i smutny. Głęboka zmarszczka powstaje pomiędzy brwiami jego i rzuca mu na twarz całą wyraz posępnej, jakby gniewnej zadumy.

Zakosztował życia czynu, ofiary, dręczących, lecz zarazem rozkosznych kolei cierpień i szczęścia, klęsk i tryumfów. I cóż? był to sen tylko.

Wracać teraz musi do martwych kart, o zżółkłem obliczu, do siedzącej wiecznie, pół martwej postawy, do dumań nieskończonych, rozróżniań subtelnych, studyów bezdennych.

— A co z tego wszystkiego dla mnie i — co dla ludzi? co?

Pomyślał o ludziach...

A cóż on pocznie teraz z tą gorącą, rzewną miłością dla ludzi, która tam na deskach teatralnych płonęła w potężnem łonie Samsona i pozostała już w słabej piersi Szymszela — czuje silnie, że pozostała na zawsze! Czem ją wyrazi? ku czemu jej użyje? Jakimi czynami zdoła uspokoić jej palące żądze? A cóż

pocznie z przeczuciem tej innej miłości, które rozniecilo płomienne oko i gibka kibić Dalili-widma, z przeczuciem miłości tej tkliwej i upalnej, która, goszcząc w wielkiem sercu Samsona, napełniała je łzami i westchnieniami niewymownej tęsknoty...

Ideały!

Szymszel nie znał imienia ich, ale, gdy raz przeleciały mu one przed wzrokiem, przywiązał do nich duszę. Przeleciały mu przed wzrokiem ideały czynu, miłości i chwały... O! kędyż zniknął, dlaczego stał się tak drobnym, jak atom piasku, dawny, jedyny ideał jego suchej, subtelnej, jałowej uczoności?... Czyliżby w piersi i głowie tego Żyda, o smukłem nerwowem ciele, wytwornych rysach, głębokiej źrenicy i cienkich ustach, które drżą od każdego wrażenia, jak delikatny liść od powiewu wiatru; czyliżby w głowie i piersi Żyda tego, który twarz dzieci zwykł był okrywać namiętnymi pocałunkami, a wśród ciemnych nocy miewał anielskie widzenia — istniały nieznane, nieuprawne warstwy uczuć, imaginacyi i zdolności tych, które, gdy znane są i uprawiane, czynią człowieka sposobnym do ukochania ideałów i sięgania po nie silnem, natchnionem ramieniem?

Pochylił głowę i spojrzał po całem swem ubraniu.

Dziwny uśmiech przewinął mu się po ustach.

Biały płaszcz Samsonowy owijał mu kolana i stopy miękkimi zwojami, szkarłatna szata rzucała połyski złote, paciorki naszyjnika, przy świetle lampki, okrywały mu jeszcze pierś, blaskami rubinów, szmaragdów i srebra, a na czole czuł muskanie pióropusza, zwieszającego się z rycerskiego hełmu.

Uśmiechnął się dziwnie, długo, aż podniósł ręce i powoli zdjął z głowy pozłocisty hełm z pióropuszem. Postawił go na stole i wpatrzył się weń gorejącemi oczyma, z których po chwili stoczyły się na blade policzki dwie duże łzy.

— Żegnaj mi, silny Samsonie! Mężu wielki, któryś mnie nauczył, że są na świecie bohaterskie czyny, wielkie miłości ku ludziom, piękne Dalile i... mali, słabi, nieszczęśni Szymszele!

Dowiedział się, że nigdy nie był wielkim, ani mądrym, ani szczęśliwym... I załamał ręce tak gwałtownie, że aż kości zatrzeszczały w stawach, a potem założył je sobie na szyję i rozpinać począł naszyjnik swój z rubinów, szmaragdów i srebra. Rozpiął go, zdjął i w obu rękach trzymał przed sobą, a z za tych sieci błyszczących sznurów błyskały czarne źrenice jego, nabrzmiewające znowu wielkiemi łzami.

— Żegnaj mi, silny Samsonie, mężu wielki!...

Wtem podniósł powieki, i ręce, trzymające naszyjnik, opadły mu na kolana. Ujrzał przed sobą widok, o którym nie wiedział zrazu, co oznaczał. Naprzeciw niego mroczna głębina izby usiana była sześciu parami żywo połyskujących punkcików. Punkciki te były oczami ludzkiemi i połyskiwały w różnej wysokości i w różnej od siebie odległości, ale ludzkie postacie, do których one należały, całkiem się kryły w cieniu.

Wszystkie te sześć par oczu tkwiły w twarzy Szymszela, a wyrażały podziw, zachwyt, radosne zdumienie. W chwili, gdy opuścił na kolana ręce z naszyjnikiem, punkciki te czarne, błękitne, szare, lecz wszystkie rozpalone błyszczącą iskrą, poczęły posuwać się ku niemu, w górze zaś, najwyżej dojrzał jeszcze dwa inne światełka, złote całkiem, podobne do dwóch dukatów, a z miejsca, w którem świeciły, wychodziło jednostajne głośne mruczenie.

Był to kot bury, który siedział w wysokim otworze pieca, patrzył na pana domu i mruczał. Poniżej znajdowała się cała gromadka rodzinna, spała ona w chwili przybycia Szymszela, lecz się potem obudziła i, siedząc na ziemi, każdy na tem miejscu, na którem znalazło go obudzenie, wpatrywała się w świetny strój męża i ojca.

Siedzieli tak wszyscy i patrzyli oddawna, tamując oddech w piersi, aby nie spłoszyć widziadła w szkarłatach i złocie, które wydało im się sennem zjawiskiem. Potem Cipa pierwsza wysunęła się z mroku, chyłkiem jakoś, cicho bardzo, bardziej pełznąc, niż idąc, ku kolanom męża.

U kolan przysiadła znowu, podniosła ciemną, pomarszczoną twarz, otoczoną brzegami czarnego okrągłego czepca, włożonego na noc miasto peruki, splotła ręce na watowanej spódnicy, z pod której wyglądały stopy w niebieskich pończochach, otworzyła usta i patrzała mu w twarz oczyma, tonącemi w miodach czułości...

Za nią wyłoniły się z cienia ognisto-włose główki Mendelka i Esterki. Enoch wychylił bladą i chudą twarz swą, nad którą sterczał zmięty daszek zsuniętej w tył czapki. Liba stanęła za wszystkimi z warkoczykiem, rozplatającym się w płowe pasma, i z Lejzorkiem na ręku.

Milczeli wszyscy.

I Szymszel milczał długo, patrząc z kolei na postacie te, które teraz otoczyły go już zblizka. Potem ogarnął je wszystkie jednem spojrzeniem i, szybko ukrywszy twarz w obie dłonie, boleśnie od płaczu zaniósł się.

Płakał, jęczał i rozdzierającym głosem biadał.

Wśród płaczu mówił:

— Biedne moje dzieci! oj, biedne, biedne wy, moje rybki, brylanty! Co ja dla was zrobię? Co ja dla was zrobić mogę? Ja biedny, słaby, mały i taki — ciemny, i taki — głupi! I wy będziecie zawsze biedne, małe, i ciemne, i głupie!

Nagle płakać i jęczeć przestał, ze stołka zerwał się i, przed oknem stanąwszy, w ciemności wzrok pogrążył.

Stał tak chwilę, aż ujrzał znowu... wielką, długą pręgę złotą, która na tle czarnej nocy utworzyła złotą drabinę, ze szczeblami pełnymi aniołów i z białym, litośnym, cierniami uwieńczonym, a wianki wijącym aniołem modlitwy u szczytu.

Ale na tę drabinę nie wszedł... zwrócił się Szymszel ku gromadce swej rodziny i z rąk Liby pochwycił małego Lejzorka.

Gdyby wtedy ktokolwiek stał na ciasnem, ciemnem podwórku, za okienkiem, w którem błyszczało mdłe światło lampki, ujrzałby osobliwszy obraz.

W głębi mrocznej izby, na tle jej najdalszem, połyskiwały wciąż zawieszone, jakby w powietrzu, złote oczy kota. Bliżej odbijały od tła mrocznego blade, ściągłe twarze Liby i Enocha, których usta otwierały się od zdumienia. Bliżej jeszcze Esterka i Mendelek stali, trzymając się za ręce i szeroko roztwierając błękitne oczy swe, ukryte prawie za opadającą na czoło ogromną gęstwiną ognistych kędziorów. A najbliżej już, tuż przy nim, Cipa, w okrągłym czepku, oblepiającym jej głowę, przelękniona i zasmucona płaczem męża, splatała na piersi ciemne swe dłonie... I tak ten wątły, delikatny, wysmukły Żyd, z roztarganymi czarnymi włosami, w szkarłatnej sukni, błyszczącej złocistem wyszyciem, stał przy oknie, przechylał się nad stołem, w obu wyciągniętych rękach trzymał dwuletnie dziecię w szarej koszulinie i, przykładając je do samej prawie szyby okna, a kędyś w górę, w górę, posyłając błagalne, łzawe spojrzenie, z całej piersi wołał:

— Sandalfonie, Sandalfonie! proś Jehowy, żeby zrobił go »Silnym Samsonem«.

DAJ KWIATEK.

Drukowany po raz pierwszy w r 1878.

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego czy spostrzegacie państwo starą kobietę, powoli przesuwającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jej odzież, do których też niekiedy przypiera zgarbione plecy stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującemi na zmarszczone czoło? Zmęczona jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dni, miesiące, lata, całe długie życie przewędrowała w sposób podobny, wśród tłumu, spychającego ją na miejsca najmniej wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domostw miejskich. To też popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzec można, w łęk zgięła jej postać, jak wychudłą i malutką stała się twarz, okryta zgrubiałą skórą, jak zżółkły i pomiędzy sterczące kości policzków głęboko wpadły jej wargi, jak spłowiały oczy, czarne snadź niegdyś, jak nad spłowiałemi powiekami drga i mruży się żółta, z rzęs obrana powieka. A na czole nizkiem, ciemnem, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, międła ją i wyginała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tem włosów nie widać, bo głowa owinięta jest chustką, która, pomimo starości, zachowała jeszcze barwę żółtą. Końce jej, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami na rękawach, plecach i piersi.

Stopy jej, kroczące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie obuwie i sine pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spódnicy przybranej u dołu w strzępy różnej długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niej przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo tej kobiety?

Ja znam ją zblizka. Imię jej Chaita, zawód — łachmaniarka.

Wielki Boże! czy przebaczycie mi państwo, że zaznajamiać was chcę z osobą, zajmującą tak nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiecie, że to jest nieprzyzwoite i niepotrzebne? Bo cóż wspólnego być może pomiędzy wami a łachmaniarką?

Przebaczcie!

Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, nierozerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej i nieszczęśliwej rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwo — ale i wasza także.

Co się zaś tyczy nizkiego stanowiska, jeżeliby wysokości stanowisk ludzkich mierzone bywały wedle przeniesionych cierpień i mozołów, upewniam, że Chaita, łachmaniarka, stałaby na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jej... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonemi czołami i drżącą, żółtą powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiałe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznej jakiejś galeryi obrazów zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jej źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jej, uwiędłych i wklęsłych, i zapytywałam w myśli: jaką byłaś za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoją, nim zawiodły cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich nizkich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zre-

sztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest wcale bezinteresowne. Znajomość bowiem wielu historyi podobnych stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy zdrój mądrości.

Śmiem nawet ubolewać nad pisarzem każdym, który historyi takich nie ciekaw i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? — była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadej twarzy, z kruczym warkoczem i czarnem okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśleć o blaskach i upałach wschodniego nieba.

Urodziła się na wsi — za pozwoleniem państwa — w karczmie. Była to malutka karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niej słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości, szerokie niwy bielały w zimie puszystem posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą kłosów; w pobliżu, wśród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzenki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały. Należał do dworu, którego też własnością była biedna, mała karczemka, dzierżawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity.

Biedną była karczemka, biednym dzierżawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił też synów i za mąż wydawał córki, jak mógł — niezbyt świetnie zapewne. Chaitę, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia.

Wozem i koniem woził z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu tej mąki przez całe życie wyglądał jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białymi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnej zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w której wysokich trawach sypiała niegdyś ogrzewana słońcem majowem, ochładzana gałęźmi rozłożystego głogu; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwisłe

swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z niem kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnemi gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonej w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jej było wejść czasem i pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w której stajni beczało kóz kilka, serdecznych jej przyjaciółek, w której ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłej twarzy, przed której progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornej wydobywał ze skrzypiec nieuczone, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na nizkiej ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białej mgle, kłębiącej się po łąkach, nakształt wód, kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jej nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli, czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Jednak tęsknili za czemś, czegoś im było żal i lęk... Gdy brat Chaity grał coraz przeciąglej, smętniej, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu zasłuchane twarze; w ciemnej sionce matka wzdychała głośno, a ojciec z rudą brodą i okiem posępnem modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniej, coraz żarliwiej, coraz jękliwszemi i śpieszniejszemi zawodzeniami...

Wraz z pierwszem wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tem wszystkiem Chaita, a może i z czemś więcej jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad któremi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącej zwieszona, ukazały ognistym jej oczom urodziwego młodzieńca, z miękką dłonią, czołem jaśniejącem mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jej opowiadał jej braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królewną, aby marzyć o szczęściu...

— Szczęście! Quel animal est ça?— mogłaby dziś, gdyby umiała po francusku, zapytać Chaita. Ale ona nie umie po francusku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim, żargonie, codziennie zrana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów:

— Panie świata!, dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!

Miasto porwało ją — jak atom drobny wpada w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z nimi pociągnięta została w wir nieubłagany, wśród którego stopy stopom zazdroszczą każdej piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradać usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdy okruch pożywienia, czoła goreją od znoju, serca twardnieją i więdną od widoku twardych kamieni i uwiędłych twarzy, nad któremi nie brzmią i nie przelatują żadne kojące, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieszczoty swobodnej, świeżej przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jej wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiej pracy dopomódz; dzieci, które ją otaczały coraz liczniejszem gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóstwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, któremi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety garbatej z przodu i z tyłu; potem roznosiła owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jej kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potem jeszcze...

Lecz nie będę opowiadała dłużej, czem była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jedną tylko rzecz powiedzieć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz — na ów cmentarz izraelicki, który o wiorstę od miasta, na piaszczystym gruncie, wśród nizkiego ogrodzenia sterczy lasem czerwonawych kamieni. Chaita chodziła często na piaszczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsł się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaita zanosiła się zwykle od płaczu; a kiedy potem z przechadzki tej do domu wracała, piaszczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcej. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata, który był dla niej bardzo dobry, matki, mieszkającej przy niej na starość, syna, który brylantem był w wypłakanem jej oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jej wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zobojętnieli...

Jest ona teraz samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet stare łachmany ze śmietnisk wybiera, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i — żyje...

Czy żyje bez wszelkich już pociech i przyjemności, nic na

świecie całym niema, coby zgasłe jej oko rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiędłe wywołać uśmiech pieszczotliwy, niemal radosny? Spójrzcie teraz, gdy, zgięta pod ciężarem kosza, przesuwa się brzegiem ulicy i podartym kaftanem ściany domostw wyciera.

Podniosła nieco głowę w żółtej chustce, oko jej strzeliło iskrą prawie gorącą — uśmiechnęła się i dygocącym głosem zawołała:

— Chaimkie! nu! Chaimkie!

Mały, sześcioletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał wołanie, przypadł do niej, zarzucił ramiona na schyloną jej szyję, pocałował głośno zmarszczone czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych ineksprymablach i zielonej bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba; portretowi jego, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jej wnukiem po najmłodszej córce, po tej właśnie, która przez czas krótki tkwiła, jak róża, w kolczatym wieńcu jej życia. Śmierć zwiała z ziemi różę starej łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jej obraz w pozostawionem przez nią dziecięciu. Chaimek ma włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłej, bladawej twarzy.

Chaimek jest ładnem dzieckiem. Ubranie jego znamionuje w sposób wyraźny profesyę babki; od roku już bowiem nosi on kamizelkę z białego perkalu w czarne centki, surducik z perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszyty jest daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosi czapeczkę, bo najczęściej zapomina jej w domu, a na mieście ukazuje się w rudej jarmułce, która przykrywa sam wierzch zaledwie spierścienionych jego włosów.

Chaita zawsze własnoręcznie szyje ubranie Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko, zawsze jednak szczególny jest widok starej kobiety, gdy w wielkich okularach, których brzegi zachodzą do połowy pomarszczonego czoła, i w żółtej chustce, ściśle oblepiającej głowę, siedzi na nizkim stołku, przy świetle lampki z długim kominem, ciemnemi rękoma

przykrawuje, przymierza, zszywa spłowiałe łachmany. Czyniąc to z nadzwyczajnem wytężeniem myśli i wzroku, kiedy niekiedy pomrukuje półgłosem.

Mówić do siebie jest jej starym zwyczajem.

— Kto tam teraz mieszka? — szepce czasem.

Myśli wtedy o małej, brudnej karczemce, w której urodziła się i wychowała.

— Aj! aj! jakie one były piękne!...

Wspomnienie to o starych drzewach dworskiego ogrodu, pod których cieniem przechadzała się kiedyś, dzieckiem i dziewczęciem będąc.

Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwej pogróżki.

Przed wzrokiem jej przepłynęły z srebrnem dzwonieniem fale strumienia i zamigotały czarnemi oczyma wpatrzonej w nie dziewczyny.

Innym jednak razem wzdycha ciężko.

— Kiedy on umarł — mówi — to on bielszy zrobił się, niż ta mąka, którą zawsze nosił na sobie! On młodo umarł. Wory ciężkie na wóz kładł przez całe życie... zmęczył się bardzo i... poszedł sobie...

Potem dodaje:

— Panie świata! połącz duszę jego z duszami Abrahama, Izaaka i Jakóba, i wszystkich miłych Tobie!

A czasem mówi:

— Człowiek podobny jest tchnieniu! dni jego znikają, jak cień!

Wtedy myśli o młodej córce swojej, matce Chaimka, o róży, którą z ziemi zwiała śmierć...

Bywają jednak chwile, w których z ręki Chaity wypada gruba igła; ściska ona pięść z wielkim gniewem, oczy jej z za okularów gniewnie pałają.

— Aj! aj! zła kobieta, złodziejka! niegodziwa! jak ona mię obdarła! jak ona mię oszukała! Dwa złote za taki gałgan ode mnie wzięła! a kto mnie za to tyle da? ja nieszczęśliwa jestem! ona mnie zgubiła!

Namyśla się, potem uspokaja i dodaje:

— Nu! kto mnie za to tyle da? Dziewczyna ta od tych bogaczów! Ona na niczem nie zna się i ciągle się tylko śmieje i podskakuje. Ja jej do tego kaftana te błyszczące guziki przyszyję, a pokazywać go jej będę nie z tej strony, gdzie są dziury,

ale z tej, gdzie będą błyszczące guziki. Może ona mnie i trzy złote da! Złoty zarobku! toby to szczęście było!...

Marząc o olbrzymim zarobku całej złotówki i uśmiechając się filuternie na myśl o błyszczących guzikach, którymi nazajutrz olśnić ma młodą pokojówkę, ciągle śmiejącą się i podskakującą, Chaita czuje, że drzemać zaczyna. Nogi okrutnie bolą ją od kamieni, po których cały dzień chodziła, radaby się już położyć, wstaje tedy, ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jej stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyla się ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u jej kolan, gwarząc i przypatrując się sporządzanym dla niego szatom, leży teraz u nóg jej, skurczony, uśpiony, i w silnie zaciśniętej ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

Wklęsłe wargi Chaity rozwierają się szerokim uśmiechem; stawia lampkę na stole, bierze wnuka w objęcia i, składając na rozrumienionej snem twarzy jego głośne pocałunki, mówi:

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła!

Przy ostatnich wyrazach tak się już śmieje, że aż chichoce prawie.

Chaimek się budzi, otwiera senne powieki, i co prędzej niesie do ust niedojedzony przedtem obwarzanek. Babka wsuwa go pod pierzynę.

— Bobe? — odzywa się dziecko.

— Nu? — pyta babka, zajęta zdejmowaniem kaftana.

— A gdzie ta dziesiątka, którą ja dziś od puryca dostałem?

Pytanie to sprawia na Chaicie przykre bardzo wrażenie.

— Gdzie ta dziesiątka! — woła — ja ją za okno wyrzuciłam. Ty ją wyżebrał! a czy ja tobie nie mówiłam, żebyś ty nie żebrał! Jak ty mnie jeszcze raz nie posłuchasz, to ja ciebie rózgą wybiję!

Chaimek ani wyrzutów, ani pogróżek babki już nie słyszy. Śpi znowu z obwarzankiem przy ustach, i z ramieniem, ubranem w brudny, gruby rękaw, zarzuconem nad głową. Ciemne rzęsy rzucają mu na różowe policzki długie cienie, a drobne usta uśmiechają się łagodnie. Stara babka gniewa się jeszcze chwilę, lecz potem wydobywa z kieszeni wyżebraną przez wnuka dziesiątkę i ogląda ją na wszystkie strony, jakby sama przekonać się chciała, że nie uczyniła wielkiej niedorzeczności wyrzucenia jej za okno. Wzdycha przytem ciężko, głową smutnie wstrząsa, lecz nakoniec, wsuwając się pod pierzynę, wymawia:

— Nu! cóż robić!

I dodaje:

— Bieda!

Niekiedy babka i wnuk bawią się we dwoje bardzo wesoło. Zdarza się to wtedy najczęściej, kiedy Chaita dość późnym wieczorem wraca do mieszkania swego, niosąc na plecach kosz, pełen kupionych i pozbieranych ze śmietnisk łachmanów. Mieszkanie Chaity znajduje się w najgłębszym środku labiryntu tego, który składają uliczki i domki żydowskiej dzielnicy miasta Ongrodu. Składa się ono z izdebki tak nizkiej, że sczerniałych belek sufitu Chaita z łatwością ręką dosięgnąć może, a tak ciasnej, że gliniany piec większą połowę jej zajmuje. Pod jedynem okienkiem izdebki tej, złożonem z malutkich szybek, niema żadnej prawie ulicy; domek bowiem stoi wśród wielkiego nagromadzenia podwórek. Jest ich tam dokoła takie mnóstwo, że nieobeznanemu z miejscowością trudnoby się wśród nich zoryentować. Rozdzielone malutkimi domkami i płotami przegniłymi, chylącymi się ku ziemi, plączą się one z sobą i najróżniejsze posiadają kształty: wąziuchne są a długie i kręte, niby korytarze, to kwadratowe lub okrągłe, w czarne stajenki i składziki zaopatrzone, stosami śmiecia zjeżone, z kałużami, wiecznie stojącemi wśród ostrych kamieni tu i owdzie, z nagromadzeniem starych desek, na których w dzień huśtają się gromady dzieci, a które nocami skrzypią i stukają pod powiewem wiatru.

Zdarza się czasem, że Chaimek uprzedza babkę i pierwszy z wycieczek po mieście wraca do izdebki. Roztropne to dziecko. Wśród mroku, panującego w izdebce, wynajduje zapałki, rozniecą ogień w małej lampce i stawia ją na okienko, aby przyświecała krokom babki, gdy przebywać ona będzie podwórko, mające kształt długiego, krętego korytarza. Wszystko to czyni z powagą, zwolna, ostrożnie; potem zaczyna odbywać po izdebce geograficzne poszukiwania. Pogrąża się naprzód w mrokach zapiecka i z szelestu, który tam czyni, poznać można, iż rozgrzebuje nagromadzone tam stare papiery, potem zagląda pod stół, pod pierzynę i poduszkę babki, i pod swoją własną, w kątku na ziemi leżącą, pierzynkę. Niekiedy poszukiwania te pozostają całkiem jałowe; najczęściej jednak, za piecem albo pod pierzyną, Chaimek znajduje sczerstwiałą bułkę, obwarzanek, albo kawałek chleba czy sera. Wtedy ze zdobyczą swoją siada w kącie izdebki i, zajadając z apetytem znaleziony przysmak, oczekuje przybycia babki.

Wkrótce też daje się słyszeć za okienkiem uderzanie o kamienie bruku przydeptanych trzewików Chaity; nizkie drzwiczki rozwierają się szeroko, i wsuwają się przez nie: naprzód gorąco

żółta chustka, oblekająca głowę starej kobiety, potem zgarbione jej plecy, a potem wielki kosz, sterczący cały różnobarwnemi szmatami, które go przepełniają, i połyskujący tu i owdzie metalowym guzikiem jakimś, przystrajającym znoszoną odzież. Wtedy Chaimek zrywa się z ziemi, przyskakuje do babki, pomaga jej zdjąć z pleców ciężar, a następnie wyciąga ku niej rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub sera i woła:

— Jedz, Bobe!

Chaita bierze czasem podawaną jej żywność i je, najczęściej jednak tak jest zmęczona, że z głośnem stękaniem siada na ziemi obok kosza i bezzwłocznie opuszcza ręce. Chaimek zdejmuje lampkę z okna, stawia ją też na ziemi, a sam naprzeciw babki siada i obie ręce chciwie w koszu zatapia. Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem, naprzykład, ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką, długą, falbaniastą suknię z liliowego muślinu. Suknia ta pełna plam i dziur, ale Chaimek ich nie dostrzega, widzi tylko piękny kolor liliowy, i z otwartemi usty przygląda się gałązkom deseniu. Po sukni występuje z kosza kapelusz słomiany, zmięty bardzo, z dnem wydartem, ale ozdobiony wielką różą i opaską z różowej wstążki. Chaimek na widok róży aż chwyta się za głowę obu rękoma, potem, dla lepszego zapewne przypatrzenia się prześlicznemu przedmiotowi, wkłada go na głowę babki. Chaita nie wzbrania mu czynić tego, owszem, oczy jej błyszczą i uśmiechają się z pod róży, ocieniającej żółte czoło, gdy uszczęśliwiony Chaimek, przypatrując się jej, przechyla głowę na obie strony i woła:

— Szajne Bobe! a! szajne Bobe!

Po kapeluszu następują buciki, drobne dziecinne obuwie, podarte, zbrudzone, ale z ponsowej skórki. Chaita nie kupiła ich, lecz podniosła z ziemi na obszernym dziedzińcu, u okna pięknego jakiegoś domu. W mgnieniu oka ponsowe buciki znajdują się już na nogach Chaimka. Skacze w nich po izdebce, a co chwila staje i, nizko schylając głową, przypatruje się im z uwielbieniem nadzwyczajnem. Chaita, patrząc na uszczęśliwione dziecko, odpoczywa.

— Chaimkie, czy ty dziś nic na mieście nie dostał?

Gdy wymawia te słowa, usta jej drżą trochę i powieki okrywają niespokojnie migocące źrenice. Widocznie wstydzi się własnego pytania.

Kiedy Chaimek odpowiada, że nic nie dostał, Chaita nic

mu na to nie mówi, tylko zcicha coś mruczy do siebie, głową trzęsie i wzdycha; lecz jeśli tylko sięgnie on do kieszonki i wydobędzie miedzianą lub srebrną monetę, stara babka wyrywa mu pieniądz z ręki, ciska go o ziemię i w gniew wielki wpada.

— Ty znów żebrał — woła, zrywając się z ziemi i rozpostarte ramiona wyciągając groźnie ku dziecku, które cofa się ku swej pierzynce. — A co ja tobie mówiła? czy ja tobie nie mówiła, że żebrać to wstyd i grzech; ja ciebie za to rózgą wybiję!

Gdy tak woła, wyraz oczu jej tak jest rozsrożony, głowa i ręce tak się trzęsą, że chociaż sceny podobne powtarzają się często, Chaimek za każdym razem czuje się mocno strwożonym i chowa się pod pierzynkę swą caluteńki, z głową. Tylko malutkie nóżki jego w ponsowych bucikach wyglądają z pod pierzynki, a z innej strony, przez małe uchylenie jej, wygląda jeszcze czarne oko, napół filuternie na babkę spoglądające. Chaita staje nad parą ponsowych bucików i miewa do nich długą jeszcze przemowę o wstydzie i grzechu żebraniny. Przy końcu woła gniewnie:

— Zdejm buciki! czy ja je dla ciebie tu przyniosłam?

— Bobe! — odzywa się z pod pierzynki jękliwy głosik.

— Zdejm zaraz buciki, nu!

— Bobe, pozwól mi w nich tę jedną noc przespać!

Głosik przybrał tym razem tak przejmująco błagalne tony, że Chaita czyni pobłażliwy giest ręką i odchodzi ku swemu łóżku. Stamtąd zwraca się raz jeszcze i, spostrzegłszy głowę dziecka, która, zjeżona kasztanowatymi kędziorkami, wygląda już z pod pierzynki, uśmiecha się ku niej i szepce:

— Fiszele! (rybko).

Nazajutrz, gdy Chaimek otwiera ze snu oczy, za okienkiem, na wązkiem podwórku dnieje, błękitnawy brzask poranku napełnia izdebkę, a na mglistem tle tem wydatniej odbija się przygarbiona postać Chaity, w szafirowy kaftan bez rękawów przyodzianej i, z twarzą zwróconą ku oknu, modlącej się żarliwie. Z szybkimi, krótkimi pokłonami, półgłosem wymawia ona:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, który prostujesz zgiętych w łęk!

— Błogosławiony bądź, Panie świata, który dajesz siłę strudzonym!

— Błogosławiony bądź, Panie świata, który sen z oczu, a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Chaimek wydobywa się z pod pierzynki i w szarej koszu-

lince, a ponsowych bucikach stanąwszy za babką, zaczyna kłaniać się, tak jak ona i, mówić:

— Błogosławiony bądź, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem ani bałwochwalcą!

— Błogosławiony bądź, Panie świata, za to, żeś stworzył mnie mężczyzną!

I dalej odmawia poranny pacierz, którego, przez litość nad ubogiem, zaniedbanem dzieckiem, nauczył go uczony Szymszel, ojciec serdecznego przyjaciela jego, małego Mendele.

Stara babka niczego nauczyć go nie mogła, bo oprócz tego, że po całych dniach w domu nie bywała, wiedzy najmniejszej nie posiadała sama.

Napatrzywszy się do syta wymalowanemu na szyldzie olbrzymowi, Chaimek zwrócił kroki swe w stronę placu miejskiego, który, otoczony nizkiem ogrodzeniem i osadzony mizernemi drzewami, nosi w Ongrodzie wspaniałą nazwę bulwaru. Inne dzieci podążyły w tym samym kierunku, ale ponieważ starszemi były, pobiegły prędzej. Chaimek z serdecznym przyjacielem swym, młodszym od niego o rok Mendelkiem, szli zwolna, trzymając się za ręce. Po drodze zatrzymywali się przed niektóremi z wystaw sklepowych, tu przypatrując się złotym i połyskującym wyrobom jubilera, gdzieindziej uśmiechając się z rozkoszą na widok bułek i rogali, zdobiących okna piekarni. Do tych ostatnich malutki Mendele, w różowym spencerku i niezmiennie zwisających z pod spencerka białych tasiemkach, wyciągał nawet ręce. Ale Chaimek, o rok starszy, perswadował mu, że bułek i rogali tych brać nie można, a gdyby nawet i dostały się one w ich ręce, na nicby się im nie przydały, ponieważ są trefnemi. Mendele nie miał jeszcze zupełnie jasnego pojęcia o znaczeniu trefu. Chaimek znał fakt, ale wytłómaczyć go przyjacielowi nie umiał; powiedział więc, że gdy tylko zobaczą Enocha, dziewięcioletniego brata Mendelka, który od pięciu już lat uczy się i bardzo już jest uczony i nabożny, zapytają go o to.

Jakoż, gdy, rozmawiając w ten sposób, weszli na bulwar, ujrzeli siedzącego na ławce wyrostka, w długiej, szarej surducinie i czapce, nizko na czoło nasuniętej. Był to Enoch, syn uczonego Szymszela, a brat Mendelka. Dokoła niego zgromadziło się kilku chłopców równego z nim wieku, którzy, gwarząc, zwracali się wciąż ku niemu, niby ku sędziemu albo mistrzowi swemu. Widocznie mały Enoch, słynący z wczesnej uczoności i nabożności, zajmował wśród rówieśników stanowisko takie, jakie ojciec jego, uczony Szymszel, posiadał wśród mężów dorosłych.

Względnie do młodocianego wieku Enocha, stanowisko to było świetne i zdawało się przyrzekać mu przyszłość najpiękniejszą. Tylko, że ściągła, prześlicznie zarysowana twarz małego mędrca była bladą i chudą, a oczy jego czarne, ogromne, głęboko zapadły i na świat patrzyły z wyrazem dziwnie jakoś cierpiącym i dziwniej jeszcze poważnym!... Wyglądał tak, jak gdyby wielka owa ilość wiedzy, z której słynął, gromadząc mu się w głowie, wsiąknęła w siebie wszystką krew jego, i jak gdyby wielka owa nabożność, którą tak wcześnie się odznaczał, zjęła mu małą, szczupłą postać nieruchomą sztywnością i owiała nieokreślonym smutkiem.

Chaimek stanął naprzeciw Enocha, obu łokciami wsparł się o jego kolana i, podnosząc ku poważnej twarzy starszego towarzysza twarzyczkę swą okrągłą, ruchliwą, figlarnie orzuconą zwojami kasztanowatych kędziorów, zapytał:

– Enoch! powiedz ty nam, mnie i Mendelkowi, co to jest tref i koszer? dlaczego nie wolnoby nam jeść bułek tych, których tam, za oknem piekarni, tak wiele?

Usłyszawszy pytanie to, Enoch, rozjaśnił nieco twarz i już — już odpowiadać zaczynał dwom, stojącym przed nim, malcom na ich pytanie, gdy inni chłopcy, siedzący na ławce i za nią stojący, jednogłośnie zawołali, że oni o tem już dawno wiedzą, zatem i słuchać nie chcą, a proszą i żądają, aby Enoch opowiadał im lepiej piękną jaką historyę. Enoch mnóstwo pięknych historyi umie. Nauczył się ich w chederze (przeszedł już bowiem cały pięcioksiąg i znajduje się obecnie w studyum elementarnej nauki Talmudu z komentarzem Rasze). I teraz więc w krótkich słowach wyjaśniwszy Chaimkowi znaczenie trefu i koszeru, z poważnymi giestami rozpowiadać zaczął o poprzedzających wyjście Izraela z domu niewoli plagach egipskich. Była to jedna z najstraszniejszych historyi Enocha. Plagi po plagach następują długim szeregiem, a jedna od drugiej jest straszniejsza. O grubych ciemnościach, które zaległy były Egipt, dzieci słuchają w niemem osłupieniu, mniejsze już wrażenie wywierają na nie spadające na Egipt chmury szarańczy, różdżka Mojżesza zato, przemieniająca się w węża, zajmuje ich niezmiernie.

Coby to było, gdyby każdy z nich przemieniać mógł w ten sposób przedmioty różne we wszystko, czego żąda! Mały Mendele, naprzykład, przemieniłby natychmiast kamyczek, leżący u stóp jego, w piękną, pulchną chałę, a Chaimek rozkazałby uschłej gałązce, którą trzyma w ręce, ażeby stała się taką piękną

różą, jak była owa róża, zdobiąca stary kapelusz, znaleziony kiedyś przez niego w koszu babki.

Jakkolwiek przecież gromadkę małych słuchaczy zajmuje żywe opowiadanie Enocha, przerywają je niekiedy drobne epizody, związku z nią nie mające.

Tak, naprzykład, gburowaty Mordko, chcąc znaleźć się bliżej opowiadającego, popchnął Mendelka tak silnie, że zachwiał się on, na tasiemki swe nastąpił i upadł.

Chaimka oburzyła krzywda, wyrządzona przyjacielowi. Z zaiskrzonem okiem, ściśniętą pięścią uderzył on parę razy w plecy Mordka, poczem nachylił się, podniósł Mendelka, pocałował go w czoło zawalane piaskiem, pogładził policzek zalany łzami i, mocno go potem objąwszy ramieniem, do siebie przytulił. Mendelek przestał płakać, ale w gronie całem powstał, wypadkiem tym wywołany, gwar pewien, na który przecież Enoch w najmniejszej mierze nie zważał i bez względu na to, że przez pół go tylko słuchano, opowiadał dalej.

Wytrwałość ta przyniosła, jak zwykle, skutki pomyślne, bo gdy opowiadanie dosięgło kuluminacyjnego punktu swego, więc jednoczesnego wymierania wszystkich pierworodnych egipskich dzieci, uwaga słuchaczy nanowo i w zupełności ku opowiadającemu wróciła.

Jednoczesna śmierć pierworodnych wzbudziła przerażenie ogólne.

Słuchano o niej z pootwieranemi szeroko ustami, z wyrazem trwogi głębokiego żalu w oczach. Widocznie dzieci te nie czyniły jeszcze różnicy pomiędzy narodowościami, świat ten zamieszkującemi, i nie wiedziały o tem, że jedna z narodowości tych nienawidzić może drugiej i cieszyć się z jej nieszczęść. Mądrość ich nie dosięgła jeszcze stopnia tego, na którym znajduje się wiedza o nienawiści i zemście. Żałowały też pierworodnych egipskich tak zupełnie, jak gdyby były one izraelskiemi. Ale Enoch zbliżał się już do wspomnianego wyżej stopnia mądrości i nad pierworodnemi egipskiemi litości najlżejszej nie uczuwał.

Z błyszczącem okiem i szerokimi giestami opowiadać właśnie zaczynał o płaczach i lamentach, które po owem fatalnem wydarzeniu rozlegały się w Egipcie, gdy nagle...

— Patrz! patrz! — zawołali wszyscy słuchacze i wszyscy w kierunku jednym powyciągali wskazujące palce, a Chaimek aż zadrżał cały z radości.

Na bulwar weszła kobieta w białej, lekkiej jak obłok,

sukni, z ciemnymi splotami jedwabistych włosów nad czołem i ogromną więzią prześlicznych kwiatów w ręce, obciągniętej rękawiczką.

Była to strojna i piękna pani; po obu stronach jej szli też piękni i strojni panowie.

Enoch sam jeden już siedział na ławce, ale nie zwracając uwagi na to, iż odbiegli go słuchacze, prawił z coraz większym zapałem historyę swą dwom drzewkom, melancholijnie powiewającym nad ławką mizernemi gałązkami.

Przechodząca przez bulwar piękna pani i cudowne kwiaty, które niosła w swej dłoni, nie zdołały obudzić w nim zajęcia, oddawna już bowiem próżności i blaski światowe nęcić go przestały, a umysł utonął całkiem w studyach poważnych.

Lecz nic dorównać nie zdoła pośpiechowi, z jakim bardziej lekkomyślni i światowi towarzysze Enocha gonili za zjawiskiem, zachwyt ich budzącem.

Gromadą całą biegli oni za panią w białej sukni, chmura kurzawy wzbijała się z pod stóp ich, a krzyki napełniały powietrze. Chaimek szczególniej nie mógł oderwać oczu od prześlicznego bukietu. Dotąd widywał tylko kwiaty, malowane na starych sukniach, wtłoczonych w kosz starej Chaity, albo te, które z nikłą barwą i zmiętem, martwem obliczem przyozdabiały dziurawe, na śmietnikach znajdowane, kapelusze. Nigdy jeszcze w życiu swem nie widział kwiatów żywych. Teraz zobaczył je i aż zadrżał cały od zachwycenia niewymownego. W zapale swym zapomniał nawet o małym Mendelku, który, nie mogąc dorównać biegowi towarzyszy, usiadł na środku ścieżki bulwarowej i, rzewnie płacząc, wrzeszczał przeraźliwie. Inni chłopcy, mniej śmieli, albo może mniej namiętnie rzucający się ku rzeczom pięknym, biegli za panią w bieli w pewnem oddaleniu, palcami tylko wskazując ją i jej bukiet.

Ale Chaimek zabiegał jej wciąż drogę i, wyciągając obie ręce ku kwiatom, błagalne oczy podnosił.

Ona nie zważała zrazu ani na dziecko, ani na ruchy jego wpół nieśmiałe, wpół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknię jej i zlekka ją ku sobie pociągnął. Stanęła wtedy i z uśmiechem na dziecko spojrzała.

Źrenice jej łagodne spotkały się z roziskrzonemi, jak czarne brylanty, oczyma dziecka.

Schylona nieco, zapytała:

— Czego chcesz, mały?

Chaimek nieśmiałym ruchem dotknął końcem palca jej kwiatów.

Zaśmiała się, dłoń jej spoczęła na gęstych dziecka kędziorach.

— Poproś ładnie — rzekła.

Chaimek stał nieruchomy i patrzał jej w oczy zalęknionem trochę spojrzeniem, zarazem wargi jego drgać zaczynały, jak gdyby wnet miał się rozpłakać.

Nie dziw. Języka, którym przemawiała do niego, nie rozumiał.

— Powiedz, mały: daj kwiatek!

Chaimek domyślił się, że kobieta uczy go wymawiania nieznanych jakichś wyrazów.

Pojętność i uwaga odbiły mu się w oczach, które rozwarły się szerzej.

Wyjąkał i bełkotał zrazu coś niezrozumiałego, lecz po chwili z wybuchem radości i po dziecinnemu przeinaczając trudny wyraz, zawołał wyraźnie i głośno:

— Daj kwiatek!

Wtedy kobieta w białej sukni wesoło i razem głęboko popatrzyła mu w oczy, odłączyła od bukietu swego sporą część kwiatów i dała je dziecku.

Chaimek żawiesił się u jej ręki i okrył ją namiętnymi pocałunkami.

W minutę potem biegł ulicą, wiodącą ku żydowskiej dzielnicy.

Trzymał kwiaty w wysoko podniesionej ręce, biegł szybko, nie słyszał wołań goniących go towarzyszy, a od tych, którzy go doganiali, bronił się rękoma i nogami. W ten sposób przebiegł kilka wązkich zaułków, kilkanaście różnokształtnych dziedzińczyków i wpadł do mieszkania babki.

W chwili tej właśnie słońce zachodziło. Ukośny promień jego padał na drobne szybki i spróchniałe ramy okienka.

O! błogosławione bądź słońce, które ozłacasz niekiedy czarne ściany takich nizkich izdebek, szkarłatnemi smugami opasujesz takie niezgrabne, gliniane piece i ciepły pocałunek składasz na czole zmarszczonem takiej przygarbionej, zmęczonej, starej łachmaniarki!

W różowym płomieniu zachodzącego słońca, z kwiatami w wysoko podniesionej ręce, stanął zdyszany Chaimek przed babką, która na stołku siedząc, drżącemi rękoma przebierała podarte łachmany.

Śnieżne lilie, stulistne róże, błękitne jak niebo niezapominajki, wysokie trawy ze srebrnymi brzegami rozbłysły w słońcu, niby spadły z nieba odłam tęczy; woń ich upajająca napełniła izdebkę od czarnego sufitu do glinianej podłogi.

Chaita klasnęła w ręce, oczy i usta szeroko ze zdziwienia otwierając.

— Chaimkie! — zawołała — aj! aj! Chaimkie! a skąd ty wziął te piękności? gdzie ty znalazł takie brylanty? Daj ty mi *ich* tu, ja im przypatrzę się! Aj! jak one pachną!

Uczucie niewymownej błogości rozlewało się na twarzy Chaity, gdy, wziąwszy piękne kwiaty z rąk wnuka, przyglądała się im zblizka i zdaleka, przymrużała oczy, nos, uzbrojony w wielkie okulary, kryła całkiem prawie w kielichu lilii, a szerokie trawy o srebrnych brzegach gładziła dłonią, jakby to były dzieci ukochane, wciąż wołając:

— Aj! aj! jakie to piękne! a jak to pachnie! a jak to błyszczy!...

I trudnoby rozpoznać, które z dwojga tych istot, dziecię czy babka, cieszyło się namiętniej temi arcydziełami natury, co zajaśniały nagle w ciemnem i dusznem ich miejskiem więzieniu tym błyskiem zbytku, który rozświecił przed nimi — mrok nędzy.

Cieszyli się oboje naiwnie, głośno, ale uciecha dziecka dłuższa była.

Chaita po kwadransie poczęła głową trząść smutnie jakoś, westchnęła.

— Kiedy ja byłam młoda... — szepnęła i długo potem o czemś szeptała, głową trzęsła, wzdychała, a Chaimek siedział w kątku na pierzynce, opowiadał babce o pięknej pani, o sposobie, w jaki kwiaty od niej otrzymał i całował od chwili do chwili róże i lilie. Lecz babka po wielkiej radości posmutniała, a wśród nocy budziła się, stękała, wzdychała i słyszała, jak w ciemnościach głosik dziecinny z dźwiękiem prośby wymówił przez sen:

— Daj kwiatek!

Chaimkowi śniła się kobieta w białej sukni i śniły się kwiaty; nie dziw, bo oddychał, owiany był cały ich wonią. Nocy tej, niby drugi Heliogabal, spał on na kwiatach. W obawie, aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę, pod biedną poduszeczkę, powleczoną niebieskiem płócienkiem.

Bolesne obudzenie! Nazajutrz Chaita, odmawiając, jak zwykle, o wschodzie dnia modlitwy poranne, usłyszała za sobą głośne szlochania.

Odwróciła się, i oto jaki obraz przedstawił się jej oczom.
Na wiązce słomy, przykrytej cienką pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranymi, a kolana jego, przykryte starą koszuliną, i drobne nagie stopy osypane były trupami kwiatów.

Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął wnet pod poduszkę i wydobył skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atłasowe liście lilii zżółkłe były i porozdzierane, róże, napół ogołocone z koron, sterczały uwiędłemi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania... Nie były to już kwiaty, lecz słabe o nich zaledwie wspomnienia. Chaimek z obwisłemi rękoma patrzał na nie i płakał, szlochając głośno.

Daremnie pocieszała go babka, to znowu łajała, grożąc, że go rózgą wybije... Chaimek nie słyszał nic i nie widział. Łzy duże, rzęsiste, strumieniem lały mu się z oczu i, spadając na uwiędłe kwiaty, skrapiały je obfitą rosą. Jedna tam była tylko gałąź niezapominajek, która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne gwiazdki ze złotemi oczyma zdawały się łagodnie patrzeć na płaczącego chłopczynę...

* * *

Był raz wieczór jesienny i smutny.

Za okienkiem izdebki Chaity po wązkiem podwórku z żałosnem gwizdaniem przelatywały wichry, a gdy umilkły na chwilę, słychać było szmer deszczu, spadającego na kamienie bruku. Chaita leżała na łóżku, stękała i wzdychała. Wązki promień światła lampki migotał po twarzy śpiącego obok niej Chaimka, a ona w twarz tę wlepiła nieruchome oczy i, według zwyczaju swego, półgłosem do siebie mówiła:

— Oj! biedne, nieszczęśliwe ty moje dziecię, co z tobą stanie się, kiedy dusza moja rozwód weźmie z mojem ciałem! Co z tobą będzie, kiedy Przedwieczny zawoła duszę moją, aby szła stąd i połączyła się w światłości Jego z duszami matki mojej i ojca mego, męża mego, Lejby i brata mego, Abrahama, dwóch synów moich i kochanej córki mojej, Małki? A co ja Małce mojej powiem, kiedy ona mię na tamtym świecie zapyta: »Matulu, co ty zrobiłaś z małym synkiem moim, Chaimkiem? czy ty zostawiłaś tam przy nim kogo, kto chleb w usta jego, a rozum w jego głowę wkładać będzie?« Jak ona mię tak zapyta się, ja z wielkiego wstydu oczu na nią, na moją kochaną Małkę, podnieść nie będę mogła i tylko cała łzami zaleję się, bo

miłego synka jej, Chaimka, ja samego jednego na tym świecie zostawię... On taki mały i żadnej rady sobie dać jeszcze nie może... U niego ręce takie małe, że on sobie niemi nic nie zapracuje, a głowa taka głupia, że będzie go do złych rzeczy, do wielkich nieszczęść prowadzić! Oj! biedna, nieszczęśliwa głowa moja!...

Tak rozmyślała i wyrzekała Chaita.

Wieczoru tego myślała o śmierci, na świecie smutno było i ciemno, wichry żałośnie jęczały, a ją bolały kości i bolała głowa, żółtą chustką owiązana, i koło serca tak się jej jakoś robiło boleśnie, iż myślała, że z każdem odetchnieniem cząstka duszy jej ulatuje z jej ciała. Przytem srogich od dni kilku doświadczała zgryzot. Czy to, że sił niedostawało jej do gorliwych zachodów, czy, że rywalka jej, Jenta, jako młodsza i zdrowsza, w targu i na śmietniskach ją wyprzedzała, od tygodnia może nie zarobiła nic prawie. Już nawet parę razy otwarcie powiedziała Chaimkowi: — Nu, wyproś dziś tam u puryców kilka groszy.

Wieczór był już późny i dawno pora była rozebrać się i wsunąć pod pierzynę, ale stara babka leżała w ubraniu i długo mruczała półgłosem, oczu nie spuszczając z twarzy śpiącego wnuka. Potem podniosła się z ciężkością, narzuciła na głowę i plecy dziurawą chustkę i, nie zważając ani na ciemność nocną, ani na deszcz i wicher, wyszła z izdebki.

Zgarbiona, z ręką wyciągniętą naprzód, wśród fal deszczowych, które uderzały w jej twarz i przenikały dziurawą odzież, przebywała kręte dziedzińczyki i wązkie uliczki. Stopy jej usuwały się co chwila z ostrych kamieni, albo zapadały w głębokie kałuże, szła bardzo powoli.

Doszła nakoniec do celu wędrówki i, wsunąwszy się w ciemną sionkę nizkiego domostwa, zastukała do drzwi, które znalazła omackiem.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz głos męski.

Chaita zcicha wymówiła swe imię.

— Wejdź!

Izba, do której Chaita weszła, dość obszerna była, ale uboga. W głębi jej, na prostym stołku, przed stołem, na którym leżała wielka, rozwarta księga, siedział człowiek w długiem do ziemi, wyszarzanem ubraniu, z obliczem ciemnem i całkowicie prawie obrosłem ciemnymi włosy. Człowiek ten wczytywał się w księgę z wielkiem snadź wytężeniem władz duchowych, bo, gdy podniósł wzrok na wchodzącą kobietę, źrenice jego omglone były, jak bywa u tych, którzy z trudnością oderwać się mogą

od przedmiotu swych myśli. Nie rozgniewał się jednak, że mu przeszkodzono w zajęciu, łagodnym głosem zapytał:

— Czego przychodzicie do mnie o tak późnej porzę? czy stało się u was jakie nieszczęście?

— Odkąd opuściłam dom moich rodziców, nieszczęście stało się towarzyszem wszystkich dni moich — odszepnęła kobieta.

— Taką widać jest wola Przedwiecznego — surowiej nieco odparł mężczyzna i zapytał:

— Czego chcecie ode mnie?

Chaita pochyliła się i, pochwyciwszy ciemną jego rękę, do ust swoich ją przyłożyła.

— Rebe! — rzekła — ja przyszłam prosić cię za wnuka mego, za małe niewinne dziecko, które może bardzo nieszczęśliwem stać się, jeżeli ty nie ulitujesz się nad niem!

Tu rozpowiadać zaczęła o troskach i niepokojach, któremi napełniał ją przyszły los dziecka.

— Rebe — mówiła u końca mowy swej — ja przed tobą serce moje otworzę. Wielki ja grzech popełniłam, sama dziecko to żebractwa uczyłam... Rebe! niech twoje oko z gniewem na mnie nie patrzy... mnie ciężko żyć... Ale ja o dziecko to w wielkim strachu jestem. Ono nauczyło się żebrać, a nauka to zła jest... ona prowadzić może do tego, że ono będzie kraść! Aj! aj! Rebe! ja tego nie chcę! ja tego bardzo boję się!

I zaczęła w istocie trząść się na całem ciele, jak gdyby miała febrę.

— Rebe! ja grzech niejeden mam na sumieniu mojem! Zdarzało się, że łachman nędzny ja za dobry sprzedałam, a kupując rzecz dobrą, zapłaciłam za nią, jak za nędzny łachman. Zdarzało się, że ja oczom ludzkim pokazywałam towar mój z tej strony, z której on cały był, a tę stronę, która była dziurawa, chowałam, jak mogłam! Zdarzało się, że ja dla Jenty, tej, co także łachmanami handluje, wielką zazdrość i nienawiść w sercu mojem miałam, kłóciłam się i biłam z nią o lichy zarobek! Widzisz ty, Rebe, że ja przed tobą całe serce moje otwieram, ale ty nie patrz na mnie za to, co ja zrobiłam, z gniewem i pogardą, bo... bo mnie tak ciężko żyć!... Ale ty, Rebe, pomyśl sobie, że ja nie chcę, żeby Chaimek mój musiał tak grzeszyć, jak ja grzeszyłam! ja tego bardzo boję się! Ulituj ty się nad małem, niewinnem dzieckiem! Ono takie piękne i takie rozumne i takie jeszcze małe! Weź ty, Rebe, wnuka mego pod opiekę swoją, jak tyle już dzieci biednych brałeś! Zrób ty tak, żeby on mógł uczyć

się i rozum do swojej głowy brać, i żeby, jak dusza moja rozwiedzie się z ciałem, ustom jego kawałka chleba nie zabrakło! Ty dobry jesteś, Rebe, nad biednymi ludźmi litujesz się zawsze! Miłosierdzie twoje, tak jak mądrość twoja, na cały świat słynie! Niechże i ja znajdę łaskę w oczach twoich i litość w twem sercu!

Drżącej mowy starej kobiety Rebe słuchał w milczeniu, z uwagą.

Myślał potem chwilę, aż rzekł:

— Bądź ty spokojną! ja prośbę twoją spełnię i wnukiem twoim zaopiekuję się! Ja go do domu mego wezmę, składkę na niego zrobię, do »Talmud Tory« posyłać i sam go uczyć będę!

Twarz Chaity, zbolała i błagalna przed chwilą, zajaśniała radością i wdzięcznością niewypowiedzianą.

Zapłakała głośno.

— Czegoż płaczesz? — zapytał Rebe.

— O, Rebe! przebacz ty moim łzom! głupie to są łzy, ale rzucają się one z serca mego do oczu moich, i ja ich zatrzymać w sobie nie mogę. Jak ty Chaimka mego do domu swego weźmiesz, rozstanę się z dzieckiem mojem... Niema u mnie nikogo na świecie całym, tylko jest on jeden... Ja i on, żyliśmy do tego czasu jak te dwie krople wody, które wiatr rzuci na piasek i które ciągle na siebie patrzą. Jak ty, Rebe, Chaimka mego do domu swego weźmiesz, zostanę się ja bez niego, jak oko bez źrenicy, jak ciało bez duszy. Pozwól ty, Rebe, żebym przynajmniej często do domu twego przychodziła i, na niego patrząc, pocieszała stare oczy moje...

. . . .

Nazajutrz do izdebki Chaity wszedł Reb Nochim i, wziąwszy za rękę strwożonego i płaczącego Chaimka, zaprowadził go do domu swego.

Kimże jest Reb Nochim?

Reb Nochim słynie szeroko wśród plebsu izraelskiego z uczoności, pobożności i miłosierdzia. Talmudystą jest biegłym wielce i naukę kabały studyuje z niezmordowaną pracowitością. Powiadają niektórzy, iż dla oczu jego nic niema skrytego na niebie i ziemi, ale ja o tem z pewnością twierdzić nie mogę. Wielkiej litości jego za to mam dowody niezbite, bo czyny jej i następstwa widziałam nieraz własnemi oczyma. Widziałam nieraz dzieci izraelskie, ubogie, obdarte, głodne, które gromadami całemi przygarniał on ku sobie; widziałam starców nie-

dołężnych, zgarbionych, którym ramię swe za podporę dawał... Ale o tem mówić nie pora... Wspomnę tylko o tym rysie usposobień Rebe Nochima, który wywrzeć może, jak mi się zdaje, silny wpływ na przyszłe ukształcenie moralne i umysłowe Chaimka. Reb Nochim, oprócz hebrajskiego języka i pospolitego żydowskiego żargonu, żadnej innej mowy, ani wyrazu jednego nie rozumie i nie wymówił nigdy. Pogrążony całkiem w studyach religijnych, w badaniu szczególniej tajemnic kabały, nad któremi praca, wierzajcie państwo, żartem wcale nie jest, nie miał może czasu wyuczyć się języka kraju, który dla pra-pradziadów jego był już krajem rodzinnym. Przypuszczam jednak, że, oprócz braku czasu, nieumiejętność ta Rebe Nochima posiada jedną jeszcze przyczynę...

Może jednak te lilie białe, na których przespał Chaimek noc jedną, może te niezabudki, które błękitnem wejrzeniem zdawały się mu mówić:

— »Pamiętaj!«

. . . .

Chaimek mieszka u Rebe Nochima i uczęszcza do Talmud-Tory, ale wieczorami Reb Nochim często sam go naucza. Prowadzi on z dzieckiem długie rozmowy, opowiada mu wiele historyi, zaczerpniętych ze świętych ksiąg Izraela, a ofiara to niemała, gdyż rozmowy te zabierają mu czas drogi, odrywając go od ulubionych studyów i modłów. Ale czegoż Reb Nochim nie uczyni, gdy widzi, że ktoś biedny potrzebuje pomocy jego, albo, że w jakiemś malutkiem sercu wzniecić może wielką miłość dla izraelskiego ludu i wiary jego!

Onegdaj wieczorem Reb Nochim nauczał Chaimka. Siedzieli obaj w nizkiej szarej izbie, jeden naprzeciw drugiego; mąż z ciemną twarzą i gęstym zarostem wspierał łokieć na stole, a rękę podnosił w górę; dziecię, z okrągłą, pojętną twarzyczką, siedziało na wysokim stołku, z nogami w powietrzu, z drobnemi rękoma splecionemi na stole, wyprostowane, uważne, z dwojgiem wielkich oczu utkwionych w oblicze mistrza.

Reb Nochim jest mistykiem. Wierzy on we wszystkie nadprzyrodzone jestestwa, o których opowiadają księgi, lecz dla niektórych aniołów szczególnie serce jego goreje miłością tkliwą. Miłością tą chce on podzielić się ze swym uczniem. Opowiada mu o aniele Sandalfonie, który, stojąc we wrotach niebieskich, pochwytuje modlitwy, lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnej piękności i splata z nich wieńce, które składa u stóp Jehowy.

Chaimek słuchał o aniele modlitwy z zachwyceniem niezmiernem i, jakby ujrzeć go zapragnął, podniósł w górę oczy. Wtedy, nagle, przed wyobraźnią jego stanęła kobieta w białej sukni, ujrzana kiedyś na bulwarze miejskim; zobaczył schylającą się ku niemu twarz jej łagodną, ze srebrzyście połyskującem okiem i, zapatrzony wysoko, głośno, z uśmiechem wymówił:

— Daj kwiatek!

Rebe Nochima zdziwiły bardzo nieznane mu wyrazy, które wymówiło dziecię...

GEDALI.

Drukowany po raz pierwszy w r. 1884-ym.

Na szeroką równinę wieczór letni spuszczać zaczynał ten zmierzch przezroczysty, w którym wszystko przyćmione jest, ale widzialne.

W tym powstającym zmierzchu ścierniska nie utraciły swej żółtej barwy i chropowatej powierzchni, drogi odcinały się od pola piaszczystą linią, kwitnąca gryka mętnie bielala, grusze polne przybrały kształty pękate, a włoskie topole, jak śpiczaste kolumny, sterczały nad zmąconemi liniami zabudowań małego folwarku.

Na jednym skraju nieba błądziły jeszcze ogniste szkarłaty zachodu; na innym zgęszczone obłoki stanęły murem tak ciemnym, że można byłoby w nich dojrzeć upostaciowanie wstępującej na widnokrąg nocy.

Powietrze było ciepłe i ciche. W ścierniach odzywały się przepiórki; nad gryką, zwabiony jej białością, zaczerniał czasem nietoperz i, zakreśliwszy w locie szybkie półkole, kędyś przepadał; od niedalekich pastwisk dolatywało rżenie koni i oderwane nuty trąbki pastuszej. Zresztą zwierzęta, ptaki i owady spały; ludzi też nigdzie widać, ni słychać nie było. Istnienie ich objawiało tylko kilka złotych światełek, migocących wśród zabudowań folwarku.

W zmroku i milczeniu rozległych sennych pól jeden tylko człowiek szedł drogą, nad którą ze stron obu stare wierzby pochylały swe węzłowate i dziwacznie powykręcane gałęzie. Nie zmierzał ku folwarkowi, — owszem, minął go i zarazem wyszedł z pod gęstych gałęzi wierzb na czyste pole. Tu ostatki świateł słonecznych, tułające się jeszcze na zachodzie nieba, ogarnęły postać jego wysoką, cienką, zgarbioną pod obarczającym mu plecy tłumokiem.

Ubranie miał długie, bo aż do stóp sięgające, zgniecioną

czapkę z podartym daszkiem, a na nogach obuwie ciężkie, wykrzywione i białe od pyłu. W ręce trzymał kij, na którym się wspierał.

Szedł bardzo powoli.

Od kilku tygodni panowała w tych stronach posucha, która drogę czyniła piaszczystą; przytem znajdowało się na niej mnóstwo kamieni. Stopy idącego uderzały o kamienie, albo grzęzły w piasku, podnosząc zarazem małe tumany krztuszącego pyłu; że zaś, niosąc tłumok, twarz musiał ku ziemi pochylać, chwytał kurzawę w usta i gardło, a oddech jego ciężki i śpieszny szemrał i chrypiał w ciszy, głuszony czasem krzykiem przepiórki, rzucającej z ciernisk jasne, wesołe nuty.

Raz światło zachodu, nietrwałe i blade, przemknęło mu po twarzy. Była ona podłużną, ciemnym zarostem otoczoną; miała białość opłatka, zaprawionego woskiem, kości szczęk sterczące, usta wpół otwarte i oczy utkwione w ziemi.

Stanął, aby odpocząć, lecz wyprostować się nie mógł, bo tłumoka z pleców nie zrzucił.

Stał więc zgarbiony, na kiju wsparty, i tylko, wzrok podniósłszy, patrzał w górę na gęstniejący płaszcz zmroku, czy przerzynający go górą pas białej mgławicy.

Wtem powiała nań świeżość obficie spadłej rosy, zmieszana z rzeźwą wonią bujnej roślinności. Wyraźnie w gęstwinie jakiejś zaszumiał cichy szelest; było to jakby przemknięcie się zająca czy kota, a może zatrzepotanie skrzydeł obudzonego w nizkiem gnieździe ptaka.

Spojrzał na pole; rośna świeżość i woń biły z łanu, okrytego gęstą zielenią grochu, w której sennie szemrało mnóstwo istot żyjących.

Tu i owdzie na puszystej powierzchni bielały jeszcze spóźnione kwiaty, ale długie, zwikłane łodygi, gniotące się wzajem, snopami kładły się na ziemię pod ciężarem wielkich, dojrzałych strąków.

U brzegu piaszczystej drogi człowiek zgarbiony pod ciężarem grubego tłumoka pochylił się jeszcze niżej; po chwili kij wypadł mu z ręki, a obie dłonie, popchnięte jakby wolą od niego niezależną, wyciągnęły się ku zielonym łanom. Cofnął je przecież i zdawać się mogło, że wnet pójdzie dalej, lecz nogi jego jakoby w ziemię wrosły.

— Aj! aj! aj! och!

Były to westchnienia i wykrzyki żądzy.

Głową w obie strony poruszył, językiem o podniebienie

cmoknął, tłumok swój z pleców na drogę zrzucił i, na klęczki padając, obie dłonie w gęstwinie grochu zatopił.

Teraz słychać było chrzęst odłamywanych strąków i głośne chrupanie ich w chciwych zębach. Czołgał się na klęczkach coraz dalej. Szczęki jego poruszały się szybko i ręce latały od gęstej zieloności do ust i od ust do zieloności.

Strąki grochu były całe oblane rosą i trudno byłoby powiedzieć, czy łakomie pożerający je człowiek zaspokajał bardziej głód czy pragnienie. Co pewna, to to, że jadł i pił zarazem, więcej nawet pił, niż jadł. Czoło miał spieczone skwarem dziennym i usta pełne pyłu; więc schylił się tak nizko, że całą twarz utopił w mokrej gęstwinie i, jeść przestając, zdawał się odpoczywać w cichej rozkoszy.

W tej samej chwili niedaleko, bo o kroków kilkadziesiąt, podniósł się z ziemi człowiek inny, wsłuchiwał się i wpatrywał przez chwilę w mroczną przestrzeń, poczem rzucił się na miedzę i z podniesionym kijem, dokonawszy kilka elastycznych podskoków, klęczącego człowieka pochwycił za kołnierz ubrania. Zarazem głos gruby, ale młody i świeży zawołał:

— A co ty tu robisz, złodzieju, rozbójniku, włóczęgo? Groch nasz depcesz i zjadasz i pewno jeszcze kieszenie nim sobie napychasz! Złapałem cię, psia ty duszo! Wstawajże! no! i chodź ze mną na sądy, bo jak cię walnę kijem, to zaraz jak koń pogalopujesz za mną!

Czy mógłby pogalopować, nawet pod bodźcem kija, — pytanie.

Ale zerwał się z ziemi bardzo prędko, od głowy do stóp trzęsąc się z przestrachu. Tak nagle schwytano go, w chwili tak błogiej!

Kilkakrotnie zgiął się nizkimi, prędkimi ukłony, ochrypłym głosem i bezładnie mówiąc:

— Oj! oj! niech mnie wielmożny panicz puści! Ja do szynkarza w Szumnej na nocleg idę! Aj, aj! ten groch... tak sobie przy drodze... taki piękny groch... Ja sobie tylko troszeczkę... Niech mi wielmożny panicz daruje i puści!... czy to taka szkoda, czy co?

Nie słuchając go prawie, chłopak krzyczał:

— A! czy to wielka szkoda? A cóż? może nie szkoda? Może przybytek nam z tego, że *takie* złodzieje, jak ty, wszystek groch z brzegu objadają. *Było* jeszcze kartofli naszych nakopać... Miałbyś czem bałabostę w szabas potraktować. Przez was człowiek jak pies na polu nocować musi, aby swojej rodzonej wła-

sności pilnować, a tu jeszcze ojciec krzyczy, że nigdy żadnego złodzieja nie złapię. Ot i złapałem! Ot i złapałem! Chodź do ojca. Na sądy! Będzie tobie! popamiętasz!

Ramionami rozmachiwał szeroko i krzyczał wciąż tak głośno, aż się po polu rozlegało. Ochrypły, cichy głos wciąż znowu odpowiadał:

— Oj! oj! niech mnie wielmożny panicz puści!... ja do szynkarza w Szumnej na nocleg... Oj, sąd! Ten groch tak sobie przy samej drodze rośnie! a na co przy drodze rośnie? Ja tatkę wielmożnego panicza znam... żeby on taki szczęśliwy był, jak ja jemu życzę... żeby on drugi taki folwark kupił... żeby jemu na tem polu same złoto rodziło... żeby on, nu! sto takich pięknych synów jak panicz wyhodował!

W zmroku nie widać było wyrazu jego twarzy, ale co kilka słów zginał się nizkim ukłonem, a krępy chłopak, w krótkiej siermiężce, ochłonął snadź z gniewu, czy z natury już nie był srogim, bo parsknął śmiechem.

— A to go błogosławi! — zawołał. — *Sto* synów! Pięknie-bym ja na tem wyszedł, gdybym miał *dziewięćdziesiąt dziewięć bratów!* No, duszo niechrześcijańska, nic nie wskórasz, nic u mnie swemi błogosławieństwami nie wycyganisz! Marsz przede mną, a ja za tobą, jak sołdat za aresztantem. Do tatki na sądy! Eins, zwei, drei, marsz!

Naśladując ruchy żołnierskie, kij swój wziął do ramienia i następował na Żyda, który z trudnością i stękając wkładał tłumok na plecy.

Ośmielony wesołością tego, który go pojmał, z cichym śmiechem zaczął:

— Nu, pójdę, pójdę! a czemu ja nie mam pójść? czy to ja paniczowego tatki nie znam? czy ja nie wiem, że on biednemu Gdalu nic złego nie zrobi? Ja pana Ignaca Korejbego znał jeszcze wtedy, kiedy on w Korejbach... w swojej okolicy żył... a ot, teraz to już z pięć latów, jak on sobie ten folwark kupił... Daj Boże, żeby jemu na zdrowie było! Ja jego nie boję się! on miłosierny człowiek!

Jednak w drżeniu głosu i nawet w cichym śmiechu jego czuć było, że się bał. Cóż chcecie? Zaczął iść znowu ze zgiętemi plecami i schyloną głową.

Oddech jego tylko stał się głośniejszym, głos bardziej jeszcze zachrypł, kilka razy zakaszlał i splunął.

Karciciel jego tuż za nim postępował.

Wkrótce znaleźli się obaj u wejścia do wierzbowej alei.

— Na prawo, marsz! — donośnie zakomenderował syn właściciela folwarku.

Pojmany zaśmiał się cicho i ochryple.

— Chi, chi, chi, chi! jaki panicz wesoły! daj Boże zdrowie paniczowi!

— Będziesz ty mi winszował, jak ci tatko za ten groch chałat ze skóry zedrze!

— Chi, chi, chi, chi!

Znowu zakaszlał i na chwilę przystanął.

— No, idźże prędzej, bo w kark palnę!

Ściśniętą pięść podniósł nad zgiętemi plecami Żyda; nie uderzył go jednak, tylko przez czas jakiś uderzeniem groził.

W głębokim cieniu wierzb zaszemrało przeciągłe westchnienie:

— Och, och, och!

* * *

W folwarku Ignacego Korejby dom mieszkalny niewielki, szary, słomą pokryty, rozdzielony był sienią na dwie połowy, z których w jednej mieściła się czeladź wraz z ptactwem domowem, druga była mieszkaniem właściciela folwarku i jego rodziny.

Roboty dzienne przed chwilą dopiero ukończono.

W izbie czeladnej przy wielkiem ognisku gotowano wieczerzę dla parobków, pastuchów i dziewcząt służebnych. Słychać było gwar grubych głosów męskich, rubaszne śmiechy kobiece, czasem wesołe poszczekiwanie psa i przeraźliwe gdakanie kur, które blask ognia i głosy ludzkie obudziły w ciemnych podpieckach.

Z drugiej strony sieni izbę obszerną, mającą podłogę z desek, ściany czysto wybielone i nieco odymiony sufit, oświecał także ogień, palący się jednak nie w wielkiem piecowisku, jak w izbie czeladnej, ale w głębokim i rozłożystym kominie. Gotowało się coś przy nim w sporym garnku; jaskrawy blask ognia padał na wiszące po ścianach święte obrazki, na czerwone ławy, stoły i stołki, na zalegające kąt izby wielkie krosna tkackie i, przez drzwi otwarte zaglądając do sąsiedniego pokoju, niewyraźnie ukazywał zarysy porządnie usłanych łóżek, żelazem okutych skrzyń, worów, wypchanych wełną czy mąką, wiszących na ścianie koszów, kobiałek, motków i także świętych obrazków.

Izba tamta służyła widocznie za sypialnię i skarbiec, ta za jadalnię, a po części także i kuchnię.

Ignacy Korejba przed kwadransem dopiero wrócił z pola, gdzie wraz z parobkami swymi napełniał wozy zżętym jęczmieniem i teraz, z powodu gorąca surdut z siebie zdjąwszy, w płóciennej kamizelce po wierzchu koszuli siedział za stołem, na którym pachniał bochen razowego chleba, stały talerze fajansowe i leżały cynowe łyżki.

Nizki był, krępy, z szerokiemi plecami, twarzą okrągłą, jak księżyc w pełni, i głową zjeżoną siwiejącymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Aż do wiśniowej barwy ogorzała skóra twarzy i karku jego, czoło pełne zmarszczek i ręce grube, z palcami w dziwne węzły, świadczyły, że mały, lecz żyzny ten folwark nie przyszedł mu darmo, lecz został przezeń wydobyty z morza krwawego potu i mnóstwa nakazywanych sobie niedostatków i przecierpianych utrapień. Mimo to wszystko jednak z całej postaci tego zaściankowego szlachcica biły niepospolita siła i kwitnące zdrowie, a twarz tryskała rubaszną wesołością i szczerem zadowoleniem z siebie i ze wszystkiego, co zdobyć potrafił.

Wcale inaczej wyglądał siedzący tuż przy stole wysoki i chudy ekonom z Szumnej, człek lat średnich, wysoki, muskularny, na długich nogach, z twarzą długą i ciemną, z przebiegłemi oczyma i ostrym krzakiem czarnych wąsów nad chytremi usty. Miał na sobie czarny surdut i czerwony krawat pod szyją.

Wiedzieli wszyscy, że był bardzo próżnym, a podobno też i bardzo zręcznym człowiekiem i ze wszystkich i wszystkiego drwił.

Dziś, wracając z sąsiedniej wioski, gdzie robotników zamawiał, tłustego konika do płotu przywiązał i wstąpił do Korejbów na pogadankę sąsiedzką i świeże kartofle, które właśnie gotowały się na ogniu. Z gospodarzem domu wiodąc rozmowę o żniwach, wciąż przebiegłemi oczyma zerkał na młodziutką Korejbiankę, która, jakkolwiek miała lat dopiero piętnaście, częstych już gości do ojcowskiej chaty sprowadzała; ten jednak nie był jej snadź miłym.

Niewysoka i jeszcze niedorosła dziewczynka, w perkalowej sukience, która nie zakrywała ani bosych stóp, ani ogorzałej szyi, stała w pobliżu ognia i profilem do konkurenta swego zwrócona, palcem wodziła po chropowatej powierzchni komina.

Ogień złocił jej twarz, przypominającą okrągłe, rumiane

jabłuszka, przeglądał się w siwych jej źrenicach i rozżarzał czerwoność wstążeczki, opasującej jej włosy złotawe, luźnie na plecy spuszczone.

W odblasku tego ognia, doglądając garnka i nie mieszając się do rozmowy mężczyzn, stała i matka rodziny, wysoka, koścista, z czołem, tak samo, jak u jej męża, zmarszczonem i tak samo grubemi rękami, nie tak przecie jak on silna i zdrowa, owszem, może trochę chora, może zahukana, gapiowata, wciąż usta otwierająca.

Długie lata przepracowała w domu i na polu, wiele dzieci zrodziła, wypielęgnowała i pogrzebała na parafialnym cmentarzu. Troje tylko wyrosło jej zdrowo: ta oto rumiana dziewczynka, palcem po szerokiej powierzchni komina wodząca, i dwaj jeszcze synowie.

O synach w tej chwili rozmawiał z sąsiadem Ignacy Korejba.

Miał on ciężkie zgryzoty. Oto Stefek, który teraz pilnuje na polu kartofli i grochu, na świętego Piotra i Pawła dwadzieścia lat skończył. Za rok do wojska! A jak on bez tego syna na gospodarstwie zostanie? Starzeje się już, ciężko mu będzie. I na tak długo! Bo kiedy Stefan był dzieckiem, nie wiodło się im jeszcze tak dobrze, jak teraz. Więc czytać i pisać uczył się tylko w domu i żadnej lgoty (ulgi) nie ma. Na sześć lat pójdzie w sołdaty.—Ani go może potem oczy nasze nie zobaczą... Wszak i wojna zaskoczyć może... a tu tymczasem prawej ręki ojcu zabraknie...

Korejbina zwróciła się twarzą do ognia i rękawem koszuli po oczach sobie przesunęła.

Ekonom zaś z Szumnej teścia swego »in spe« z przymileniem zapytał:

— No, a Janek? Ten już do wojska nie pójdzie, jak szkoły skończy?

Na okrągłą i czerwoną twarz Korejby jakby promień słońca spłynął.

— Janek, panie dobrodzieju! oho! i on pójdzie, pewnie pójdzie... tylko, że nie na sołdata, ale na adwokata... cha, cha, cha! Zdolna błaznota, że niech Pan Bóg broni, i do książek, jak Żyd do biblii! »Ja, tatku, powiada, jak szkoły skończę, do uniwersytetu pojadę!« »Jedź, synku, mówię, ucz się, królem będziesz«. A on: »Nie królem, tatku, ale adwokatem!« Niechaj będzie i tak! Niechaj choć jeden Korejba na ludzi wyjdzie. Chwała Bogu! stać mię teraz na edukacyę syna... Stefek jej nie dostał.

Co robić? Inne czasy były. Zato, jeżeli służbę wojskową szczęśliwie skończy, więcej ziemi dostanie... po sprawiedliwości... Ja żadnego z moich dzieci krzywdzić nie chcę i wszystkie troje równiuteńko obdzielę... równiuteńko... U mnie i dziewczyna to także rodzone dziecko, a jakże! tyle będzie miała, co i bracia... ot.

Dziwnym fizyologicznym objawem, czerwieniące się wśród czarnych włosów uszy ekonoma z Szumnej poruszyły się bardzo widocznie w chwili, gdy Korejba rozprawiał o zamiarze równego podzielenia majątku swego pomiędzy wszystkie swe dzieci. Latające jego oczy zapłynęły masłem i miodem i zwróciły się ku stojącej u komina dziewczynce.

Najzupełniej nagle i niespodziewanie, głosem tak grubym i podniesionym, że aż Korejba szeroko oczy wytrzeszczył, zawołał:

— Budzę panią, panno Jadwigo!

Był to niezmiernie zręczny sposób zawiązania rozmowy z młodziutką bogdanką. Ale zamiast, jak wypadało, odpowiedzieć wzajemnem pytaniem: »w jakim kolorze?« bogdanka zerwała się jak strzała, przebiegła izbę i wybiedz z niej miała, gdy nagle w drzwiach rozległo się głuche stuknięcie i zaraz potem dwa wybuchy dźwięcznego śmiechu. Stuknięcie pochodziło z nagłego spotkania się z sobą dwu młodych głów, a było tak silne, że aż rozległo się po izbie. Nic to!

Dziewczyna, trzymając się ręką za skroń, śmiała się tak, że aż od śmiechu zataczała się po izbie, i głośno śmiał się także szesnastoletni chłopak, który w płóciennej bluzie i ze strzelbą na plecach wbiegł do izby, a jedną ręką zrywając z głowy czapeczkę, zdobną w srebrny znak szkolny, drugą rzucił na stół dwa zabite ptaki.

Za nim wpadł i po izbie z radosnem skomleniem wić się zaczął pies nieduży, trochę wyżeł, daleko więcej kundel, zabłocony tak, że trudno było rozpoznać kolor jego sierści.

Z ubrania chłopca poznać można było, że wracał z myśliwskiej wycieczki; obuwie miał zabłocone, całą odzież przesiąkłą wilgocią mokrych łąk.

Twarz, jak u siostry, okrągłą i drobną, tylko znacznie mizerniejszą, oblewał mu pot kroplisty i rozpromieniał wyraz tryumfu. Pierwszy-to raz w wakacyjnej porze ojciec pozwolił mu zdjąć ze ściany swą strzelbę i iść z nią na polowanie.

I oto teraz zabił dwa bekasy!

Dla geniusza rodziny poruszyło się wszystko, co w izbie żyło.

Korejba w grubych swych dłoniach macał i ściskał przyniesione ptaki.

— Dubelty, panie dobrodzieju, tłuste, jak masłem oblane; patrzcie-no, jak ta błaznota strzelać umie... cha, cha, cha!

I śmiał się na całe gardło, a ekonom z Szumnej wtórował mu swym basowym głosem, dopytując się Janka, na których łąkach polował, doradzając inne, ofiarując psa swego, prawdziwego, »słowo honorowego człowieka«, prawdziwego wyżła-pontera.

Korejbina zdejmowała synowi strzelbę z ramion i fartuchem mu pot z twarzy ocierała.

Jadwinia, nie zupełnie jeszcze śmiech utuliwszy, rzuciła się do stojącego w ogniu garnka.

Młodziutki myśliwy wyszedł z domu zaraz po południu i głodny być musiał.

Wnet na stole zjawiły się talerze z kwaśnem mlekiem i ogromna misa dymiących się, zaskwarzoną słoniną oblanych kartofli.

Hej! zrobiło się tam bardzo wesoło i jasno!

Ogień na kominie wciąż buchał szerokim płomieniem, a Korejbina jeszcze i świeczkę w mosiężnym lichtarzu postawiła na stole.

Na intencyę gościa z szafy wydobyte cynowe łyżki połyskiwały, jak srebro, i dzwoniły o fajansowe talerze, czerpiąc z nich mleko, okryte warstwą różowawej śmietany.

Korejba w ręce sąsiada pił wiśniówkę domowego wyrobu. Korejbina, z szerokim uśmiechem na kościstej i gapiowatej twarzy dolewała i dokładała jedzenia gościowi i dzieciom. Ekonom z Szumnej, ręką ze złotym pierścionkiem ocierając co chwila zsiadłe mleko ze sterczących wąsów, miodowe spojrzenia rzucał na Jadwisię, która, rozweselona i udobruchana, klęcząc na ławie, a połową ciała leżąc na stole, jadła z jednego talerza z bratem, bosemi piętami wybijała o brzeg ławki wesołe takty i zdecydowała się nawet, z chmurną trochę figlarnością, odpowiadać na zaczepki niemiłego konkurenta.

— Panna Jadwiga czegościś zła dzisiaj.

— Ja wcale nie zła, tylko się tak panu Tomkiewiczowi zdaje.

— A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi?...

— To niech się pan Tomkiewicz nigdy nie gniewa, boby zeszpetniał...

— Czy to ja mam sobie w ten sposób rozumieć, że w oczach pani jestem teraz pięknym?...

Wszyscy obecni, zajadając, śmieli się, i tylko Janek, na koncepty siostry i Tomkiewicza wcale nie zważając, ani na chwilę nie przestawał opowiadać o swem dzisiejszem polowaniu. Dźwięczny, cienki, wpół dziecinny jeszcze głos jego nieustannie górował nad wszystkimi innymi głosami. Jadł, giestykulował i gadał. Najwięcej mowę swą zwracał do ojca, którego policzki wydęte były od pożeranych kartofli, a oczy błyszczały od gorąca i zadowolenia.

— Patrzę ja, tatku!... Trezor stoi... waruj!—krzyczę.—Stoi, jak mur! Fuzyę do oka... idę... Pójdź dalej!—mówię.—Trezor idzie dalej! Pjdź dalej! dubelt foor! pif! paf!... upadł...

Trezor, słysząc swe imię, biegał dokoła stołu, radośnie skomląc; dano mu talerz kwaśnego mleka.

— Cha, cha, cha, cha! — na całą izbę śmiał się Korejba — jak ta błaznota do wszystkiego staje! I do książki i do fuzyjki... Tylko mi się kiedy nie postrzel, smarkaczu...

W tej chwili otworzyły się drzwi od sieni i, ręką czyjąś popchnięty, do izby wpadł człowiek w długiej, podartej, u piersi rozwartej odzieży, w obuwiu wykrzywionem i białem od pyłu, z tłumokiem na plecach, z kijem i czapką w ręku. Popchnięto go tak silnie, czy też sam był tak słaby, że od progu zatoczył się, jak pijany, i stanął dopiero wtedy, gdy dłonią oparł się o ścianę; stanął pomiędzy drzwiami a kominem, w cieniu nieco, i, zgarbiony pod swym ciężarem, głowę na złote światło ognia wysunął.

Ta postać chuda, łachmanami okryta, chyląca się w nizkim ukłonie, z ciężarem na plecach, kijem w ręku, włosami rozrzuconymi i twarzą, sterczącą szczękowemi kośćmi, a obleczoną skórą, podobną do żółtawego opłatka, w tej, wesoło oświetlonej izbie, wśród tych zdrowych, ogorzałych twarzy, ciał bogatych w kości i tłuszcz, śmiechów rubasznych i skromnych dostatków, ukazała się, jakby nagle z ziemi wyrastający duch cierpienia.

— W imię Ojca i Syna... — niosąc rękę do czoła, zaczęła Korejbina.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — z drwiącym śmiechem krzyknął Tomkiewicz.

— Jezus, Marya! — jęknęła Jadwisia i oczy schowała za

plecy brata, który łyżkę na talerz opuścił i swawolą rozogniony wzrok wlepił w oczy przybyłego, zapadłe, błyszczące, olśnione i przerażone.

Ku stołowi szerokim krokiem zbliżył się krępy i silny chłopak, w krótkiej siermiężce i wysokich butach.

Był to żyjący portret ojca. Tak niegdyś pewno wyglądał stary Korejba.

Błękitne oczy młodzieńca błyszczały, czoło białością swą odcinało się od ogorzałych policzków; włosy miał jasno-złote, jak u siostry, a ręce zgrubiałe od pracy na roli, jak u obojga rodziców.

Niedbale skinął głową ekonomowi z Szumnej i stanął przed ojcem.

— Złodzieja, tatku, przyprowadziłem... Groch nasz żarł, aż mu za uszami trzeszczało, a może też i w kieszenie nabrał. Niech tam tatko robi sobie sąd nad nim! Ja swoje zrobiłem.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy mu matka wepchnęła w ręce talerz, pełen kartofli i skwarek, a Ignacy Korejba, podniósłszy się nieco z ławy, pięścią w stół stuknął tak silnie, że aż podskoczyły na nim talerze i łyżki.

Na nizkiem i nawskroś zbróżdżonem czole starego rolnika żyły nabrzmiały, jak błękitne sznurki, oczy mu zapłonęły, policzki zaszły ciemną purpurą.

W tem mgnieniu oka dostrzedz można było, że gdy się rozgniewał, mógł być straszny.

— A, psie przeklęty! będziesz ty mnie moją krwawicę marnował!

Krzyk ten podobny był do ryku lwa, tak jak sarkanie Stefana przypominało mruczenie młodego niedźwiadka. Zapychając usta kartoflami i szeroko giestykulując, wyrzekał on przed Tomkiewiczem na złodziejów, w różny sposób grabiących ich dobro. Choć wzbogaceni, ojciec i syn nie przestali własnemi rękami orać, siać, kosić; bronili więc swej krwawicy, jak wilki ciężko zdobytego łupu.

Nagle przecież stary Korejba przestał krzyczeć i, jak ludzie z osłabionym wzrokiem, dłonią sobie oczy przysłaniając, wpatrzył się w pojmanego.

— Co to? — zapytał — Gedali, czy co? Czy ty Gedali z Wołpy? No, gadajże! Czyś oniemiał?

Zapytywany kilka razy poruszył ustami i po kilku sekundach zaledwie, znowu kłaniając się nizko, wybełkotał:

— Gedali! wielmożny panie! Ja... Gedali z Wołpy... ten

sam, do którego wielmożny pan kiedyś po sól i żelaztwo zajeżdżał... ten sam, który tę brykę miał i parę tych pięknych koniów... co to pan wie... oj!...

Ochłonął nieco z przestrachu i głową żałośnie wstrząsnął. Korejba dobrze go snadź sobie przypominał, bo sapiąc opuścił się znowu na ławę i z gniewem jeszcze, ale znacznie już mniejszym, sarknął:

— Śliczneś się wykierował... na złodzieja, co po cudzych polach chodzi i kradnie...

Żyd chudą ręką uderzył się w piersi.

— Wielmożny panie! ja nie kradł... żeby mnie nieszczęście spotkało, jeżeli ja kradł! żeby ja jutrzejszego dnia nie doczekał!

— A cóżeś robił? — W jednej ręce trzymając talerz, a drugą w pięść ścisnąwszy, przyskoczył do niego Stefan. — A cóżeś to robił, niedowiarku, kiedym cię tam przy grochu schwytał? he?

— Nu! przepraszam!... niech wielmożny panicz nie gniewa się... ja tego grochu nie kradł...

— Cóżeś robił? — ze wzmagającym się znowu gniewem krzyknął Korejba.

Tomkiewicz, który na Żyda spoglądał z przygnębiającą wzgardą, zażartował:

— On pewno patrzył, czy w tym grochu ruble czasem nie rosną...

Żyd cicho wymówił:

— Ja jego jadł... to prawda...

Korejba wybuchnął znowu:

— A cóż to ty sobie myślisz, że ja groch sieję dlatego, aby każdy włóczęga objadał się nim podostatkiem? Poczekaj... nie daruję... musisz zapłacić, albo cię do mirowego (sędziego pokoju) zaciągnę...

Żyd znowu pokłonił się nizko.

— Oj! — jęknął — niech wielmożnemu panu sto lat życia i zdrowia będzie, kiedy wielmożny pan Gedalu daruje... ja do Szumnej na nocleg szedł i ten groch spotkał... On przy drodze rośnie! a czemu on przy samej drodze rośnie? Aj! wiele ja tam zjadł! troszeczkę...

Tomkiewicz, który widocznie dowcipem swym olśnić chciał ulubioną, figlarnie na Jadwinię zerknął i z grubym śmiechem zawołał:

— To wam, Żydzie, słowo honorowego człowieka, wasza religia wiele kraść nie pozwala, ale troszeczkę pozwala, co?

Żyd dziwnie jakoś oczyma ku mówiącemu błysnął i ze szczelnie zaciśniętemi usty milczał chwilę. Potem, w ziemię patrząc, odrzekł:

— Na co tu religia? Ona nikomu kraść nie pozwala.

I jeszcze ciszej kończył:

— Ja był głodny...

— Kiedyś był głodny, trzeba było prosić, ale nie bez pozwolenia brać — zaczął Korejba; lecz Tomkiewicz, akcent żydowski naśladując, mowę mu przerwał:

— A jeżeli ten groch był trefny, to co teraz będzie?

Żółte wargi Gedalego poruszyły się niespokojnie; Tomkiewicz dotknął snadź tym razem drażliwej strony jego sumienia.

W ziemię patrząc i zwiędłe czoło pod opadającą na nie gęstwiną siwiejących włosów marszcząc, dumał.

Nagle wyprostował się o tyle, o ile tylko pozwalał na to tłoczący mu plecy tłumok, giestem rozpaczliwego postanowienia szeroko rozłożył ręce, twarz ku sufitowi zwrócił i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, głos nieco podnosząc, zawołał:

— Aj! aj! żeby sam rabin koło tego grochu chodził, toby go trochę zjadł... taki groch!

W wykrzyku tym było tyle zapału, którym głodny żołądek przejął się dla pięknego grochu, że nikt z obecnych nie zaśmiał się, ale owszem, stary Korejba i obaj jego synowie trochę spochmurnieli. Jeden Tomkiewicz miał widoczną ochotę strzelić znowu dowcipem, ale powstrzymał się, bo zauważył, że ulubiona jego zsunęła się z ławki i, u komina stanąwszy, dużemi, siwemi oczyma ciekawie i poważnie na Żyda patrzyła.

— Patrzcie-no — po chwili ozwał się gospodarz domu — toś ty tak zbiedniał, Gdalku! Jużem cię chyba z dziesięć lat nie widział, ale, gdym często jeszcze bywał w Wołpie, pamiętam, że miałeś się wcale dobrze...

— Zbiedniałem, panie, *ze wszystkiego* zbiedniałem...

Tomkiewicz wytrzymać już nie mógł.

— A żeby tak ślepy gołego okradł! — huknął — jak to prawda jest, że on biedny! Który z nich biedny? Oni wszyscy to pijawki, krwią ludzką napojone... słowo honorowego człowieka.

Gedali powolnym ruchem twarz zwrócił ku mówiącemu i, patrząc nań nie rozgniewanym, ale zamyślonym i nieruchomym wzrokiem, kij z ręki wypuścił i, obie ręce ku piersi podniósłszy, rozwarł okrywające ją strzępy chałata. Pod strzępami tymi ukazała się koszula tak podarta, że ciemne, chude ciało za-

świeciło przez wielkie jej dziury. Jednocześnie piersią tą wstrząsnął kaszel krótki i ochrypły, z za podartych rękawów chałata widać było nagie ramiona.

— Niechlujstwo! — mruknął Tomkiewicz i głośno na środek izby splunął.

Stojąca przy kominie Korejbina odwróciła twarz, szepcąc:

— Matko Boska!

Korejba grubymi palcami zabębnił po stole, a Janek najniespodziewaniej w świecie swym cienkim, chłopięcym głosem zawołał:

— Dlaczego pan swojej torby z pleców nie zdejmie? Niech pan będzie łaskaw zdjąć z siebie tę torbę!

Tomkiewicz parsknął śmiechem.

— Pan! no, pan! Cha, cha, cha, cha! Słowo honorowego człowieka, jeszcze, jak żyję, nie słyszałem, żeby takich łapserdaków panami tytułować. Widać, że pan Jan wielkiej już grzeczności wyuczył się w mieście.

Chłopak zaczerwienił się, jak wiśnia, i z dumą szesnastoletniego gimnazyasty głowę podnosząc, odparł:

— Może być, że pan Tomkiewicz o wielu rzeczach jeszcze nie słyszał, ale my to już dawno wiemy, że człowiek cywilizowany dla każdego grzecznym być powinien.

— Cicho, Janek, cicho! — ulubieńca swego oburknął Korejba, lecz wnet łaskawie dodał:

— No, zdejm już, Gdalu, ten wór z pleców i wyprostuj się, kiedy panicz tak chce.

Gedali, widocznie ucieszony, począł przez ramiona i głowę zdejmować grube sznury tłumoka. Nie mógł jednak tego uczyc nić odrazu: ręce mu drżały i zakaszlał się silnie.

— Jadwisiu! pomóżże mu! — zakomenderował Janek.

Dziewczynka, która stała najbliżej Żyda, podskoczyła w mgnieniu oka, czerwonemi i niemałemi wcale rękoma przerzuciła mu w tył głowy splot grubego sznura.

Tomkiewicz oburzył się.

— Jezus, Marya! — krzyknął — jeszcze czego, żeby panna Jadwiga około żydowskich łapserdaków rączki swoje brudziła! Co nadto, tego już, słowo honorowego człowieka, i świnie nie jedzą!

Ale Jadwisia, komendzie brata-gimnazyasty posłuszna, dla innych zuchwały języczek w rumianej buzi miała.

— Niech pan Tomkiewicz o moje ręce nie dba! Jak je zabrudzę, to i umyję, a wody u pana nie poproszę.

— Cóż to macie w tej torbie? czy po jałmużnie chodzicie? — szeroko gapiowate usta otwierając, głosem przewlekłym zapytała matka rodziny.

Gedali przecząco wstrząsnął głową.

— Ja nie żebrak...

— A cóż tam jest w tej torbie?

— Ja kramarz... po dworach i okolicach szlacheckich, nu, i po wsiach chłopskich chodzę i towar sprzedaję.

— Jednakowoż — z zamyśleniem zaczął Korejba — jak ty mogłeś tak zbiednieć, Gdalku? Toż ja pamiętam, że żonka twoja trzymała w Wołpie kram z solą, żelaztwem i różnymi drobiazgami, a ty domek własny tam miałeś i furmaniłeś. Pamiętam, ho! pamiętam ja te czasy, kiedym jeszcze w łapciach, panie dobrodzieju, do Wołpy przyjeżdżał i do was zachodził. U żonki twojej kupowałem, co mi było potrzeba; roztropna była i przystojna żydowica, ta twoja Merka, a twoją bryką raz do strzecznego (stryjecznego) brata aż za Słonim jeździłem. Cóż to takiego stało się z tobą?

Gedali stał teraz prosto, o gzyms komina oparty, zupełnie prawie już pewny, że mu się tu nic złego nie stanie. Na pytanie Korejby odpowiedział:

— Co? Ot co... Pan Bóg dopuścił. Mój dom w Wołpie spalił się.

— Szkoda! szkoda! — z widocznem współczuciem rzekł Korejba.

— I dobrze! — krzyknął Tomkiewicz. — Zjadał wilk, zjedli wilka! Albo to oni mało budynków ludzkich podpalili! W Krzewnie tej wiosny *podwał wódczany* podpalili, a w Pawłówce karczmę.

Cicho i zlekka ramionami wzruszając, Gedali odpowiedział:

— Ja nie podpalał.

— Ale-bo nie mogłeś, a żebyś tylko mógł, tobyś podpalił.

— Nie podpaliłby! — zaprzeczył Korejba — ja jego dawniej dobrze znałem. Człek był spokojny. A Merka twoja jak ma się? Czy i ona już w Wołpie kramy nie ma?

— Umarła!

— Patrzajcie! umarła!

Szeroko znowu usta utworzyła Korejbina.

— A a a! taki jeszcze i nie stara była kobieta! a z czegożto ona umarła?

Żyd patrzył w ziemię.

— Ot z czego! Pan Bóg dopuścił... nie tu wspominając, ze złej choroby...

— Znaczy, z cholery — rzekł Korejba, a ekonom, szybko poruszając krzaczystymi wąsami, żywym ruchem zwrócił się do Żyda.

— No, Żydzie! — zawołał — jak jutro przez Szumnę przechodzić będziesz, słowo honorowego człowieka, dam ci garniec świeżego grochu, tylko mi zaraz powiedz, jak nazywa się ta choroba, na którą twoja żona umarła! cha, cha, cha, cha!

Gedali niespokojnie poruszył wargami.

— Nu, nie tu wspominając, to zła choroba...

— Ale ty mnie gadaj, jak ona nazywa się?

— Jak ona nazywa się? A na co to mówić, jak ona nazywa się!

— Za nic bestya nie powie! Żeby go poćwiertować, nie powie! — wybuchnął śmiechem Tomkiewicz.

— Taki już u nich głupi zabobon — powtórzył Stefan.

Janek, czerwieniąc się znowu, sentencyonalnie i dobitnie wyrzekł:

— Jest to nieludzkość bez żadnej potrzeby zmuszać kogo do tego, co mu przykrość sprawia.

Widocznie zaczynał brać do serca sprawę Żyda; przytem obchodziły go losy koni, które Żyd ten niegdyś posiadał.

— A konie? — zapytał.

— Jeden zdechł, a drugi oślepł i ja jego sprzedał za piętnaście *rublów*.

— Ale ty cościś dużo dzieci miałeś — zaczął Korejba. — Pamiętam, że kiedym u was bywał, z pięcioro tego uwijało się około twojej Mery.

— Siedmioro... — poprawił Gedali.

— A, Jezus! — jęknęła Korejbina — siedmioro wykarmić i wyhodować, czy to żarty?

Na grubej dłoni kościsty policzek wspierając, żałośnie kołysała głowę. Ona dobrze wiedziała, co znaczy karmić i chować dzieci w lepszym nawet bycie, a cóż dopiero w takim mizernym! W głosie jej brzmiało jakby poszanowanie dla rodzicielskich boleści i trudów, gdy, łagodnie patrząc na Żyda, zapytała:

— A w jakim wieku?

Powoli, to z gorzkimi nieco, to znowu z radosnymi niemal uśmiechy opowiedział, że jedno tylko z dzieci jego było zupełnie dorosłe: córka, która po śmierci matki doglądała i chowała wszystkie inne; że z tych innych syn jeden uczył się

szewctwa, drugi uczęszczał do Talmud-tory, takiej sobie żydowskiej szkoły dla ubogich chłopców, trzeci nie uczył się, bo mu Pan Bóg do niczego rozumu nie dał, czwarty zaś, Chaimek, był bardzo rozumny, ale jeszcze zupełnie mały. Co do dwóch młodszych córek, te, choć w służbę iść chciały, nie mogły, bo nic nie umieją i żadnej siły w sobie nie mają.

Siedzą sobie tedy w izbie i pończochy na sprzedaż robią. Jedna z nich, Małka, piętnaście lat ma i bardzo ładna, ale taka blada, jak papier, i nigdy nic nie mówi. Dlaczego ona nie mówi? Albo on wie! Ze smutku może, czy z biedy, bo ot, jejby trzeba jeść więcej i troszeczkę wesołości nabrać, a tu skąd? W jednej izbie *wszystkie osiem* żyją i trzy ruble na tydzień mają, te trzy ruble, które on ze swego handlu zarabia. Całego majątku zostało mu ośmdziesiąt rubli; on za to nakupił towaru, co tydzień na szabas wraca do dzieci i przynosi im trzy ruble... Nu, jak Pan Bóg da, czasem cztery albo pięć, albo rzadko... najczęściej trzy i wtedy bieda; ażeby dobrze sobie przeżyć, trzebaby im mieć ośm rubli na tydzień. Och! och! żeby on miał ośm rubli na tydzień, jakieby to było szczęście dla niego i dla jego dzieci!...

Mówiłby pewno dłużej, ale kaszlać zaczął. Na palcach przeszedł część izby i, do kąta splunąwszy, na poprzednie miejsce powrócił. Obecni milczeli chwilę. Zdawało się, że duch litości przez izbę tę przeleciał i miękkiem skrzydłem musnął wszystkie te grube twarze...

Korejba bębnił palcami po stole i myślał... O czem? Może o czasach ubogiej swej młodości, gdy w łapciach jeszcze zachodził do domu Gdala, i wesoło gawędził z żoną jego, Merą. Korejbina, z policzkiem na dłoni wspartym, myślała także może o jednej ze zmarłych swych córek, która na rok przed śmiercią, tak jak teraz córka Gdala, stała się białą, jak papier, i milczącą, jak zdławione ptaszę. Stefan siedział u okna, brodę oparł na ręku i, marszcząc białe czoło, dumał; miał i on swoją zgryzotę: za rok precz z tej chaty, do wojska! Więc, słuchając o biedach cudzych, zasmucił się także. Jadwisia, która jeszcze żadnych smutków nie zaznała, przysiadła na ziemi i, odrzuciwszy na plecy złotą grzywę włosów, z podniesioną twarzą wlepiała w Żyda siwe swe źrenice zdziwione. Jeden Tomkiewicz, widocznie kwaśny, strzelił znowu konceptem:

— A lichoż-bo ci kazało, Żydzie, tyle dzieci napłodzić?

Gedali odpowiedział:

— Wiadomo... u najbiedniejszych zawsze *dzieciów* najwięcej.

Tu zadzwonił znowu chłopięcy i pełen pewności siebie głos Janka:

— Niech pan siada, panie Gdalu, proszę pana siadać.

Gedali ukłonił się, ale Korejba, propozycyi syna nie podnosząc, z zamyśleniem zaczął:

— Jednakowoż, jakie to na świecie bywają wypadki! Ot, on, człowiek spokojny i uczciwie pracujący, przepadł, a ten szelma Mendel z Szumnej, kręciciel taki, że niech Pan Bóg broni, wzbogaca się ża, strach! Słyszę, już Szumnę w dzierżawę bierze.

Tu oczy jego przybrały wyraz trochę złośliwy i z ukosa na ekonoma zerknęły.

Chodziły po świecie pogłoski, że Tomkiewicz z bogatym Mendlem okrutnie na niekorzyść dziedzica Szumnej szachrował. Zmieszał się też trochę ekonom, Korejba zaś powtórzył:

— Ha? czemu to tak? ten nic złego nie zrobił i w biedzie, a tamten, gałgan, bogaczem sobie jest... Ot, jak na świecie: lepszemu gorzej, gorszemu lepiej.

Gedali kilka kroków naprzód postąpił i nieśmiało zaczął:

— Przepraszam wielmożne państwo, u nas o tem jest przypowiastka.

Jadwisia uczyniła żywe poruszenie; nadzwyczajnie lubiła bajki i przypowiastki.

Żyd wyprostował się i mówić zaczął:

— U nas tak napisane stoi: Kiedy Pan Bóg chciał temu światu Biblię dać, to powiedział, żeby wszystkie góry do Niego przyszły. Góry, ma się rozumieć, posłuchały Pana Boga, ale te, co były wielkie, stanęły na przodzie bardzo pyszne z tego, co były wielkie, i czekały, której z nich Pan Bóg Biblię da. Pan Bóg popatrzał, popatrzał i zawołał do siebie najmniejszą górę, taką małą, że ona za wielkiemi schowała się i myślała, że jej Pan Bóg i nie zobaczy. Ale Pan Bóg zawołał ją i powiedział: »Ja Biblię tobie daję, bo ty, choć mała, więcej jesteś warta w moich oczach od tamtych wielkich. A dlaczego ty więcej warta? Dlatego, że one pysznią się, a ty nie pysznisz się, i dlatego, że z nich wiele kamieni na ludzi spadało, a z ciebie żaden kamień na nikogo nie spadł«. I dał Pan Bóg Biblię najmniejszej górze, a jeden nasz wielki rabin — on nazywał się Ben-Jehuda — gadał, że ta przypowiastka pokazuje, jak maleńki człowiek może być więcej wart od wielkiego, jeżeli on nie pyszny i nikomu nie zaszkodził, a tamten pyszny i dużo złego ludziom narobił.

Dłonią o stół uderzając, stary Korejba z błyskiem oczu zawołał:

— To prawda! Ot, naprzykład, wiesz co, panie Tomkiewicz, kiedy mnie pan Palicki procesem dusił, aby mi niesprawiedliwie moją fortunkę odebrać, gryzłem się, panie, tak, że o mało nie chorowałem ze zgryzoty, a wszakże często myślałem sobie: choć on wielki pan, a ja chudy szlachcic łapciasty, lepszym od niego, bo on krzywdziciel i pyszny Herod, a ja nikomu wody nie zamąciłem, własną krwawicą swoją doszedłem wszystkiego, co mam, a czasem to jeszcze, panie, komu i dopomogłem...

— Przepraszam wielmożnego pana — odezwał się Gedali — to, co pan teraz powiedział, to są takie *winogrony*, co na kolącym krzaku rosną... ja nie wiem, jak ten krzak nazywa się, co to tak kole?

Pytającym wzrokiem wodził po wszystkich twarzach.

— Może głóg? — podpowiedziała Jadwisia.

— Aha! panienka dobrze wie... glog! glog! U nas i o tem jest przypowiastka ładna.

Dziewczynka klasnęła w dłonie.

Gedali przygasłym swym wzrokiem popatrzył na nią i, uśmiechając się, zaczął:

— Aj! jaka panienka wesoła! jak to dobrze patrzeć, kiedy kto taki wesoły! Och! żeby to moja Małka była kiedy taka wesoła! Ona te same lata ma, co panienka, i tego samego rostu (wzrostu), tylko biała, jak papier, i nigdy nic nie gada. Jeżeli panienka chce, to ja i tę przypowiastkę opowiem... U nas tak napisane stoi: Kiedy Żydzi byli w niewoli babilońskiej, żył jeden bardzo uczony i pobożny człowiek, który nazywał się Uryel. I on był bardzo dobry, a dlatego, że był on taki dobry, to on żadnym sposobem tej niewoli przenieść nie mógł. Kiedy on widział, że Żydów bardzo krzywdzili, on tak płakał, że jemu z wielkiemi boleściami całe serce wylewało się przez oczy. I on szedł do tych, co niesprawiedliwie cierpieli, i dawał im wszystko, co miał. Jednemu dawał troszkę swego rozumu, a drugiemu troszkę pieniądzów, a trzeciego tak sobie po twarzy gładził, jak matka swoje dziecko, kiedy ono chore. Ale to jemu nic nie pomagało i taki smutek jego przycisnął, że zaczął on do Pana Boga krzyczeć, żeby Pan Bóg jemu śmierć prędzej dał. Nu, Pan Bóg nie dał jemu śmierci, tylko spuścił na niego sen. Jemu przyśniło się, że on tak samo był w babilońskiej niewoli z całym narodem i że jeden z narodu przyszedł do niego i mówił: »Rebe Uryclu, poradź ty mnie, jak ja mam sobie w tym interesie dobrze zrobić?«

A on chciał radzić i nie mógł, bo język w gębie kołem mu stanął. A drugi człowiek przyszedł i mówi: »Rebe Uryelu, naucz ty mego syna w świętych książkach czytać«. A on chciał uczyć i nie mógł, bo sam czytać zapomniał. A trzeci człowiek przyszedł i mówił: »Rebe Uryelu, daj mnie co jeść!« A on chciał dawać i nie mógł, bo cały jego majątek gdzieś przepadł. Aż Rebe Uryel krzyknął okropnie i obudził się, i poczuł, że w głowie ma ten sam rozum, co pierwej, a cały majątek jego naokoło niego jest. Wtenczas on padł na twarz przed Panem Bogiem i modlił się: »Nie dawaj mnie jeszcze, Panie Boże, śmierci, bo choć ja bardzo nieszczęśliwy, ale ja szczęśliwy, bo mogę *radościów* robić tym, co smutne!« A jeden nasz wielki rabin — on nazywał się Ben-Akiba — gadał, co ta przypowiastka pokazuje, że jeżeli kto nieszczęśliwy i bardzo gryzie się, to niech on tylko dobrze naokoło siebie obejrzy się, a pewno zobaczy, że na tym głogowym krzaku, w którym on siedzi, słodkie winogrona rosną.

— Patrzcie! — rzekł Korejba — jaki ty mądry, Gdalu, tyle historyi na pamięć umiesz! I niczego sobie te twoje historye, dalibóg, niczego, choć żydowskie. Siadaj-no, siadaj, teraz pogadamy sobie o tym grochu!

Ucieszony okazaną mu łaską, lecz znowu przerażony wzmianką o grochu, Gedali uśmiechał się, oczyma niespokojnie błyskał i, kłaniając się raz po raz, bełkotał, że nie ma śmiałości usiąść, że nic nie szkodzi... on sobie... tak postoi...

Ale Jadwisia zerwała się z ziemi, schwyciła stołek i, stawiając go obok Żyda, ze ślicznym uśmiechem szerokich, lecz rumianych ust, rzekła:

— Proszę siadać! pewno już nogi od stania zabolały! Co tam, ot, proszę siadać!

To »co tam« odnosiło się do ruchu, jaki uczynił Żyd, aby pocałować tę czerwoną rączkę, która mu siedzenie podawała.

— A siadajże, do licha! — rozkazująco krzyknął Korejba.

Żyd drgnął z przestrachu i w mgnieniu oka usiadł.

Znalazł się teraz blizko ognia, i wyraźnie widać było, że nogi i ręce mu drżały, pierś podnosiła się szybkim, chrapiącym oddechem, a oczy tak zapadły, że pośród delikatnej i żółtawej skóry czoła i policzków wyglądały, jak dwie czarne, gorejące iskry.

— Ależ kiepsko wyglądasz! Lepszych od ciebie do trumny kładą — zaczął Korejba. — Chory jesteś, czy co?

— Chory, wielmożny panie, chory!

Opowiedział, że już od owego spalenia się domu i śmierci

żony, zaczął kaszlać i tracić siły, ale od dwóch lat coraz mu gorzej. Coś go strasznie w piersiach gniecie i już taki słaby, aż strach!

Żeby on nie był chory, mógłby chodzić prędzej i zarabiać więcej, możeby nawet jaki korzystniejszy interes sobie obmyślił. Ale to taka choroba, co bardzo siły odbiera...

— Nu, niech wielmożne państwo sami zobaczą...

Chrząknął, splunął sobie na dłoń i rękę pełną krwi ku obecnym wyciągnął.

— Matko Boska! — jęknęła Korejbina.

Jadwisia dłonią przysłoniła oczy.

Tomkiewicz odwrócił się, splunął ze wstrętem i czapkę swą z ławy porwał; ale, rzecz najdziwniejsza! pod krzaczystemi małemi brwiami małe i bystre oczy starego Korejby zwilgotniały. Dobrze, dobrze teraz przypominał sobie świetne czasy Gdalka, kramę jego żony, podróż, którą w budzie jego do Słonima odbywał, i pożałował go bardzo. Syn ubóstwa i własnego ciężkiego dorobku, znał zblizka wszystkie biedy i w twardem ciele duszę miał miękką.

— Suchoty, czy co? — półgłosem przemówił. — Czemu ty do licha nie leczysz się, Żydzie?

— Ja był u doktora.

— I cóż ci doktór powiedział?

— A co? on powiedział, żebym ja codzień mięso jadł, dużo mleka pił, mało chodził i co tydzień bańki stawiał.

Uśmiech przewinął mu się po ustach, wstrząsnął policzkami, wzniósł się aż na czoło, które zmarszczył aż po siwiejące włosy.

— Mięsa jeść i mleka pić ja nie mogę, bo to bardzo drogo kosztuje... Chodzić dużo ja muszę, bo z tego cały mój zarobek... to ja w jednem doktora posłuchałem: bańki co tydzień stawię... one tylko złotówkę kosztują... Nu... złotówkę na tydzień, to ja mogę na swoją kuracyę wydać...

— Jezu! — zadziwiła się Korejbina — ale jakże wy możecie tak dużo chodzić przy takiej chorobie?...

Przestał uśmiechać się i, poprostu, jednem słowem, odpowiedział:

— Chodzę!

W tej chwili Jadwisia, która na kilka sekund wybiegła była do sieni, wróciła i z białym, sporym garnkiem w ręku zbliżyła się do Żyda.

— Może mleka? — rzekła, podając mu garnek.

Gedalemu oczy błysnęły chciwością. Popatrzył chwilę na garnek napełniony żółtawem, niedawno udojonem, jeszcze ciepłem mlekiem i, przecząco wstrząsając głową, rzekł:

— Dziękuję panience. Mnie tego nie można.

— Co? trefne? — ze śmiechem zawołał Tomkiewicz.

— Mnie tego nie można...

— To może choć chleba z masłem? — ozwał się Janek.

Gedali nic już nie rzekł, tylko przecząco znowu głową poruszył.

— Ot, zjedlibyście choć parę kartofli z solą, a to ze wszystkiem zesłabniecie! — spoglądając w garnek, gdzie było jeszcze trochę kartofli, zaprosiła Korejbina.

Widocznie zakłopotany i twarz nieco od obecnych odwracając, Gedali odpowiedział:

— Dziękuję wielmożnemu państwu za wszystko... Już ja sobie jutro u szynkarza w Szumnej podjem.

— No, żyjże-to z tymi ludźmi! — grubym basem krzyknął ekonom — kiedy oni z chrześcijańskiej ręki kawałka chleba nawet nie wezmą, jakby wszystko, co nasze, zarażone im było! A! słowo honorowego człowieka! psiawiary oni! niech ich dyabli porwą z ich trefami i głodnymi bachorami razem!

— To prawda! — potwierdził Korejba. — Ten, naprzykład: jeść nie ma co, leczyć się nie ma za co, a jeżeli dobry człowiek chce go trochę pożywić, to mu tam jakieś zabobony skorzystać z tego, panie, nie pozwalają. Przez to człowiek do nich, żeby i jak litował się, serce straci...

Gedali słuchał uważnie, głowę schylił pokornie i ciężko westchnął.

Gdy po chwili twarz podniósł, była ona okryta wyrazem głębokiej rozwagi. Roztropność i nawet przenikliwość odmalowały się w nieśmiałem dotąd jego spojrzeniu.

Zwykłym sobie, trochę ochrypłym i przyciszonym głosem zaczął:

— To jest prawda, co wielmożni państwo sobie mówią. Jest na świecie tyle nieszczęścia, *wiele* piasku w wielkiem more (morzu). Jedno nieszczęście idzie od biedy, drugie od choroby, trzecie od kłótni, a czwarte od tego, że człowiek rozumu nie ma. Ale tak zawsze na świecie nie będzie. Przyjdzie taki czas, że wszystko będzie dobrze. A od kogo ten czas przyjdzie? U nas i o tem piękna przypowiastka jest. Wyprostował się, dłonie na kolanach złożył i twarz podniósł nieco.

Widocznie spływało na niego błogie natchnienie. Może

przypowieść, którą miał opowiadać, była mu ze wszystkich najulubieńszą; może ciepło ognia i łaskawość ludzka rozgrzały mu ciało i duszę.

— U nas tak napisane stoi: W starem mieście Jeszurum, na wysokiem krześle siedział w wielkiej szkole, wielki rabin Mojżesz Ben-Majmon, a naokoło niego siedziało sto, może tysiąc, a może dziesięć tysiąców jego uczniów. On do nich gadał po arabsku i po grecku i różnie; bo to był taki rabin, który do żadnego narodu nienawiściów nie miał i, gdzie tylko rozum znalazł, kłaniał się jemu tak samo, jak gdyby to był żydowski rozum. Kiedy on gadać przestał, podniósł się ze stołka najlepszy jego uczeń, który nazywał się Ben-Jehuda, i powiedział: »Rabbi, ja w Biblii jednej rzeczy nie rozumiem! Może ty mnie co takiego powiesz, że ja ją zrozumiem«. — A czego ty nie rozumiesz? zapytał się Ben-Majmon. A Ben-Jehuda odpowiedział: »Ja tego nie rozumiem, kto te anioły, co śnili się naszemu przedku (przodkowi) Jakóbu, że oni po drabinie do nieba chodzili i znów na ziemię powracali?« Ben-Majmon pomyślał i zaczął tak gadać: »Te anioły, to wielkie ludzie, co robią się bardzo doskonałe i mądre, znaczy, coraz wyżej idą w górę. Im trudno w górę iść, ale oni idą, bo siły już takie mają i takie wielkie chęci, żeby tam dojść, skąd im będzie można dużo słodkości nabrać. Niech oni nazywają się proroki, albo uczone, albo *miłosierdnego* serca, albo wielkiego głosu, ale oni wszyscy, to te anioły, co po drabinie chodzą do nieba«. Tak gadał Ben-Majmon; ale Ben-Jehuda jeszcze kontent nie był i pytał się: »A dlaczego, rabbi, oni to w górę idą, to w dół? Kiedy oni tak żądają być w górze, czemu oni tam nie zostają, ale znowu nazad na ziemię zstępują?« Ben-Majmon białymi włosami jak lew potrząsnął i odpowiedział: »Żeby oni zostawali się w górze i na ziemię już nie powracali, toby oni nie byli anioły! Ale oni w górze nabierają dużo słodkości i światłości i powracają na dół, żeby te skarby po ziemi siać. A gdzie oni ziemię usieją, tam ona lepsze zboże rodzi, kłótnie z niej nie wyrastają, ale spokojność wyrasta i ludzie mniej płaczą, a więcej cieszą się. Ot, poco oni na ziemię powracają, choć im powracać trudno i dlatego, Ben-Jehudo, oni są anioły«. Ben-Majmon przestał gadać, a Ben-Jehuda i wszyscy, co tam byli, cieszyli się, dziękowali jemu za to, że im taką piękną obietnicę dał. Ben-Majmon zapytał: »Jaką ja wam dał obietnicę?« A Ben-Jehuda odpowiedział: »Te anioły, rabbi, kiedyś tak zrobią, że na świecie nie będzie ani głodu, ani kłótni, ani takich, co głupi, ani takich, co płaczą i w sercu swojem krzyczą, że im bardzo źle!«

Snadź nietylko Ben-Jehuda z Jeszurum, ale i późny potomek jego, Gedali z Wołpy, cieszył się bardzo obietnicą, zawartą w słowach Rabbi-Majmona. Uderzające zaszły w nim zmiany. Stopy swe w wykrzywionych i opylonych butach silnie o podłogę wsparł, wzamian ramiona, z których opadały podarte rękawy, podnosił nieco w górę. I twarz ku sufitowi podniósł tak, że broda, śpiczasta i prawie zupełnie siwa, sterczała nad jego szyją obnażoną i cienką, jak srebrzyste skrzydło. Ruchomy blask ognia spadał mu na czoło, odkrywając na niem niezliczone bróżdy i zmarszczki, lecz z oczu rozgorzałych i z zachwyconego uśmiechu tryskała słodycz mistycznej ekstazy...

Nagle tę obnażoną i cienką szyję objęło ramię sprężyste, i młode, rumiane usta, schylając się nad tem zbróżdżonem czołem, wycisnęły na niem głośny pocałunek.

Był to Janek, który, od stołu powstawszy i powoli zbliżając się kominowi, z błyszczącemi oczyma i niezmierną uwagą słuchał przypowieści Żyda, a teraz, stanąwszy przy nim, ruchem może bezwiednym, dziecinnym jeszcze, objął go za szyję i pocałował w czoło. Wnet potem odszedł i plecami o róg komina wsparty stał tam z pochyloną głową, zarumieniony, zmieszany, milczący.

Coś widocznie w chłopcu tym zawrzało. Czy wielka litość nad tym nędznym człekiem, który z takim zapałem o zbawcach świata roił? Czy uwielbienie dla ludzi-aniołów? Czy paląca nadzieja, że on sam kiedyś takim aniołem zostanie?...

Przez drzwi od sieni ukazała się głowa kobieca, w czerwonej chustce na rudych włosach i poszeptała chwilę z Jadwisią, która, spostrzegłszy ją, wesoło ku drzwiom poskoczyła.

— Tatku! dziewczęta i parobki chcą towary kramarza zobaczyć. Czy można?

— Możeby i można; ależ kiedy ty pewno bardzo tego nie chcesz? — zażartował stary Korejba.

Jadwisia ręce opuściła na suknię i błagającym wzrokiem na ojca patrzyła. Bardzo jej się chciało zobaczyć towary kramarza.

— Czy masz męskie kamizelki? — budząc się z zamyślenia i wstając od okna, zapytał Stefan.

— Otwieraj, Żydzie, tłumok swój, kiedy panna Jadwiga tak chce — huknął Tomkiewicz.

O! nie trzeba było prosić go o to.

Żwawy, jakby mu połowy lat i bied ubyło, sprężysty, jakby nigdy nie chorował, zerwał się ze stołka i przysiadł na

ziemi, drżącemi z radości rękoma sznury worka rozwiązując. Co za szczęście! Przyszedł tu pojmany, jak złodziej; mniemał, że wyszturchany i złajany, a może i do sądu zawleczony zostanie, a tu, nietylko że trochę pokrzyczawszy, siedzieć go proszono i po ludzku rozmawiano, ale jeszcze i towary mu pokazać rozkazują... Może sprzeda, zarobi... Dziś środa, pojutrze do dzieci wracać trzeba... a tu jeszcze rubla do tygodniowych trzech brakuje. Zarobku! zarobku! na chleb i bańki dla niego, na chleb, kartofle i jakie takie łachmany dla dzieci!

Mistyk, rojący o przyszłym raju ziemskim, bezwiedny poeta, z pamięcią pełną starych przypowieści, wynędzniały suchotnik, z apatyczną rezygnacyą noszący po świecie swój głód i swoje łachmany — zniknęli, a na ich miejsce zjawił się kramarz wiejski, usłużny, żwawy, z biegającemi od twarzy do twarzy oczyma, z latającym w ustach językiem.

— Kamizelki męskie? a jakże! mam! czemu ja mam ich nie mieć? Panience może wstążeczki błękitnej? a paniczowi spinek do rękawów? Igły mam, szpilki, guziki, chustki różne, bardzo pięknych perkalów, złotne (złote) pierścionki, naparstki, nici, tasiemki... *korunki*...

Nawet drżenie nóg i chrypienie w piersi kędyś mu przepadły.

— Hej! Gdalku! — wpół seryo a wpół żartem zawołał Korejba — a cóż będzie z tym grochem, coś mi go zjadł? ha? może o tem pogadamy?

O! teraz już Gedali nie bał się naprawdę! Elastycznym krokiem i tylko dysząc głośno, przyskoczył do samego stołu, a kłaniając się nizko przed gospodarzem domu, z filuternym uśmiechem zaczął:

— Przepraszam wielmożnego pana, u nas i na to przypowiastka jest.

— Król Salomon miał wiele bogactwa — mówił dalej Gedali — a Joze, pastuch, był bardzo biedny. Raz ten Joze przyszedł w szabas do pałacu króla, obejrzał się, czy nikt nie widzi, i wziął ze stołu kawałek kugla. Ale jeden przyjaeiel króla zobaczył jego, jak on kawałek kugla brał, i przyprowadził go do Salomona, a Salomon...

Tu Korejba, który, patrząc na ruchliwą i pełną umizgów twarz Żyda, aż za boki brał się ze śmiechu, zawołał:

— Ho, ho! Gdalku, tę przypowieść to już sam komponujesz; ja to z twojej miny widzę... To u was napisane nie stoi... Ale w twojej głowie tak stoi: Król Salomon Jozego za kawał

kugla nie ćwiczył, ale dał mu jeszcze mąki na łokszynę, prawda, co?

— Prawda, wielmożny panie!

— No, to niech już sobie będę dziś królem Salomonem; niech moje przejdzie... dla starej znajomości z tobą. Nic ci złego za ten groch nie zrobię, a jesienną porą, jak będę miał okazyę do Wołpy, pół beczki kartofli dla dzieci twoich przyślę.

Żyd rzucił się do ręki mówiącego i, całując ją z wielkiej radości, niewyraźnie bełkotał:

— Żeby wielmożny pan był taki szczęśliwy, jak ja panu życzę! Żeby pan sobie drugi taki folwark kupił! Żeby pan, nu, sto jeszcze takich pięknych synów i córek, jak te panicze i ta panienka, wyhodował...

Korejbina na całą izbę wybuchnęła śmiechem z ostatniego życzenia Żyda.

— A bodaj cię, Żydzie! A bodaj cię! Óto plecie! Chory taki, a jeszcze język, jak pytel!

Ale i ona, naśmiawszy się, poszła oglądać towary.

Przy stole zostali tylko Korejba i Tomkiewicz i niebawem zaczęli rozmawiać o nowej oborze, którą Korejba jesieni tej budować zamierzał.

Sprzeczali się trochę, ponieważ Tomkiewicz doradzał sąsiadowi deskami pokrywać oborę, zaś stary rolnik obstawał za dachem ze słomy.

Ale Bóg wie, czy ta obora stanie jeszcze w tym roku. Kosztować dużo będzie, a on przecie nie kapitalista. Ziemi ma piękny kawał, to prawda, ale gotówki niewiele, a urodzaj w tym roku nie najlepszy; przytem, na przyszłą wiosnę Stefka do wojska umundurować trzeba...

Westchnął głośno.

. . . .

Przed kominem gwarno było i tłumnie.

Aby lepiej widzieć towary, dołożono na kominie drzewa; ogień buchał ogromny i olśniewający.

Gorąco zrobiło się w izbie, jak w piekle, ale nikt na to nie zważał. Wszyscy tam byli przyzwyczajeni do wszystkiego. Dwaj młodzi parobcy, dwie dziewki i stara gospodyni wsunęli się pocichu i z rodziną pana domu utworzyli jedną zaciekawioną i rozweseloną grupę.

Pośrodku, nad mnóstwem kolorowych lub połyskujących drobiazgów, siedział na ziemi Gedali, ożywiony, ruchliwy, zwra-

cający się na wszystkie strony, rozwijający jaskrawe perkale i chustki, w dwóch palcach poruszający przed ogniem mosiężne naparstki, stalowe guziki, srebrne pierścionki.

Jadwisia i Janek siedzieli także na ziemi, grzebiąc w towarach, wybierając to i owo, szczebiocąc; Korejbina i Stefan stali za kramarzem, rozpościerając i oglądając kamizelki męskie i kobiece chustki; parobcy i dziewki pochylali przed ogień szerokie bary i tłuste czerwone twarze; stara gospodyni nawet twarz swą skórczoną, bezzębną i szeroko rozśmianą zwieszała nad głowami Jadwisi i Janka, szepleniącym głosem wołając o dwa łokcie perkalu na fartuch.

Gedali nie był już w tej chwili w najmniejszym stopniu mistykiem, ani poetą.

Za chustki, których istotną ceną była złotówka, żądał groszy pięćdziesiąt; za trzygroszowy naparstek wołał o dziesiątkę, sznur lichych paciorek cenił tak, jakby to były bursztyny albo korale.

Na te propozycye wybuchały cienkie albo grube śmiechy, powstawały sarkania i nieskończone targi.

Stefan gniewał się i krzyczeć zaczynał, Korejbina przewlekle jęczała:

— Bój się Boga, Gdalu, bójże się Boga!

Ktoś błagalnym głosem prosił o odstąpienie dziesiątki na cenie pierścionka.

Janek wołał:

— Gedalu, masz sobie za piłkę czterdzieści groszy, tyle, ile chciałeś!

Trezor nawet wylazł z kąta, wmieszał się pomiędzy ludzi i, poszczekując, wyciągając się, choć odpędzany, wciąż zabłoconemi łapami próbował po towarach chodzić.

Aż nad całym tym gwarem wzbił się srebrny głosik Jadwisi:

— Panie Tomkiewicz, proszę co kupić u biednego Gdalka!

Złośliwe to było wezwanie.

Wróble na dachach świergotały, że nie było w okolicy większego skąpca od ekonoma z Szumnej. Jednak, rozmiłowany w dziewczynie i jej posagu, konkurent zerwał się z ławy, czarny jego surdut rozepchnął siwe siermięgi parobków, a długa twarz i sterczące wąsy schyliły się nad leżącymi na ziemi towarami. Ręką wielką i szczerozłotym pierścieniem błyszczącą grzebał wśród drobiazgów, szukając, wybierając...

Chciał przypodobać się ulubionej, spełnić jej rozkaz, i po

długich wahaniach kupił sobie kościane spinki do rękawów za całą złotówkę.

Gdy na długich swych nogach odchodził ku stołowi, Jadwisia brata łokciem w bok trąciła.

— Dureń! — sarknęła zcicha.

— Paskudny człowiek — odmruknął Janek. — Nie pozwolę za nic, abyś szła za niego.

* * *

Noc była ciemna i tylko w górze jaśniejąca niezliczonemi gwiazdami, kiedy Gedali z bramy folwarku znowu na pole wychodził.

Wnet za bramą powitał go krzyk polnych świerszczów. W trawie przydrożnej i zielskach ugoru świerkały one wielkim chórem, ostro, przenikliwie i tak prędko, tak śpiesznie, jakby im pilno było wyśpiewać swoją pieśń i przed północą umilknąć.

Na drodze, pod rozłożystemi wierzbami było zupełnie czarno; po szerokich polach słaby wiatr szumiał cicho i monotonnie.

U stodoły, która tuż za bramą ciągnęła się nizkim cieniem, stała wysmukła i nieruchoma topola. Żyd przyszedł do topoli, zdjął z pleców tłumok i, przez chwilę szepcąc, rachował zarobek dzisiejszego wieczora. Sprzedał niemało, zarobił prawie pół rubla i był bardzo kontent. Tylko było mu zimno i jeść chciał!

Nic to!

Jutro ogrzeje się na słońcu i podje sobie u szynkarza w Szumnej.

Przestał rachować i spojrzał na gwiazdy. Pod nieruchomą topolą ramiona wzniósł w górę i mówił wieczorną modlitwę.

— Dziękuję Ci, Panie świata, żeś naród mój wybrał pomiędzy wszystkimi narody!

Kaszel nim wstrząsnął; pod koszulą z wielkiemi dziurami po ciele wychudłem i ciemnem przebiegły dreszcze.

— Dziękuję Ci, Panie świata, że stworzyłeś mnie tak, jak sam chciałeś!

W kilka minut potem leżał nawznak, z głową na tłumoku, z rękoma opadłemi na mokrą trawę. Zdaleka, z pola, dochodziło gwizdanie Stefana, który stróżował znowu nad kartoflami i grochem. W czarnej ciemności wierzbowej alei zatętniały kopyta konia, na którym Tomkiewicz do domu odjeżdżał, i w dali

umilkły. Folwark był pogrążony we śnie. Daleko gdzieś grała trąbka pastusza. Świerszcze śpiewać przestały.

Gedali nie spał. Myślał może o niespodzianym dzisiejszym zarobku, który był winną jagodą na jego głogowym krzaku. A może pomiędzy gwiaździstem niebem a bezsennemi jego oczyma gorączka suchotnicza zawiesiła ludzi-aniołów, którzy szli w górę i zstępowali na dół, aby siać słodkość i światłość na ziemi, na której kiedyś nie będzie już ani biedy, ani kłótni, ani takich, co płaczą i w sercu swem krzyczą, że im bardzo źle...

OGNIWA.

Drukowane po raz pierwszy w roku 1895.

Zaledwie śnieg, okrywający dachy i ulice, szarzeć zaczął we wczesnym zmroku zimowym, okna dużego i ozdobnego domu zajaśniały rzęsistem światłem. Na ich złotem tle zarysowały się bogate festony firanek, wysmukłe postumenty lamp, grupy roślin i niestałe cienie postaci ludzkich.

Gdy na ulicy ustawał turkot kół, dolatywały z okien tych przez podwójne szyby słabe dźwięki muzyki fortepianowej. Łatwo było zgadnąć, że ludzie się tam bawią; że, powstawszy od stołu obiadowego, muzyką i rozmowami uprzyjemniają sobie chwile, ulatujące tak szybko...

Przed bramą stało kilka powozów z pięknymi zaprzęgami i stangretami w liberyach, którzy, zwiesiwszy głowy, drzemali lub uderzali się zziębłemi rękami po plecach i bokach. Ale z bramy wybiegł lokaj we fraku i wydał stangretom rozkaz odjechania do domów.

Koła zaskrzypiały po śniegu; karety, porwane przez spragnione już ruchu konie, sznurem potoczyły się w głąb ulicy, nad którą teraz właśnie pomiędzy śniegiem szarzejącym a niebem jeszcze błękitnawem zapalać zaczęto dwa rzędy latarni.

Potem ulica przycichła; czasem tylko jednokonne sanki przelatywały ze słabem dzwonieniem; na białe chodniki padały z okien magazynów nieruchome płachty świateł, w których pojedyńczo lub rojnie przesuwały się profile przechodniów.

Wówczas z bramy oświetlonego domu wyszedł mężczyzna, którego broda siwa wydawała się płatkiem śniegu, położonym mu na piersi.

Paltot futrzany z kosztownym kołnierzem szczelnie okrywał postać dość wysoką, z plecami trochę przygarbionymi; brzeg czapki futrzanej dotykał złotej oprawy okularów. Ubranie,

ruchy, sam sposób, w jaki naciągał rękawiczki, znamionowały człowieka, należącego do wyższych warstw społecznych. Miał brodę siwą, plecy przygarbione i okulary na oczach, ale z tymi oznakami starości nie zgadzał się krok przyśpieszony, jakim szedł po białym chodniku.

W tym kroku, jako też w paru giestach, które uczynił, malowało się zniecierpliwienie, coś nakształt chęci zostawienia za sobą jak najdalej domu, który opuścił.

Bo też ilekroć salony jego córki napełniały się gwarem rozmów błyskotliwych, lekkich, pustych, a w apartamencie zięcia rozkładano stoliki do kart, uczuwał on zawsze niesmak, smutek, nudę i, o ile mógł, opuszczał dom ich, będący także jego domem.

Czy, postarzawszy, stracił serce do świata, czy też świat odwrócił się od niego?

W obu przypuszczeniach było wiele prawdy. Dla niego, dziadka wnuków dorosłych, nawet ojcowie i matki rodzin byli młodzieżą.

To bardzo dobrze: można przecież kochać młodzież i być przez nią kochanym; tylko, że on niedobrze już rozumie życie tych pokoleń młodych. Miał niegdyś ideały ukochane, które były mu miarą sądu o ludziach i rzeczach. Do tej miary przyłożeni: córka, zięć, wnuki, objawiają wzrost nadzwyczaj mały. Nie chce być niesprawiedliwym i odzywa się w nim przywiązanie ojcowskie. Ani córka i zięć, ani wnuczki i wnukowie nie są znowu — plamami atramentu. Mają swoje zalety, wdzięki, zdolności, tylko, że on rzadko może zgodzić się z nimi w czemkolwiek. Inne poglądy i upodobania, inne wspomnienia. Pousypialiby ze znudzenia, gdyby zaczął im prawić o tem, co dniem i nocą napełnia jego pamięć.

Mieszka przy córce i zięciu w zbytku i blasku, a dni spycha z życia, jak z pleców wory jałowego żwiru, i wlecze się ku końcowi tak prawie powoli, jak teraz idzie chodnikiem ulicy, bo, wyszedłszy z bramy domu pośpiesznym krokiem, teraz zaledwie porusza stopami.

Kiedy przebywa miejsca, na które pada z okien magazynów światło rozpłomienione, u szyi jego połyskuje kołnierz bobrowy, u oczu złota oprawa okularów, w ręce rzeźbiona gałka od laski. Lecz kiedy wchodzi na przestrzenie, pogrążone w półzmroku, nie ma już na sobie połysków żadnych i rozmija się z przechodniami wyprostowanymi, przygarbiony sam, jak cień, z płatkiem śniegu położonym na piersi i drugim, zwieszającym się z pod czapki, nad karkiem. Lecz miejsca oświetlone stają się

coraz rzadszemi, a zanurzone w półzmroku — coraz obszerniejszemi...

Ruch uliczny słabnie, turkotu kół nie słychać wcale i dzwonki u sanek odzywają się tylko kiedy niekiedy. Nawet latarnie zdają się płonąć słabiej za szkłami mętniejszemi; chodniki też węższe, pustsze, u ścian niższych, za których oknami są wprawdzie światła, ale nieliczne, a niema wcale lamp wysmukłych, waz wspaniałych, ani dźwięków muzycznych.

Jest to dzielnica miasta znacznie uboższa od tej, w której znajdują się wspaniałe jego dzieci i jego własne mieszkanie. Nie nędza tu jeszcze mieszka, lecz ubóstwo bardzo jej blizkie i jeżeli dostatek, to bardzo skromny. Skromne też sklepiki zastąpiły magazyny z wystawami świetnemi, szyldy jaskrawe migocą w słabem świetle u bram starych i okien niewielkich; niektóre z nich, kołysząc się z powiewem wiatru, skrzypią nad głowami przechodniów.

Kołysze się niekiedy i poskrzypuje deska z tłem ciemnem i wymalowaną na niem tarczą zegarka, wielką, białą, podobną do twarzy starej i zapłakanej. Spłowiałe cyfry i wskaźniki wyglądają jak zmarszczki przez czas wyryte, a kurzawy letnie i deszcze jesienne złożyły na nich mnóstwo czarnych kropek, jak zaschłych łez.

Wzrok starego pana w futrze bobrowem wypadkiem spotkał się z malowaną twarzą zegara, która w powiewie wiatru zlekka zakołysała się i zaskrzypiała. Było to coś nakształt zaproszenia, wymówionego tonem żałosnym. Zegar na szyldzie! Zegarmistrz! to bardzo dobrze!

Właśnie zegarek jego potrzebuje naprawy. Od pewnego czasu opóźnia się wciąż i opóźnia po parę minut codzień. Sam go już ciągle nastawia, naprawia, posuwa, cofa: nic nie pomaga. A przecież zna się na zegarach wyśmienicie i wszystkie, jakie są w domu, zostają pod jego dozorem wyłącznym i bezpośrednim. Ale dla starego przyjaciela trzeba zawezwać porady lekarza.

Wstąpił na parę schodków, otworzył drzwi sklepiku, lecz gdy zamknął je za sobą, nie zaraz oddalił się od progu: przez minut parę stał, słuchając i patrząc.

Izdebka była mała, nizka, od sufitu do podłogi napełniona szmerem dziwnym, zgiełkliwym, monotonnym i zarazem niespokojnym, szybkim. Nie był to hałas, tylko szmer, nie wzdymający się, ani opadający nigdy, lecz ciągle, jednostajnie, bez sekundy przerwy napełniający izbę od dołu do góry. Nic tu więcej sły-

chać nie było: ani ruchu ulicznego, ani skrzypienia szyldów, ani żadnego dźwięku ze świata żyjących. Nic, tylko od sufitu do podłogi i od ściany do ściany rozmowa czy narada zegarów, wiszących na ścianach i mówiących jeden za drugim wielu głosami suchymi i stukliwymi: »tak-tak... tak-to-tak... tak-to-tak...«

A w tym szmerze rozmowy, czy narady, zda się, wiekuistej, u okna jedynego, przy stoliku, na którym paliła się lampa z długim kominkiem, nad mnóstwem błyszczących kółek, sprężynek, haczyków siedział człowiek w ubraniu długiem i wyszarzanem, z dwoma płatami śnieżnymi, jednym na piersiach, drugim nad karkiem zgiętym: była to broda siwa i siwe włosy, wydobywające się z pod jarmułki aksamitnej. W wielkich okularach, z narzędziem delikatnem w ręku siedział i pracował około błyszczących drobiazgów. Czoło miał zmarszczone, wargi odęte i uwagę głęboką w oczach, połyskujących iskrą srebrną z pod brwi siwych i powiek zaczerwienionych. Może ucho jego tak przywykło do stukotliwej rozmowy zegarków i tak się z nią zżyło, że dźwięki inne przedostawały się doń z trudnością; nie słyszał wejścia człowieka obcego.

W minutę później ze szmeru wytrysnął głos donośny, dźwięczny, dziwnie żywy i świeży, który na całą izbę zawołał: »ku-ku!« i potem już dalej miarowo powtarzał: »ku-ku! ku-ku!« aż za ósmym razem umilkł, a izdebkę napełniła znowu gwarliwa i, pomimo miarowości doskonałej, śpieszna, niespokojna narada zegarów.

Stary Żyd z dwoma płatami śniegu starości podniósł głowę; wydęte od skupienia wargi jego rozściągnęły się w błogim uśmiechu, spojrzeniem pełnem zadowolenia powiódł dokoła i spotkał się niem z twarzą przybysza, na której także rozlewał się uśmiech. Powstał nieco ze stołka, jarmułki palcami dotknął i zaczął:

— Czego wielmożny pan...

Spostrzegłszy wszakże futro kosztowne, złotą oprawę okularów, postawę przygarbioną, lecz jeszcze wyniosłą, poprawił się:

— Czego jasny pan żąda?

Ale jasny pan, zamiast odpowiedzieć, szedł wprost ku ścianie z szemrzącymi zegarami i stanął przed tym, który wydał był z siebie głos kukułki.

— Skąd masz ten zegar? Staroświecki!... cyferblat osobliwy!... Skąd go masz? Czyj on jest?

Żyda jakby sprężyna podrzuciła z nad stołka, zerwał się i dwoma śpiesznymi krokami stanął obok starego pana przed

szafką hebanową, wysoką; przed otwór jej wyglądało na świat oblicze zegara z kukułką.

— Czyj ten zegar? A czyj ma być? On mój! Jak syn swego ojca, jak przyjaciel jest swego przyjaciela, tak on mój! A jasny pan myślał, że może ten zegar jest u mnie w reparacyi? że zaraz kto przyjdzie i jego stąd zabierze? Aj, aj! jaby kijem tego, ktoby mnie ten zegar zabrać chciał! żeby mnie kto jego zabierał, to jaby takiego hałasu narobił, że ludzieby zbiegli się i musieli przepędzić tego, ktoby mnie ten zegar zabierał... bo on jest mój!...

Mówił z żywością ogromną, z zapałem i razem ze śmiechem filuternym, lecz nagle umilkł i uważnie wpatrzył się w gościa, który przecież, na niego uwagi nie zwracając, z głową podniesioną, z ustami trochę otwartemi, przypatrywał się zegarowi, aż zawołał:

— Daj-no stołek i lampę, bo nie mogę dojrzeć pejzażu na cyferblacie. Widzę, że jest, ale nie mogę dojrzeć, jaki...

Przy ostatnich wyrazach wstąpił na stołek, podsunięty mu przez Żyda, a uczynił to tak sprężyście, jak gdyby nigdy dotąd nie powłóczył nogami.

— Dawaj lampę! — zawołał.

— Zaraz, zaraz, jasny panie!

I, słowa te mówiąc, stary Żyd z lampą w ręce znalazł się obok gościa na drugim przysuniętym stołku.

— Genewa! — zawołał stary pan — tak, tak! fabryka szwajcarska; nie wiesz, jaka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? czy ja mogę czego o nim nie wiedzieć?

Z tryumfem wymienił nazwę fabryki, już oddawna nieistniejącej.

— To była taka fabryka, jakiej już na świecie niema!

— To prawda, ach, jaka to prawda, że takiej fabryki już na świecie niema! A jak on się nakręca?

Stary Żyd, jakby z rękawa klucz wytrząsł, już go trzymał w palcach. W rzeczy samej wyjął go ze skrytki, znajdującej się w szafce.

— Ot, jak on się nakręca! widzi jasny pan! A jak to dobrze, że ja go dziś jeszcze nie nakręcał, to mogę jasnemu panu pokazać. Aj, fajn! taki stary klucz, a jak po oliwie chodzi!

— Tak! Aha! A ja myślałem, że on się nakręca z tamtej strony, bo takie zegarki...

— Jasny pan ma omyłkę... takie zegarki nie nakręcają się

nigdy z tamtej strony... to są wcale inne, które się nakręcają z tamtej strony... A teraz ja pokażę jasnemu panu te gzymsiki... Widzi jasny pan, jaka to delikatna robota jest i jakie to rzeźbienie i złocenie fajn...

— Empire! — szepnął stary pan.

— Ampir! cha, cha, cha! Na moje sumienie, jasny pan zna się na zegarkach, jak, za pozwoleniem, zegarmistrz! Czyste Ampir! Już blizko sto lat ma...

— Poczekaj! poczekaj! a toż co za sprężyna?

— Nu, to jest taka sprężyna, że jak ja ją pocisnę, to zaraz z zegara wyleci ptak, skrzydłami załopoce i krzyczeć zacznie.

— Aha! prawda! widziałem raz taką maszynerye...

— Kiedy jasny pan raz widział, to ja jasnemu panu drugi raz pokażę...

Stali na stołkach obok siebie, postawą różni, bo gospodarz był szczuplejszy i niższy od gościa. Światło lampy, którą Żyd trzymał w wysoko podniesionej ręce, padało na dwie twarze z rysami niepodobnymi, ale okryte jednakowo wielką ilością zmarszczek. Obaj mieli okulary na oczach, wlepionych w zegar z błogością jednakową. Wtem nad ich głowami siwemi i twarzami pomarszczonemi, wysadzony z wnętrza zegara przez sprężynę naciśniętą, wyleciał ptak metalowy, załopotał skrzydłami i dźwięcznie, świeżo, na całą izbę wołać zaczął: »ku-ku! ku-ku!«

Żyd pierwszy zstąpił ze stołka na ziemię i pomógł gościowi to samo uczynić, poczem, zapominając o postawieniu lampy na stole, znowu na niego patrzał.

— Za pozwoleniem jasnego pana — szepnął nieśmiało — może ja mam omyłkę, ale mnie zdaje się, że moje stare oczy jaśnie pana poznały...

— Poczekaj, poczekaj — z żywością przemówił stary pan — mnie także coś się przypomina. Czy ja cię znałem kiedy?

— Jasny pan graf Ksawery ze Strumienicy...

— No, a ty? bo nie mogę przypomnieć sobie...

— Ja Berek, syn Szymszela, co w Strumienicy pacht trzymał.

— Berek! czy być może? Ależ pamiętam wybornie! Siostra moja brała cię za model do jakiegoś obrazka.

Żyd głową skinął potakująco; lampę postawił na stole, bo ręce drżeć mu zaczęły. Wyciągnął z kąta stare krzesło z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną, zapraszając gościa, aby usiadł. Cmokał wargami, śmiał się; czerwone powieki mrugały mu pod siwemi brwiami bardzo prędko, jak od olśnienia. Usiadł

nakoniec, wpatrywał się w gościa i wydawał dźwięki niewyraźne, w których przecież słychać było radość i zdziwienie. Ale i stary pan przypatrywał mu się z podziwem.

— Czy być może? Ty Berek?... ty... ten Berek z kręcącymi się włosami złotymi, z twarzą rumianą, jak u dziewczyny, z oczyma, jak turkusy? Siostra moja wzięła cię za model do jakiejś figury w obrazie, potem często przychodziłeś do pałacu... Więc to ty jesteś?

— Ja... ja sam, jasny panie! A jasny pan jest tym paniczem, co na schody strumienieckiego pałacu nigdy inaczej nie wchodził, jak po cztery przeskakując. Kiedy mnie jasna panna hrabianka malowała, a jasny graf Ksawery do tego pokoju, w którym my byli, wchodził, to jakby słońce wschodziło. Aj, czy ja nie pamiętam, jak jasny pan Ksawery konno jeździł i jak z panienkami tańczył!... Żeby nie wiem wielu paniczów na koniach jechało, to on wszystkich wyprzedził, i żeby nie wiem wiele panienek było, to wszystkie tylko z nim chciały tańczyć. Ja to wszystko widział, choć przy płocie, albo za oknem pałacu stojąc...

— Ależ właśnie, właśnie — podchwycił hrabia — ja cię też najlepiej pamiętam stojącego przy sztachetach, na dziedzińcu lub w ogrodzie, i przypatrującego się wszystkiemu oczyma, które posiadały dziwnie naiwny wyraz ciekawości i uciechy... Nieraz mówiliśmy z siostrą o tobie, że wyglądasz, jakbyś cieszył się całym światem i nigdy dosyć nacieszyć się nie mógł...

Żyd śmiał się zcicha.

— A jasny pan czy nie cieszył się wtedy całym światem?

Hrabia zamyślił się i westchnął.

— Naturalnie — odpowiedział — młodość!... Razem byliśmy młodzi, mój Berku!

Nie spuszczając oczu z jaśnie pana, Żyd znowu zapytał zcicha:

— A teraz?

— Teraz! cóż? Jesteśmy razem starzy...

Żyd oparł dłonie na kolanach, wzrok wlepił w ziemię, zgarbił się, zmalał.

— Cy! cy! — cmokał — czemu my nie mieli zestarzeć się razem, kiedy my razem młodzi byli? Każdy człowiek na świecie, czy Żyd, czy chrześcijanin, czy wielki, czy maleńki, ma młodość i ma starość... i dla każdego młodość to radość, a starość to taki smutek, co jego aż do grobu nie można z siebie zdjąć... Każdy to ma...

Umilkł.

Hrabia milczał także i tylko zegary na ścianach gwarzyły szmerem suchym, niespokojnym: »tak-tak! tak-to-tak! tak-to-tak! tak-to-tak!«

Jeden z nich głębokim basem zaczął uderzać godzinę: raz, dwa, trzy! Lecz zaledwie trzy razy uderzył, odezwał się drugi i bardzo cienko wydzwonił: raz, dwa! Przy szóstem uderzeniu dzwoniły już trzy głosy, a przy siódmem było ich ze sześć. Siedm, ośm, dziewięć, wydzwoniły chórem, który potem stopił się we trzy i we dwa głosy, kończąc oznajmiać godzinę dziewiątą.

Hrabia z uśmiechem oglądał się dokoła.

— Koncert! — szepnął.

A potem z zamyśleniem dodał:

— Mój Berku, ile to już godzin czas wybił dla ciebie i dla mnie!

— Nu, — odpowiedział Żyd — dlaczego on nie miał ich wybijać? My byli daleko od siebie i nie widzieli się nigdy, i zapomnieli o sobie, a czas na zegarkach bił godziny i co którą wybił, to i dla jasnego pana i dla mnie, bo on dla wszystkich godziny bije...

Chwilę milczał, potem, podnosząc wzrok na gościa, nieśmiało zaczął:

— Czy jasny pan wie, że ja rodziców jasnego pana pamiętam, jakbym ich wczoraj widział? Pan graf ojciec był małego wzrostu, ale taki sobie dumny na twarzy, a pani grafini miała takie ręce, co ja zawsze myślał, że to są białe kwiaty... te, co w ogrodzie rosły, i ogrodnik mówił, że to są lile... może ja źle pamiętam... lile... lile... takie białe, piękne kwiaty, co bardzo pachną... Pani grafini miała ręce podobne do tych lilów. Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam, czy jasny tato i jasna mama jeszcze żyją?

Tym razem w uśmiechu hrabiego była gorycz, gdy odpowiedział:

— Gdzież tam, mój Berku! Czyż podobna, abym ja miał jeszcze rodziców przy życiu? Te białe lilie, o których mówisz, oddawna już w ziemi.

Głos mu drgnął, ale, hamując wzruszenie, życzliwie zapytał:

— A twoi rodzice? Ojca prawie nie pamiętam, ale matkę przypominam sobie bardzo dobrze. Szczupła, nieduża kobiecina,

spracowana, z twarzą zwiędłą, ale z pięknemi jeszcze oczyma, czarnemi i ognistemi, jak płomienie...

Żyd milczał chwilę, poczem, zwracając ku podłodze palec suchy i ciemny, rzekł zcicha:

— Te płomienie, co i c h jasny pan pamięta, dawno już w ziemi!

Zegary szemrały: »tak-tak! tak-to-tak! tak-to-tak!«; dwaj ludzie milczeli z duszami zatopionemi w szmerze czasu.

Żyd pierwszy obudził się z zamyślenia i przemówił:

— A czemu ja winien tę wielką łaskę Pana Boga, że do mnie takiego starego znajomego przyprowadził?

Hrabia wyjął z kieszeni staroświecki zegarek i położył go na stole.

Żyd z przyjemnością wziął go w palce i, oglądając z uśmiechem, zapytał:

— A jaka na niego skarga? Czem on zgrzeszył? On późni się? Jasny pan próbował jego naprawiać i nic nie pomogło! Cy, cy! ja już widzę, że z nim niedobrze, on jest bardzo chory. Jego trzeba rozebrać i leczyć...

Hrabiemu oczy błysnęły z za okularów. Zaniepokoił się i zarazem ucieszył.

— Czy możesz to zrobić zaraz?

— Czemu nie? Ja będę bardzo kontent, jeżeli jasny pan trochę u mnie posiedzi i sam będzie widział, że ja temu choremu nic złego nie zrobię. Tylko ja sobie większą lampę zapalę, bo do takiej roboty, przy takiej małej lampie, moje oczy za słabe...

Hrabia, w coraz lepszym humorze, zawołał:

— Dobrze ci, że możesz sobie większą lampę zapalić, a ja nie mam z sobą tych okularów, których używam do naprawiania zegarków...

— Aj, aj! co to za bieda? U mnie jest kilka par różnych okularów; niech jasny pan dobierze sobie, która będzie najlepsza. Czy jasnego pana oczy tak samo proszą, żeby je ze służby uwolnić?

— Oj tak, mój Berku, bardzo nawet proszą... i dyabelnie mi to dokucza. Bez okularów ani rusz, a i przez okulary czasem trudno...

Żyd wyjmuje z szuflady kilka par okularów i mówi:

— To rychtyg jak mnie. Nasze oczy razem postarzały.

Po kilku minutach obadwaj siedzieli pochyleni nad stolikiem, zatopieni w pracy rozbierania zegarka i oglądania różnych

jego części. Rogowa oprawa okularów przerzynała liniami ciemnemi ich pomarszczone czoła, skronie i ginęła nad uszami w siwych włosach. Za wielkiemi szkłami oczy nabierały coraz większego skupienia, a światło lampy zapalało w nich srebrne połyski. Pracując, rozmawiali, ale już tylko o przedmiocie zajęcia swojego, bo w tej chwili wszystko, co pracą nie było, uleciało bez śladu z ich pamięci. Czasem milkli i, przypatrując się, próbując, majstrując, od wielkiego natężenia uwagi zaczynali oddychać przeciągle i głośno. Czasem zamieniali między sobą urywane zdania:

— Widzisz, widzisz, ot gdzie licho!

— Jeżeli tu, to my licho stąd wypędzim! ale mnie zdaje się, że ono gdzieindziej.

Ale czasem zaczynali się sprzeczać.

— Co ty robisz? to nie tak! — niespokojnie mówił hrabia.

Żyd odpowiadał uspokajająco:

— Niech jasny pan nie lęka się... jasny pan zaraz zobaczy, co z tego będzie...

— Ależ nic z tego nie będzie!... tu pociśnij... stamtąd wyjmij...

Wtedy Żyd głos podnosił i prawie krzyczał:

— Jasny pan ma omyłkę... tu jest takie delikatne sprężynki, że jasny pan ich nie widzi.

A hrabia także podniesionym głosem wołał:

— A to mi się podoba! Ja miałbym czegokolwiek nie dostrzegać w tym zegarku...

Ale zobaczywszy, że Żyd po swojemu, lecz dobrze robi, mruczał zcicha:

— A prawda, prawda! miałeś racyę!...

Tamten także, już uspokojony, pomrukiwał:

— Kiedy idzie o moją robotę, to ja zawsze mam racyę...

Znowu milkli, przyglądali się, majstrowali, przybliżali ku sobie czoła, poprzerzynane zmarszczkami i ciemnemi liniami okularów, splatali nad stołem ręce zwiędłe, z delikatnymi ruchami palców suchych; oddechy ich głośne i przeciągłe łączyły się ze szmerem zegarów, płynącym dokoła falą nieustanną.

Wtem z tej fali szmeru suchego i śpiesznego wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy! Za czwartem uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: raz, dwa! A za trzeciem uderzeniem swojem dostał wtór głosów innych, którym nawet przybiegły z pomocą jeszcze inne, aż chór cały, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się

znowu do trzech i dwóch głosów, kończących wygłaszać godzinę dziesiątą.

Dwaj ludzie podnieśli z nad stołu głowy i opuścili na kolana ręce.

Żyd mówił z uśmiechem:

— Nu, jasny pan dobrze zna się na zegarkach... Już ja widzę, że jasny pan ma do zegarków takie upodobanie, jak dawniej miał do bystrych koni i pięknych panienek.

Hrabia wesoło też odpowiedział:

— To prawda, mój Berku, to prawda, że nabrałem tego zamiłowania niewiedzieć jak i dlaczego? Ot, różne dziwactwa czepiają się starości...

Żyd skrzywił się i z niezadowoleniem zaczął mruczeć:

— Dziwactwo! jakie to dziwactwo? Dlaczego to ma być dziwactwo? Zegarek to jest piękna maszyna i temu rozumowi ludzkiemu, co ją wymyślił, honor robi. Czy ona kogo zabija, jak nie przymierzając fuzya albo armata? Czy ona kogo truje tak, jak te maszyny, co w wielkich fabrykach różne paskudztwa ludziom w gęby sypią? Zegarek to dla człowieka przyjaciel; on jest z nim, kiedy wesoło i kiedy smutno; on jemu pokazuje, o której porze co robić; on gada, kiedy nikt do człowieka nie zagada; on jego uczy, że czas płynie i że on na tym czasie, jak na wielkiej rzece, też płynie do ogromnego morza...

Machnął ręką i dokończył:

— Wie jasny pan co? On dla człowieka czasem lepszy przyjaciel, niż drugi człowiek, bo on nigdy nie kąsa. Chi, chi, chi!

Zaśmiał się zcicha, ale hrabia z zamyśleniem słuchał mowy jego i, potakując mu, odrzekł:

— Rozumną rzecz powiedziałeś: ta gadająca maszyna jest z człowiekiem, kiedy wesoło i kiedy smutno... Czy wiesz, że ten mój zegarek był ze mną już wtedy, kiedy to, jak powiadasz, miałem zamiłowanie do bystrych koni i pięknych panienek...

— Aj, aj! — cmoknął Żyd — taki młody panicz miał już taki drogi zegarek!

Hrabia uśmiechnął się.

— Nigdy nie brakowało mi drogich rzeczy, ale zabrakło nieraz osób drogich... Nigdy nie zapomnę przedśmiertnych godzin mojej matki... Doktór powiedział, że śmierć zbliżać się będzie wtedy, gdy puls słabnąć nacznie, i poszedł spocząć, bo był strasznie znużony i niewyspany. Sam jeden zostałem przy jej łóżku i często, z zegarkiem w jednej ręce, a z jej ręką w drugiej, badałem... czy już się zbliża?... Im więcej zbliżała się, tem

rzadszem było uderzenie pulsu i zdawało mi się, że tem szybcej posuwała się wskazówka zegarka. Posuwała się, a w tej lilii, którą pamiętasz, puls ustawał, ustawał... aż ustał. To, co zbliżało, przyszło. Na zegarku było pięć minut i trzy sekundy po północy...

Żyd z wilgotnemi oczyma głową trząsł potakująco i zegary na ścianach szemrały chórem: »tak-tak! tak-to-tak! tak-to-tak! tak-to-tak!«

Otrząsając się ze wzruszenia, hrabia zażartował:

— A nie uwierzysz, mój Berku, jaka go żywość czasem napadała! Kiedy raz kochałem się w pewnej pani, a mogłem z nią bywać zawsze bardzo krótko, ile razy ukradkiem na niego spojrzałem, złość mię porywała taka, że, gdyby tylko wypadało, byłbym go cisnął o ziemię. W myśli łajałem go: »Nie leć-że tak, głupcze! Postój sobie, wypocznij i niech razem z tobą czas się zatrzyma!« Ale on nie słuchał: leciał — i szczęście moje... odleciało!...

Żyd zcicha zapytał:

— A czy jasny pan zawsze spał dobrze w nocy?...

Hrabia uczynił ręką giest ironiczny.

— A kiedy jasny pan nie spał, to czy myśli jasnego pana były zawsze wesołe? Nu, ja sam wiem, że one czasem musiały bywać niewesołe. A kiedy jasny pan leżał w ciemności, z niewesołemi myślami w głowie, to może on wtedy bardzo pomału szedł?

— Jednak szedł — odpowiedział hrabia — i noce czarne przeciągały...

— A kiedy one przeciągały, wszyscy spali, tylko on jeden do jaśnie pana gadał... a co on gadał? On jasnego pana pocieszał, że i ta *czarność* przejdzie...

— Jak wszystko przechodzi — dokończył hrabia i na parę minut zamyślił się głęboko.

Czuł się zdziwionym. Poco on tak długo tu siedzi i tak poufale rozmawia z tym łapserdakiem?

Znał go niegdyś! Cóż stąd? Wspólnych wspomnień przecież mieć nie mogą, ani wogóle wspólności żadnej. Nie był dumny i miał wrodzoną życzliwość dla ludzi; niemniej przecież wiedział, jaka przepaść różnic rozmaitych dzieli go od Berka, niegdyś syna pachciarza, a obecnie zegarmistrza z podrzędnej ulicy miasta. Poprostu różnili się wszystkiem i nie było pomiędzy nimi podobieństwa żadnego. Wszedł tu, aby oddać zegarek do naprawy, i zasiadł na długie godziny. Co więcej, wcale nie chciało

mu się odchodzić i prawie niespodziewanie dla samego siebie zapytał:

— Jakże ci się powodziło, mój Berku? Jak powodzi się teraz? Czy masz rodzinę i dostateczne środki do życia?

Żyd podziękował za te pytania życzliwe i dość obszernie odpowiadać zaczął.

Bogaty nie był, kapitałów nie zebrał, ale środki do życia posiadał jakie takie i nędzy nie cierpiał. Pracował jeszcze i zarabiał tyle, ile potrzeba na życie — a ile mu tam potrzeba teraz, kiedy jest już sam i ma przy sobie jedną tylko wnuczkę, która go dogląda i także szyciem trochę zarabia! Rodzina liczna, kilkoro dzieci, kilkanaścioro wnuków, ale to wszystko...

Machnął ręką.

— Wie jasny pan co? Jest taka zagadka i ja bardzo ciekawy, czy jasny pan zna ją, czy nie zna... Jakim sposobem to może być, żeby człowiek miał familię i razem nie miał familii?

Mówiąc to, zatopił w twarzy hrabiego wzrok badawczy i trochę filuterny.

— Nu, czy pan tę zagadkę zna?

Po ustach hrabiego przeleciał uśmiech ironiczny.

— Znam tę zagadkę, Berku, znam bardzo dobrze...

Żyd obiema dłońmi uderzył o kolana i z frasunkiem zawołał:

— Oj, poco jasny pan ją zna? Jej lepiej nie znać! Nu, ale kiedy my obydwa ją znamy, to już ja jaśnie panu o mojej familii opowiadać nie będę. Oni porządne ludzie i poczciwe ludzie, i niektóre to nawet edukowane i bogate, ale oni nie moje... oni swoje i świata, nie moje...

Miał kilka córek, ale jedna tylko nie przestawała nigdy należeć do niego. Kochała go i pielęgnowała, była światłem i rozkoszą jego oczu; ale dawno już jej nie widział i nigdy już nie zobaczy. Spotkały ją w handlu niepowodzenia i nieszczęścia. Z mężem i dziećmi wyjechała do Ameryki, aby szukać lepszego losu... Miewa niekiedy listy od niej, ale co to listy? On jej nigdy już nie zobaczy i jest to taki wielki smutek, który można znieść spokojnie i cierpliwie tylko dlatego, że on z Boskiej ręki pochodzi. Co robić?

Źrenice jego, o których hrabia mówił, że były niegdyś błękitne, jak turkusy, teraz szare i zamglone, pod czerwoną powieką zaświeciły łzami. Lecz wkrótce otrząsł się ze wzruszenia i, wywdzięczając się za życzliwe pytania, przemówił nieśmiało:

— Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam o sio-

strę jaśnie pana, o tę jasną panienkę hrabiankę, co niegdyś mnie, biednego Żydka, na obrazie malowała. Aj, jaka to była śliczna panienka! Ja ją pamiętam. Czemu ja nie mam jej pamiętać, kiedy ja takiej ślicznej panienki nigdy już potem nie widział? To był anioł. Ona była taka piękna i taka dobra, i taka sobie cicha i delikatna, jak anioł! Ja pamiętam, że jaśnie pan żył z nią w wielkiej przyjaźni. Czemu ja nie mam tego pamiętać, kiedy ja potem takiej przyjaźni już nigdy nie widział! Czy ona żyje? Gdzie ona żyje? Co robi? Jak się jej powodzi?

Po chwili milczenia, z wzrokiem utkwionym w podłogę, hrabia odpowiedział:

— Miałem trzy siostry, ale z tą, o którą pytasz, kochaliśmy się najwięcej. Żyje, powodzi się jej dobrze; ale dawno jej nie widziałem i może nigdy już nie zobaczę. Wyszła za Anglika, mieszka w Anglii; nie przyjeżdża tu nigdy, a mnie, blizkiemu podróży największej, trudno już puszczać się, choćby w niewielką... Ona dla mnie umarła, chociaż żyje... Cóż robić!

Żyd słuchał uważnie i głową trząsł smutnie.

— Jasny pan ma taki smutek, jak i ja. I jasny pan prawdziwą rzecz powiedział: ona umarła, choć żyje. Ja tak samo o mojej Małce myślę. Ja myślę, że ludzie różnie umierają: jedne przez chorobę, drugie przez oddalenie, trzecie przez to, że odmieniają się, czwarte... Ale poco ja to jasnemu panu gadam, kiedy jasny pan sam wie...

Machnął ręką i zamilkł, a hrabia, ciągle wpatrując się w podłogę, krótko odpowiedział:

— Wiem.

Obaj umilkli, a dokoła zegary mówiły szmerem nieustannym: »tak-tak! tak-to-tak! tak-to-tak! tak-tak!«—aż nagle wytrysnął ze szmeru głos donośny, na całą izbę wołający: »ku-ku! ku-ku!«

Hrabia wstał i, zbliżywszy się do zegara, stanął przed nim. Futro miał rozpięte, bo mu się gorąco zrobiło w dusznej izbie, i na oczach swoje już okulary w złotej oprawie.

Z głową podniesioną długo patrzał przez te okulary na zegar staroświecki, aż przemówił:

— Ile żądałbyś za ten zegar?

Żyd, siedzący przy stole, głowę podniósł i, uśmiechając się, odpowiedział:

— Co ja mam za niego żądać? ja za niego nic nie żądam.

— Jakto? przecież handlujesz zegarami!

— Jasny pan powiedział prawdę. Ja zegarami handluję, ale ten zegar do handlu nie należy.

Hrabia ze zdziwieniem obrócił się ku niemu.

— Dlaczego? To przedmiot, mający cenę znaczną. Sam nabyłbym go chętnie.

Żyd wstrząsnął głową potakująco.

— Ja wiem, że to jest drogi zegarek i że jabym za niego dostał dobrą cenę, ale ja jego nie sprzedam. Czy jasny pan słyszał kiedy, żeby przyjaciel sprzedawał przyjaciela?

Hrabia patrzał na mówiącego prawie z osłupieniem.

— Czy być może? — zawołał — nie jesteś przecież bogaczem i jesteś Żydem, a Żydzi tylko grosz cenią!

Żyd zcicha odpowiedział:

— Jasny pan ma omyłkę.

A hrabia trochę ze śmiechem mówił:

— Jakąż ja mam omyłkę? Co ty tak wysoko cenisz w tym zegarku, że sprzedać go nie chcesz? Masz przecie tyle innych! Przez cóż ten może być dla ciebie takim ważnym, czy drogim?

Był tak zaciekawiony, czy zdziwiony, że usiadł znowu przy stole, na krześle z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną.

Żyd zaś powoli mówić zaczął:

— Jeżeli jasny pan posłucha mojego gadania, to ja wszystko opowiem. Prędko już będzie czterdzieści lat, jak ja ten zegar mam. Ja jego za tanie pieniądze kupił i dlatego kupił, żeby za większe sprzedać! Ale wtenczas mój Mosze, który teraz kupcem jest i wielkie interesy ze zbożem prowadzi, był takim małym chłopcem, co do chederu chodził, ja jeszcze więcej synów nie miał, bardzo lękał się, że Pan Bóg mnie więcej nie da, i bardzo jego kochał. Aj, jakie to było dziecko, ten mój Mosze! Żeby jasny pan jego znał, to sam dziwiłby się, że takie dziecko na świecie może być. A kiedy ja ten zegar kupił, to tego samego dnia mój Mosze powrócił z chederu taki słaby, taki smutny i taki mizerny, że mnie strach wziął, żeby on nie zachorował i żeby mnie Pan Bóg tego jedynego syna nie odebrał. Przyszedł mój Mosze z chederu, siadł w kącie, jeść nie chce, na ziemię tylko patrzy i mówi, że jego głowa bardzo boli i że on w chederze bardzo zmęczył się, że mełamed bardzo srogi i że on żyć już nie chce. Aj, aj! żeby takie dziecko żyć nie chciało! to jest dziwne, to jest straszne i to jest wielki grzech! Kiedy on to powiedział, ja za głowę schwycił się i jego matka za głowę schwyciła się, a jego siostry zaczęły płakać od tego, że Mosze żyć nie chce i że my siedzim, trzymając się za głowy i kiwając się z wielkiego żalu. Wtenczas, raptem, ten zegar zakukał. A była wtedy godzina dziesiąta, to on długo kukał, aż dziesięć razy. Za

pierwszym razem Mosze podniósł głowę i zdziwił się, za drugim on już nie na ziemię patrzał, ale na niego, za trzecim razem oczy u niego zaświeciły i on krzyknął: »Aj, aj! tate, co to jest? skąd ty to wziął!« I zaczął śmiać się do zegara tak, jak, nie przymierzając, człowiek, co jego długo w ciemności trzymają, śmieje się, kiedy zobaczy słońce. Ja bardzo był kontent, że on śmieje się, skoczył na stołek i tę sprężynkę, co jasny pan wie, nacisnął, a jak ja ją nacisnął, to z zegara wyskoczył ptak i zaczął skrzydłami łomotać i jeszcze mocniej kukać. Nu, jak on tego ptaka zobaczył, ten mój Mosze, to on już całkiem z kąta wyleciał, starszą siostrę obiema rękami porwał i zaczął z nią przed zegarem tańczyć, a jak on ze starszą siostrą tańczył, to i dwie młodsze, takie maleńkie, że ledwie od ziemi odrosły, schwyciły się za obie ręce i także zaczęły tańczyć. Oni nietylko tańczyli, ale z wielkiej radości, że takiego pięknego ptaka zobaczyli, śmieli się na całą izbę, a jak oni śmieli się, to i matka, co przy ogniu obiad gotowała, zaczęła śmiać się. Ja ze stołka nie złaził i patrzał, jak oni wszyscy tańczyli i śmieli się. Ptak kukał, a ja, przy tym zegarze, na stołku stojąc, w myślach Panu Bogu dziękował, że Mosze już nie chory i żyć już chce, i że w moim domu taki wielki smutek przemienił się w taką wielką wesołość.

Musiała to być istotnie wesołość wielka, bo jeszcze teraz, po latach czterdziestu, odblask jej padł na gęste zmarszczki jego twarzy, a echo ozwało się w śmiechu cichym i przeciągłym.

Rozweselony, z oczyma błyszczącemi i rękoma rozłożonemi, mówił dalej:

— Nu, czy ja mógł wtenczas ten zegar sprzedać, kiedy mnie Pan Bóg przez niego swoją łaskę okazał? Ja jego troszkę bał się sprzedawać, żeby tego szczęścia od siebie nie odwrócić, a troszkę żałował dzieci, dla których ten ptak, co w nim śpiewa, był całą zabawą i taką radością, że jak on zaczynał kukać, to oni zaraz zaczynali przed nim tańczyć... Kupców ja na niego miał, ale zawsze myślał sobie: niech to będzie potem! niech on sobie jeszcze trochę u nas pobędzie! Aż Pan Bóg na mnie ciężką chorobę przysłał...

Odetchnął głęboko, oczy wzniósł ku sufitowi i mówił dalej:

— Kiedy Pan Bóg na mnie tę chorobę przysłał, to ja może przez cały miesiąc nie spał. Czy jasny pan wie, co to jest, kiedy człowiek, mający we wnętrznościach wielkie boleści, a w głowie czarne myśli, przez całą noc leży z otwartemi oczyma i w ciemność patrzy? Ja w tej ciemności wiele rzeczy widział, co żeby ich żaden dobry człowiek nigdy nie widział! Ja widział

swoją śmierć i swoje dzieci, co beze mnie w wielkiej nędzy będą, i swoje grzechy, którymi Pana Boga obraził, i wielki strach, co mnie za nich na tamtym świecie czeka... A kiedy ja tak leżał i na takie rzeczy otwartemi oczyma patrzył, to jak tylko w tym zegarze ten ptak zakuka, zaraz te obrazy, co w ciemności zawieszone, zmieniają się na inne. Czy jasny pan domyśli się, co ja wtedy widział w ciemności, jak ten ptak kukał? Ja wtedy widział Strumienicę i samego siebie, jak przy płocie od dziedzińca stoję i patrzę sobie na ten las, co tam zaraz za dworem był... Aj, jakie piękne lato! Ten ogród, co na nim biały pałac odbija się, taki zielony i od niego bardzo przyjemne zapachy przylatują... Nad pałacem, na takiem wysokiem drzewie, taki wielki ptak, z długim dziobem, stoi na takiem wielkiem gnieździe i żabami, co je z łąki przyniósł, swoje dzieci karmi... a w tym lesie, co ja na niego patrzę, takim zielonym, drugi ptak kuka... całkiem tak kuka, jak ten zegar... To ja na te obrazy patrzał, śmiał się do nich, jak dziecko, kiedy jemu pokażą cacko, i dziękował Panu Bogu, że mnie dał taką nieżywą rzecz, co mnie na ciemnościach maluje takie światłości...

Umilkł i dość długo siedział z dłońmi złożonemi na kolanach i z głową zwieszoną.

Hrabia, z czołem na dłoni, uważny i zasłuchany, milczał także, a obie głowy ich siwe i pochylone oblewał dokoła szmer czasu potakujący, nieustanny: »tak-tak! tak-to-tak! tak-to-tak! tak-to-tak!«

Po chwili ze szmeru tego wyłonił się znowu głos Żyda, zniżony, prawie szepcący:

— Jaby jaśnie panu przez cały tydzień opowiadał różne rzeczy o tym zegarze i jeszczebym wszystkich nie opowiedział. Ale jedną jeszcze powiem. Niech jasny pan tej jednej rzeczy cierpliwie posłucha.

Opowiedział, że kiedy jego najmilsza Małka do Ameryki wyjeżdżała, on nie odprowadzał jej na dworzec kolei, ponieważ czuł, że nie powstrzyma się od płaczu, a nie chciał, aby ludzie litowali się nad jego staremi oczyma, które jeszcze tak płakać muszą. Więc córka i dzieci pożegnały go tu, w tej samej izbie, i poszły sobie, a on jak nieżywy siadł na ziemi, w kącie, ot, w tym kącie, i schwyciwszy się obiedwiema rękoma za głowę, kiwał się i płakał, i jęczał do Pana Boga, za co On na niego takie wielkie nieszczęście przysłał. Lecz nagle on sobie pomyślał, że słychać ten świst taki długi i ostry, z którym pociągi oddalają się od dworca, i zachciało mu się ogromnie ten świst usły-

szeć. »Niech ja jego posłyszę — myślał — niech ja wiem, kiedy moja Małka i jej dzieci już tu przestaną być, kiedy oni dla mnie całkiem przepadną...« Wiedział, o której godzinie i minucie ten świst rozlega się zazwyczaj, i siedząc w kącie na ziemi, z głową w rękach, zaczął patrzeć na zegarek, na ten zegarek z ptakiem. Patrzał i myślał: za kwadrans, za dziesięć minut, za trzy minuty... Wtem rozległ się świst długi i taki ostry, że całkiem przeszył mu serce. Już jego Małka przestała tu być, już ona, choć żyje, dla niego umarła...

— Czy jasny pan uwierzy? Ja pamiętam, że było wtedy dwadzieścia trzy minuty po dziesiątej...

Hrabia wstał zamyślony.

— Mój Berku, — rzekł — rozumiem dobrze, dlaczego nie chcesz sprzedać tego zegara. Czytasz ty na nim tak, jak ja na swoim — przeszłość.

Żyd głową potrząsł z zadowoleniem wielkiem.

— Jasny pan prawdę powiedział. Jasny pan na swoim zegarku, tak jak ja na swoim — czyta przeszłość. Ją każdy ma.

Stali teraz naprzeciw siebie, blizcy już rozstania, lecz ociągający się z pożegnaniem, czując kowala niewidzialnego, który kuł pomiędzy nimi ogniwa niespodziane, a dokoła postaci ich przygarbionych i zwątlałych fala czasu płynęła ze szmerem nieustannym, stukotliwym: »tak-tak! tak-to-tak! tak-to-tak! tak-to-tak!«

Hrabia usiadł znowu i nawet rozsiadł się na kreśle, jak do gawędy długiej, a ze szmeru, napełniającego izbę, wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: raz, dwa, trzy! Za czwartem uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: raz, dwa! a za trzeciem uderzeniem swojem dostał wtór głosów innych, którym wnet z pomocą przybiegły jeszcze inne, aż cały chór, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i do dwóch głosów, kończących wygłaszać godzinę jedenastą.

. . . .

Kilka miesięcy upłynęło. Wiosna była wczesna, pogodna, słoneczna. Stary Berek wyszedł z izby, napełnionej wiecznym szmerem zegarów, i przed drzwiami stanął na dwóch schodach, które łączyły je z chodnikiem. Wnet oblało go światło słoneczne, na którego tle złotem uwypukliła się postać nieduża, wątła, trochę przygarbiona, w odzieniu długiem i wyszarzanem, w czapce spłaszczonej z wykrzywionym daszkiem. Pod daszkiem czapki uwy-

pukliła się także w złotym blasku twarz okrągła, zwiędła, z małymi rumieńcami na policzkach pomarszczonych, w okularach, których rogowa oprawa przerzynała czarnemi liniami czoło, skronie i gubiła się za uszyma we włosach siwych. Siwa broda połyskiwała na piersi, jak kądziel ze srebrną przędzą.

Stał w świetle i cieple słonecznem rozgrzany, rozweselony, spoglądając przez wielkie szkła okularów na ulicę wązką, pełną światła, ustrojoną u góry w pas błękitnego nieba. Godzina była południowa, ludność miasta ruszała się żwawo; z ulic poblizkich, od tej ludniejszych, dochodził dobrze znany gwar i turkot, w którym ucho Żyda niebawem rozróżniać zaczęło odgłos mniej zwyczajny. Był to śpiew basowy, to wzdymający się, to milknący, to znowu płynący w gwarze gminnym nutą uroczystą.

Berek wsłuchiwał się przez chwilę, poczem głową kiwnął na znak, że zrozumiał znaczenie tego śpiewu. Orszak pogrzebowy przeciągał niedaleko i wciąż się przybliżał. Na wązkiej ulicy zrobił się ruch taki, jaki bywa zazwyczaj, gdy ludność śpieszy do oglądania rzeczy ciekawej. Na chodnikach zatętniały stopy śpieszące, zaszumiał gwar głosów podniesionych.

Berko spokojnie stał na dwu schodach, wznoszących się nad chodnikiem, i patrzał w stronę, od której przybliżał się śpiew uroczysty. Przestrzeń paruset kroków dzieliła go od końca ulicy, za którym przeciągały zazwyczaj pochody żałobne.

Ten także ukazał się wkrótce. Z za wysokiej ściany kamienicy wysunęło się naprzód kilka postaci w bieli, czarny krzyż wzniósł się w złotem powietrzu, chorągwie powiały czerwienią i szafirem, pochodnie zapalone błysnęły łańcuchem płomieni żółtych, martwych, smutnych. Śpiew żałobny wzdął się i połączył z turkotem kół powolnym i głuchym. Zaczerniały grube kiry. Wóz pogrzebowy, zaprzężony w sześć koni i otoczony ludźmi okapturzonymi żałobą, wiózł na szczycie trumnę, ociekającą srebrem...

Potem, znowu, przy zwolna oddalającym się śpiewie, chorągwie, pochodnie i za wozem wspaniałym długi szereg par ludzkich, postępujących powoli, w żałobie grubej, ale strojnej. Ciężkie suknie kobiece, wlokące się po bruku ulicznym, krepy czarne, ściekające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach męskich, w rękach ociągniętych czernią książki z modlitwami, jaśniejące na oprawach kością słoniową i złotem. Takich par szereg długi ciągnął pośród dwu rzędów pochodni zapalonych i dwu sznurów ludności tłumliwej, cisnącej się na chodnikach i brzegach ulicy.

Był to jeden z najwspanialszych i najbogatszych pogrzebów, jakie w tem mieście odbywały się kiedykolwiek.

Przez duże szkła okularów i perspektywę wązkiej ulicy Berek spokojnie patrzał na orszak przeciągający i czasem tylko w zamyśleniu potrząsał głową. Lecz gdy parę wyrazów wypadło z tłumu ulicznego i o słuch jego potrąciło, drgnął, wyprostował się i zaczął zapytywać, sam nie wiedząc kogo:

— Wos? wos? wer? kto taki? graf! jaki graf? co to jest? kto to umarł? czyj to pogrzeb?

Z temi pytaniami, tłoczącemi się na wargi bezkrwiste, znalazł się na chodniku i przechodniowi jakiemuś zagrodził drogę.

— No cóż? Nie zatrzymuj mię, Żydzie! Czyj to pogrzeb? Hrabiego Strumienieckiego pogrzeb! Więc cóż? czego trzymasz mię jeszcze za połę? Którego Strumienieckiego? Ojca... ojca... starego hrabiego Ksawerego!... Puszczaj, bo mi pilno!

Puścił połę przechodnia, głowę w tył przechylił i, patrząc na błękitny pas nieba, mówił, prawie krzyczał:

— On umarł? pan graf Ksawery umarł? Jak to może być? Dlaczego on umarł? on był całkiem zdrów, kiedy do mnie przychodził! On kiedyści taki młody był i taki piękny, i taki wesoły, a teraz on umarł? Skąd to wzięło się, że on umarł?

Przechodnie, śpieszący dla ujrzenia pogrzebu wspaniałego, potrącali go i ze zdziwieniem oglądali się na starca, który, przez wielkie okulary patrząc w samo niebo, ze sterczącą brodą srebrną, zawodził lament brzmiący zapytaniami. Zapytywał nie wiedzieć o co i nie wiedzieć kogo. Ktoś rozmachliwie idący odtrącił go aż pod ścianę domu; parę żydowskich podrostków, przebiegając, krzyknęło: »Sieh! sieh! a myszugener!« Ale wszystko to nie trwało długo, bo stary Żyd, porwany jakąś nieprzemożoną siłą, począł biedz, jak tylko mógł, w stronę, w którą pociągnął orszak pogrzebowy. Rękoma zgarniając dokoła nóg odzież długą, biegł z chodnika na chodnik, z ulicy w ulicę, przygarbiony, z żylastą szyją wyciągniętą naprzód, ze sterczącą kądzielą srebrnej brody. Śpieszył ogromnie. O niczem nie myślał, tylko o dopędzeniu orszaku pogrzebowego; innej chęci nie czuł, tylko tę jedną.

Orszak posuwał się powoli, dopędzić go nie było bardzo trudno. Berek wkrótce wpadł w jego szeregi ostatnie, ale się tem nie zadowolił. Biegł jeszcze, zręcznie prześligiwał się wśród tłumu, gdzie ten najgęstszym był, robił nawet pięścią, aż znalazł się obok pań i panów, idących parami za trumną.

Krewni zmarłego blizcy i dalecy, przyjaciele rodziny, zna-

jomi najbliżsi, starzy i młodzi, wysocy i nizcy, piękni i szpetni, lecz wszyscy wytworni, w żałobie grubej, nieco sztywni w pozorach nastroju uroczystego. Ciężkie suknie kobiece, wlokące się po bruku, krepy czarne, spływające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach męskich, modlitewniki, błyszczące od złota, w rękach, ociągniętych czernią, splecionych nabożnie. Za nimi turkot nieprzejrzanego szeregu powozów i tupot po bruku szarej masy pospólstwa, trzymanej w oddaleniu.

Na chodnikach, z dwu stron wozu obleczonego kirem i szeregu par ubranych w żałobę, słały się dwa szlaki bruku ulicznego puste i oblane blaskiem słońca. Berko zwolnił kroku i zaczął iść po jednym z tych pasów, równolegle ze sznurem pań i panów. Oni szli równo i uroczyście; on dreptał i czasem potykał się o kamienie. Na tle ich strojów czarnych, jego wyszarzana odzież wyglądała, jak łachman, porzucony w rynsztoku. Na czapce spłaszczonej nie miał krepowej przepaski, a z pod daszka wykrzywionego widać było czarne linie okularów, przerzynające pomarszczoną skórę czoła i skroni. Wyglądał, jak kropla, która wytrysnęła z szarej masy, trzymanej w oddaleniu, i upadła tuż za trumną, ociekającą srebrem, obok kirów ciężkich i wytwornych.

Ale szedł. Może zwracano na niego uwagę i dziwiono się, skąd się wziął i po co idzie, ale on szedł. Na czele orszaku, w powietrzu promiennem wznosiły się wysoko ciemne linie krzyża i brzmiał uroczyście śpiew kościelny; on jednak szedł.

Wkrótce zaczął sam myśleć: »Nu, skąd ja tu wziął się? czego ja leciał, jak szalony? czego ja idę?« Ale szedł. Dopóki biegł i przebijał się przez tłumy, nie myślał o niczem, party uczuciem, które było siłą instynktową, niejasną, lecz niezmożoną. Teraz począł dziwić się samemu sobie i temu, za którego trumną dreptał obok krewnych i przyjaciół najbliższych, potykając się o kamienie.

— Nu, czego on wtedy siedział u mnie kilka godzin, prawie całą noc? Czego on ze mną rozmawiał, jak z bratem? Czego ja za tym wozem leciał, jak dowiedział się, że to on na nim jedzie? czego ja teraz za nim idę?

Tak myślał, dziwił się coraz więcej jemu i sobie, ale szedł.

Za miastem stało się przestronno, promiennie, czysto, świeżo. Pola z zieloną runią rozłożyły się ze stron obu, młode brzozy zasrebrzyły się korą białą i zaszemrały kaskadami listków młodych, wiatry lekkie latały w złotem powietrzu, roznosząc wonie ziół, dobywających się z ziemi, rzeka błysnęła w pobliżu

błękitem tak gorącym, że z za wzgórzy falistych wydawała się spadłym kawałkiem nieba.

Berek od bardzo dawna już nie opuszczał miasta, a teraz, gdy tylko je opuścił, powiało nań Strumienicą. Wiatr, brzozy, promienie, rozsiane w powietrzu, szeptały mu w oba uszy: Strumienica! Strumienica! Stoi przy płocie dziedzińca, patrzy na takie same brzozy, na taki sam kawałek wody błękitnej i słucha, jak ptak w lesie kuka...

Oczy wlepił w trumnę ociekającą srebrem.

— To był początek twój i mój...

Przez bramę, na oścież otwartą, orszak wszedł na cmentarz i wśród mogił, usianych fiołkami, rozsypał się po lesie grobowców i krzyży. Wtedy Berek, uderzony wielkiem strwożeniem, przystanął, a gdy fala ludzka przepłynęła, pozostał samotnym. Cmentarz był pełen drzew; stary Żyd wsunął się pomiędzy brzozy i z głową zwieszoną, z palcami rozpostartymi u rąk obwisłych, błądził przez chwilę pod gałęźmi płaczącemi, myśląc, nawet mrucząc półgłosem:

— Nu, czego ja tu przyszedł? skąd ja tu wziął się? czego ja tu wlazł?

Ale nie odchodził i czuł, że pomiędzy nim a trumną, spuszczaną do ziemi, kowal niewidzialny kuł ogniwa niespodziane.

U przeciwnego końca cmentarza stała pstra masa ludzi, wzbijały się śpiewy uroczyste, promieniał krzyż na grobowcu wysokim. Żyd ze spuszczoną głową dreptał pośród brzóz i rozmawiał z samym sobą... Brama cmentarna była ciągle otwarta na oścież, ale on nie odchodził; nawet usiadł pod brzozami...

Pod brzozami, płaczącemi ulewą drobnych liści, wśród pni białych nad mogiłą, nakrapianą fiołkami, szarzała postać starego Żyda, przysiadła do ziemi, w czapce spłaszczonej, w wielkich okularach z rogową oprawą, ze srebrną kądzielą na piersi.

Cmentarz staczał się po wysokiem wzgórzu nad rzekę, za którą leżały zielone pola i żółte piaski.

Żyd wyciągnął szyję i patrzał na piaski.

— Co to jest? — zamruczał — co to ma znaczyć, czy to on? ja nie wiedział, że jego stąd można widzieć!

Na żółtych piaskach majaczyło miejsce jedno, obwiedzione nizkim murem i napełnione sterczącymi kamieniami. Nie było tam, jak tutaj, ani drzew, ani grobowców; nic, tylko mnóstwo kamieni sterczących, w blasku słońca czerwonawych i dokoła żółte piaski. Cmentarz żydowski.

Berek oparł łokieć na kolanie, twarz na dłoni i kiwał się

powoli to w tył, to naprzód, w takt kowadła, które pomiędzy nim a trumną, zasypywaną piaskiem, kuło ogniwa niewidzialne.

Zcicha mówił:

— Tu jest koniec twój i mój!

Przestał mruczeć, ale siedział jeszcze pod brzozami, szary w zieloności otaczającej, wśród świergotu ptactwa, nad mogiłą, nakrapianą fiołkami. A dwa cmentarze, jeden cały w drzewach i krzyżach, drugi ze sterczącymi kamieniami na żółtych piaskach, jedno wspólne niebo skuwało ogniwem wysokiem i szerokiem.

O NACYONALIZMIE ŻYDOWSKIM.

Artykuły te były drukowane w numerach: 264, 265, 266 i 267 »Kuryera Warszawskiego« w roku 1911-ym

Artykuł niniejszy należy do puścizny rękopiśmiennej po ś. p. Elizie Orzeszkowej. Przeznaczony przez zmarłą autorkę dla »Kuryera Warszawskiego«, dostaje się na jego łamy za pośrednictwem pp. Obrębskich, jako jej spadkobierców i wykonawców ostatniej woli. Jednocześnie drugi, jednobrzmiący egzemplarz tej pracy, zgodnie z życzeniem autorki, przesłali pp. Obrębscy do redakcyi żargonowego dziennika »Hajnt« w Warszawie.

Śmierć nie pozwoliła Orzeszkowej wypowiedzieć się całkowicie w kwestyi, która ją zawsze zajmowała żywo i gorąco. Ale i niedokończona przez nią praca rzuca tyle światła na kwestyę żydowską w Polsce współczesnej i na związane z nią procesy naszego życia zbiorowego, że stanowi niezwykłej miary i ceny przyczynek do gruntownego tej kwestyi poznania.

Drukujemy go też nietylko z całym pietyzmem dla uczuć i myśli wielkiej powieściopisarki, lecz zarazem w tem przekonaniu, że dajemy głos tej prawdzie publicystycznej, która nie dla wszystkich jest jednakowo widoczna i uchwytna.

Orzeszkowa tę prawdę zdobywała wytrwałą pracą całego życia i nikt może nie miał takiego, jak ona, prawa do pisania o kwestyi żydowskiej i wypowiadania o niej sądów. Przyznali to, zresztą, sami Żydzi, prosząc ją o wywiad dla pisma żargonowego, a więc przeznaczonego dla mas, odgrodzonych od społeczeństwa polskiego murem, dotychczas nieprzebytym.

Wywiad ten do skutku nie doszedł z powodów, wyłuszczonych poniżej.

Poglądy swoje autorka »Meira Ezofowicza« zamierzała wyłożyć na piśmie, ale, niestety, już tylko w części zdołała to uskutecznić.

Rzecz ta, pisana mniej więcej przez dwoma laty, nietylko nic nie straciła na swej aktualności, lecz przeciwnie, zastaje dzisiaj sprawę, której dotyczy, wśród najbardziej palących zagadnień życia polskiego.

(Przyp. Red. »Kuryera Warszawskiego«).

Przed kilku tygodniami odwiedził mię tu, w Grodnie, współpracownik gazety żargonowej »Hajnt« z życzeniem, abym zdanie swoje o dzisiejszym stanie kwestyi żydowskiej w Polsce wypowiedziała. Odpowiedzi na wywiad ustny odmówiłam, bo sprowadza częste nieporozumienia i omyłki, a w tym przypadku sprowadzićby je mógł tem łatwiej, że interlokutor mój języka polskiego nie zna, a ja tym językiem, którego on używa, mówić nie chcę. W swoim domu mam prawo mówienia tym albo owym językiem, chcieć albo nie chcieć, a że redakcya »Hajnta« o tem prawie mojem zapomniała i to utrudnienie w porozumieniu się z członkiem jej stworzyła — szkoda! Ale napisać zdanie żądane i drukiem je ogłosić w »Hajncie« i jednocześnie w jednym z dzienników polskich, przyrzekłam. Nie mogłam dotychczas przyrzeczenia tego spełnić. Byłam chora. Teraz, gdy mogę, spełniam i szanownej redakcyi »Kuryera Warszawskiego« dwa egzemplarze rękopisu swego przesyłam z prośbą uprzejmą o przeniesienie jednego z nich na szpalty »Kuryera« i o łaskawe przesłanie drugiego, dla jednoczesnego wydrukowania, redakcyi żargonowej »Hajnt«.

I.

Głównym i najtrudniejszym do rozwiązania węzłem w zawikłanej u nas sprawie żydowskiej jest, według zdania mego, od niedawna powstały pośród Żydów prąd nacyonalistyczny. I przedtem Żydzi stanowili wśród społeczeństwa polskiego grupę ludzi, pod wielu bardzo ważnymi względami odrębną, ale nic nie za-

ręczało, że odrębność ta jest, lub ma stać się wiecznotrwałą. Różnice, pochodzące z odmienności rasy, zmniejszone znacznie być mogły przez niwelujące wpływy cywilizacyjne, zarówno jak przez wspólne pożycie na jednej ziemi, w jednym klimacie, wśród wspólnych wpływów odżywiania się fizycznego i moralnego.

O trwałości różnic językowych mowy być nie mogło, bo któż, przed bardzo niewielu jeszcze laty, mógł choćby przypuścić, że żargon dostąpi zaszczytu dźwignięcia go do godności języka narodowego. Zdawało się, że jest on w ustach ludzi, którzy przez nieszczęśliwe okoliczności historyczne niegdyś swój język narodowy utracili, tylko tymczasowym jego zastępcą i że trochę tylko oświaty potrzeba, aby z ust tych usunął go doskonale wyrobiony, bogaty i piękny język ludności otaczającej. A gdy zmniejszą się odmienności, z rasowego pochodzenia wypływające, gdy z biegiem czasu zniknie odmienność mowy, to odmienność wyznania religijnego, jak o tem wie każdy, może nie stać na przeszkodzie wspólności i zgodzie dążeń i prac obywatelskich. Tak ze stron obu, przed niewielu jeszcze laty, mniemały umysły najświatlejsze, które, na ciele społecznem spostrzegając ranę, o możności zagojenia jej nie wątpiły i stąd po obu stronach powstała idea asymilacyi, czyli takiego upodobnienia się mniej licznej grupy mieszkańców ziemi tej do liczniejszej, któreby sprzyjało wspólnemu życiu i pracowaniu w spokoju i zgodzie.

Idea asymilacyi Żydów nie była, jak niektórzy obecnie twierdzą, utopią, ani wyznawcy i działacze jej nie byli utopistami. Historya świata zna przykłady takiego stapiania się mniejszości z większością, takiego zaszczepiania na drzewach płonek innego gatunku, które, przy umiejętnej uprawie ogrodniczej, nietylko drzewu nie szkodzą, lecz, owszem, przez dostarczenie soków nowych, wzrostowi i sile jego dopomagają.

Ale nie wszystko na świecie staje się, co staćby się mogło, gdyby po drogach ludzkich nie chodziły złe wichry, które je na bezdroża przerabiają. Idea asymilacyi, nie należąc do tych, które urzeczywistnić się nie mogą, była do urzeczywistnienia trudna. Urzeczywistnić ją mogły tylko bez przeszkód rozwijające się: ewolucya opinii publicznej, przyzwyczajeń towarzyskich, prawodawstwa i wychowania, zwłaszcza wychowania publicznego. Pomijam opinię i przyzwyczajenia, które mogły błądzić, ociągać się, tu i owdzie szkody lub opóźnienia w robocie sprowadzać, ale nie miały w sobie nic zasadniczo względem ro-

boty asymilacyjnej nieprzyjaznego lub zgubnego... Te nie były w rękach żadnych ze stron obu i te wykrzywiły samą oś asymilacyi, zachwiały ją u samej jej podstawy. Na jaki sposób, a raczej na jakie sposoby, zarówno liczne jak potężne, tego dokonały, nie mam tu miejsca na szczegółowe wymienianie i — czy jest pośród stron obu choć jeden człowiek mniej więcej oświecony, któryby sam o sposobach tych nie wiedział i po chwili zastanowienia wyliczyć ich nie potrafił. Dość, że idea asymilacyi, chwiana i osłabiana przez działanie systemu szkolnego i praw wyjątkowych, przez rzucane pod jej koła kamienie obrazy najrozmaitszego rodzaju i kalibru, spotkała się z powstałą właśnie w tej chwili ideą — nacyonalizmu żydowskiego.

Pod jakimi wpływami Żydzi, zamieszkujący państwo rosyjskie, więcej niż kiedykolwiek uczuli się narodem od wszystkich innych odrębnym i zapragnęli takim pozostać na zawsze, czyliż opowiadać trzeba? Przyszło to im naprzód od tego pędu ku wyodrębnianiu się i skupianiu w narody oddzielne wszystkich grup etnicznych, który w ostatnich czasach stał się jednym z najsilniej bijących pulsów w organizmie europejskim; przyszło z Zachodu od spółbraci, głoszących chwałę Syonu i wieczną przynależność do tej prastarej ojczyzny narodu żydowskiego; przyszło nadewszystko ze Wschodu, od wielce złego przyjęcia, którem państwo rosyjskie odpowiedziało na ich gorliwe dążenie ku zlaniu się w językową, obyczajową i uczuciową jedność z narodowością, w państwie tem panującą. To ostatnie nie stosuje się do Żydów, zamieszkujących Królestwo, lecz w innych prowincyach; kto własnemi oczyma procesowi temu się nie przypatrywał, wyobrazić sobie nie zdoła, jak ciekawy i razem głęboko smutny przedstawiał on widok. Był to z jednej strony niezmiernie entuzyastyczny rzut Żydów ku zasymilowaniu się z żywiołem panującym, a z drugiej — równie niezmiernie srogi odrzut, którym nań żywioł panujący odpowiedział.

Jeżeliby kto żądał dowodów, że asymilacya Żydów z narodami, wśród których przebywają, jest możliwa, znalazłby go w tym rzucie. Był jaskrawy, powszechny i przez czas pewien aż do czułości szczery, aż do drobiazgowości kompletny. Imiona osób, język, zwyczaje i obyczaje, nawet charakterystyczne drobiazgi w ubiorach, zachowaniu się, postawach ciał i intonacyi głosów, zostały nietylko zaakceptowane, lecz, o ile podobna, najdobitniej akcentowane, rozpowszechniane, w młode pokolenia zaszczepiane. Była w tem pewna doza instynktownego albo i rozmyślnego chwytania się za szeroki płaszcz człowieka

silnego, który mógł tak dobrze osłaniać, jak razy zadawać, na szczyty wynosić, jak w wądoły strącać; było też pewnie sporo tego, co u dorobkiewiczów plemion wszelkich za namaszczenie do wyżyn społecznych i za tak zwany ton dobry uchodzi; ale, najpewniej, było też wiele sentymentu zupełnie szczerego i którego naiwność, w narodzie tak roztropnym, zdumienie obudzała. Gdyby moment ten nie pękł, jak bańka mydlana, pod dmuchnięciem ust, z jednej strony prawodawczych, a z drugiej chuliganowych, gdyby dłużej był potrwał, asymilacya stałaby się szybką, powszechną i nawet purpurą gorącej miłości zaprawioną. Tak jest. Śmiem tak twierdzić napewno.

Przypatrywaliśmy się zjawisku z ubocza w milczeniu, ale z uwagą wielką i z takiemi uczuciami, jakie w nas ono budzić musiało; wiemy więc dobrzé, co i jak było. Słyszeliśmy też, jak zegar czasu wybijał koniec złotej ery. Bańka mydlana pękła, sen arkadyjski pierzchnął — a tego, co pozostało, wyliczać nie można i nie potrzeba, bo wszyscy o tem wiemy, a najdobitniej wiedzą o tem sami Żydzi.

Cóż więc dziwnego, że po obudzeniu się z arkadyjskiego snu, po zniknięciu tęczowych barw bańki mydlanej, Żydzi, spoglądający na ubiory swoich dzieci, językiem, którym mówić nauczyli się i już przywykli, samych siebie zapytywali: Czemże, kimże jesteśmy? Bo jarmiaczki, obciskujące postacie dziecięce i brzmienie wyrazów, z ust wychodzących, choćby towarzyszyła im najszykowniej i najstoliczniej oddawana końcówka »s«, nie stanowią istoty narodowości. Ażeby integralną częścią narodowości jakiej czuć się, trzeba ją kochać. Czy oni mogli trwać w miłości powziętej?

I jak raz w tej samej chwili na Zachodzie powstali mężowie z imionami: Hertz, Nordau, Zangwill i na wszystkich pięć części świata rzúcili hasło: Syon! a potem: Ito! Syonizm i Itoizm! (terytoryalizm).

Syon! Jeruzalem! Palestyna! Często wspominały te święte imiona modlitwy synagogalne i pra-dawne księgi Izraela. Lecz było to dotychczas coś nakształt poetycznej abstrakcyi, w wyjątkowych momentach skupienia czy cierpienia rozrzewniającej, lecz w prozie i zawierusze życia codziennego blade zaledwie i oddalone odbicie w pamięciach i sercach pozostawiającej. Czy to nawet blade i oddalone odbicie Syonu i Jeruzalem istniało jeszcze u najmłodszych, u tych, którzy przestąpili już próg gmachu cywilizacyjnego edomitów, wątpić należy. Wątpić o tem na-

leży szczególnie wobec niezmiernej łatwości, z jaką, przy zetknięciu z cywilizacyą nowoczesną, Żydzi rozstają się z tradycyjnemi abstrakcyami i ideałami.

Ale teraz...

Teraz syonizm stał się naturalnem i niemal koniecznem ujściem dla udręczeń i nadziei zawiedzionego i najpewniej bezdennie, choć może w części bezwiednie, zdumionego ludu.

Jakto? Umiłowaliśmy i odepchnięto nas! Spodziewaliśmy się tuż, tuż nadejścia wysłańców Jozuego, przynoszących nam z ziemi obiecanej bajecznie soczyste winne grona. I przyszli, ale z rękoma pełnemi artykułów praw wyjątkowych i innych, jeszcze przykrzejszych rzeczy! Więc, jak zwykle bywa, wyprostowała się pod razami obelgi i krzywdy psyche plemienia i rzekła: Sama sobą chcę być i sama sobą pozostanę. I jak zwykle bywa, gdy kto na ogień z szalonym zamiarem zgaszenia go silnie dmucha, płomień starych tradycyi i płomień wrodzonej każdej jednostce żądzy życia i płomień wrodzonego również uczucia godności i miłości własnej, rozgorzały w żyłach siłą nigdy przedtem nieznaną.

Nacyonalizm żydowski był zrodzony. Był on zrodzony wśród ludności żydowskiej, rozproszonej na obszarze całego państwa i w sposób gettowy skupionej przez prawodawstwo w prowincyach, z rdzenną Polską sąsiadujących. Niebawem też, jak to z powodów blizkiego sąsiedztwa i różnych innych przyczyn stać się musiało, przeniknął do rdzennej Polski, całym ciężarem swym zwalił się na krzyżowane już i bez tego ze stron różnych dążenia asymilatorskie, żargon uznał za narodowy język, stworzył żargonowy teatr, żargonową prasę i rozpoczął budowanie na sposoby różne muru chińskiego, który ma go od ludności polskiej odgradzać i którego wysokość grozi przewyższeniem wszystkich murów dawniejszych.

Taką jest historya faktu, przed oczyma naszemi z podłoża wypadków wyrosłego.

A teraz: co o tym fakcie myśleć? Jak względem niego zachować się i postępować?

Odpowiedzi są do znalezienia trudne, jednak szukać ich jest obowiązkiem i potrzebą konieczną.

Otóż, przedewszystkiem, fakt poczucia się Żydów, kraj nasz zamieszkujących, narodowością odrębną i starania, czynione w celu wzmocnienia i utrwalenia tego poczucia, stawiają ludność polską wobec dylematu zasadniczego, który do rozwiązania jest niesłychanie trudny.

Stoją tu naprzeciw siebie dwie prawdy, jednakowo niezaprzeczalne i rozbieżne.

Z jednej strony prawdą jest, do najważniejszych nawet w życiu ludzkości należącą, że, gdy jakakolwiek grupa ludzi uczuwa się i uznaje się narodowością od innych odrębną, uczucie i uznanie się to przez wszystkie inne grupy narodowościowe uszanowane być powinno, że nikt na świecie nie ma prawa rozkazywać Persowi, aby został Grekiem, ani zmuszać Greka do zostania Persem, i że każda próba takiego rozkazywania czy zmuszania jest:

1) bezskuteczna i owszem sprowadzająca skutki wręcz zamierzonym przeciwne;

2) antyetyczna i antyhumanitarna, bo sprowadzająca na ludzi rozlew mąk i strat rodzaju wszelkiego;

3) ściągająca na tego, który rozkaz taki wydaje i mus taki wywiera, rychlejszą czy późniejszą, ale niezawodną pomstę dziejową.

Te pomsty dziejowe zresztą są rzeczą niezmiernie jasną, prostą i do wytłómaczenia łatwą. Kto na kimkolwiek gwałt wywiera, kto po czyjemkolwiek ciele depce i czyjąkolwiek duszę miesi w palcach, jak glinę, aby z niej dla siebie urojonego bałwana ulepić, ten popełnia ogromne zło, a to zło, ciało i duszę jego samego przenikając, czyni go skłonnym do zapadania w choroby cielesne i duszne, ku przepaściom fizycznym i dusznym wiodące.

Z tego punktu, jedynie według mnie prawdziwego, na rzecz tą patrząc, niema dla narodów i państw interesu lepszego nad sprawiedliwość i uczciwość, choćby nawet z pozoru i chwilowo inaczej wydawać się mogło. Prawda to jest, która, w obecnej chwili jeszcze jak najsrożej pogwałcona w praktyce, w teoryi do zupełnie elementarnych należeć zaczyna. I prawda to jest, której zaprzeczać w praktyce czy teoryi my, Polacy, mniej niż ktokolwiek inny mamy prawa i — wierzyć chcę — ochoty. Owszem, my, Polacy, mamy prawo głośno i śmiało rzucić światu zapytanie: Kto na świecie dłużej i uparciej nad nas szedł ku tej prawdzie po gościńcu czerwonym od krwi, mokrym od łez, czarnym od żałob i białym od kości, tak rozsypanych, jak ręka siewcy rozsypuje na polu ziarno, aby wyrosło nieprędkim kłosem?

To jedna strona dylematu.

Po drugiej stronie znajduje się znowu ta, równie jak tamta wątpieniu żadnemu nie podlegająca, prawda, że dwie na-

rodowości odrębne, na jednej ziemi osiedlone, są jakby dwa tarany, które, na różnych punktach i nieustannie o siebie uderzając, klinami wbijają się w siebie nawzajem, z czego wynikać muszą rany, nadwerężenia, kalectwa, ruiny, a bez metafor mówiąc — współubiegania się o różne dobra tego świata, spory, kłótnie, gniewy i nienawiści. Może to jest prawda dla natury ludzkiej zawstydzająca, może przyjdzie era złota, w której dwa bliźnie łokcie nie będą przy każdem zbliżeniu aż do krwi potrącać się nawzajem o każdy okruch chleba lub ochłap mięsa; ale dziś jeszcze tak jest, dziś jeszcze każdy młynarz do swego młyna wodę ciągnie, choćby mu ona przypłynąć miała razem z krwią albo z trupem młynarza sąsiedniego.

Organizowanie się na ziemi polskiej Żydów w narodowość odrębną, w narodowość dla walk, dążeń i pragnień polskich, dla idei i kultury polskiej obojętną — przedstawia dla społeczeństwa polskiego niebezpieczeństwo poważne i groźne, a o ileż razy jeszcze poważniejsze i groźniejsze, jeżeli obok imienia narodowości tej umieścić wypadnie zamiast wyrazu: obojętna — wyraz: wroga!

Taki jest dylemat zasadniczy, który nakształt Scylii i Charybdy wzniósł przed oczyma naszemi bieg czasu i wypadków. Niedawno jeszcze skały te nie istniały i, z trudnością przez cieśninę przepływając, mogliśmy mniemać, że, rychlej czy później, ale bezpiecznie, wypłyniemy na morze zjednoczenia i spokoju. Dziś, przed wpłynięciem na znacznie zwężone, na znacznie burzliwsze, niż były przedtem, wody cieśniny, musimy przedewszystkiem bacznie, bardzo bacznie przypatrzyć się sterczącym po dwu jej stronach skałom.

II.

Więc przedewszystkiem, czy idea nacyonalizmu żydowskiego wypływa z rzeczywistego istnienia odrębnej narodowości i nietylko z rzeczywistej, lecz z nieprzepartej potrzeby zachowania, utrwalenia, niepozwolenia na odebranie sobie własności i cech, które odrębność tę determinują?

Tu zwracam uwagę na formę zapytania, którą okresowi powyższemu nadaję. Nie twierdzę nic i nie decyduję o niczem. Zapytuję, rozbiorowi poddaję, kamień węgielny sprawy do oglądania przedstawiam.

Jakie własności i cechy determinują indywidualność narodową, jej od wszystkich innych indywidualności odrębność?

1) Gniazdo, środowisko, w których naród powstał i historyczne życie swe pędził, czyli ojczysta ziemia jego, dla ciał jego dzieci najzdrowsza, dla dusz najpełniejsza pamiątek i uroków, dla serc — najukochańsza.

2) Język, który razem z narodem na świat przychodzi, który razem z rozwijaniem się narodu rozwija się i wzbogaca, który jest owocem ducha narodu i wielowiekowej jego pracy, w którym znajduje on nagromadzone przez wieki skarby uczuć i myśli, który tak zjednoczył się z fizyologiczną i psychiczną naturą narodu, że jest mu jakby jednym z organów ciała i jedną z władz duszy, z któremi bez niezmiernych szkód i bólów rozstać się nie może i których wydrzeć sobie bez walki na śmierć i życie nie pozwala.

3) Zwyczaje i obyczaje rodzinne, towarzyskie i inne, pod wpływem różnych czynników fizycznego i moralnego środowiska wyrobione, a tak głęboko w uczuciowość i umysłowość narodu wrosłe, że odbywające się w nim ewolucye kulturalne tylko powoli, z trudnością, z walką wykorzenić się i odmianom poddawać się mogą.

4) Wybitność pewnych przymiotów charakteru i zdolności umysłu, z towarzyszącem jej względnem upośledzeniem przymiotów i zdolności innych. Niewątpliwe jest istnienie zdolności i niezdolności, przywar i cnót narodowych, co nie oznacza, aby inne narody całkowicie jednych lub drugich pozbawione były, lecz wskazuje różnice, rozkład i ustosunkowanie ich, które pomiędzy narodami zachodzą, a źródło swe mają w przyczynach tak zrozumiałych i powszechnie znanych, że przed ludźmi mniej więcej oświeconymi wyliczać ich niema potrzeby.

Zobaczmy teraz, czy i o ile cechy powyższe, odrębność narodu determinujące, znajdują się w posiadaniu ludności żydowskiej wogóle, nietylko w Polsce osiadłej, ale i po całym świecie rozsypanej.

Ziemię ojczystą przed wielu wiekami wydarła Żydom ta zbrodnia historyczna, która nazywa się podbojem. Bronili jej oni z zaciętością i bohaterstwem, które stworzyły jedną z najtragiczniejszych kart w historyi narodów podbijanych i podbitych. Wobec kolosu rzymskiego nieliczni i słabi, walczyli z nim aż do niemożliwości ostatecznej i przemocy, której połowa świata ówczesnego już się poddała, ulegli ostatni. Wówczas, o wówczas, za czasu Machabeuszów i Barkobeka, za tego czasu, którego

przeraźliwy obraz odmalował w dziele swem Józef Flawiusz, byli narodem, byli narodem odrębnym i gniazda swego broniącym tak bohatersko, jak zapewne namiętnie i bez granic je kochali. Lecz, pomimo wszystko, stracili to gniazdo.

Rozległa się nad nimi ta klęska nad klęskami, którą jedno z pism ich określa słowy:

»...Biada człowiekowi, którą utracił ojczyznę!«

Utraciwszy polityczną niepodlegość ojczyzny, opuścili ją, rozproszyli się po szerokim obszarze państwa, które im ją wydarło.

Dlaczego to uczynili?

Spotykamy się tu z zagadnieniem ciekawem niezmiernie i, jak mi się zdaje, niedość dotychczas wyjaśnionem. Galijczycy, Iberyjczycy, Brytowie, Grecy, również przez Rzymian podbici, w gniazdach swych, na różne sposoby przez zaborców rujnowanych, oskubywanych, dręczonych, pozostali i, czas klęski w nich przetrwawszy, ojczyzny nie utracili. I dziś żyjącemi oczyma patrzymy na narody podbite, które, wszystkie możliwe utrapienia, męki i plagi przenosząc, przy gnieździe swem trwają, przez konieczność z niego wydaleni ku niemu tęsknią, do niego powracają, skuci z niem mocą przywiązania i wzbierającą razem ze wzbieraniem mocy jego nieszczęścia.

Być może, że opuszczenie Palestyny przez Żydów, wnet po ostatecznym podboju tego kraju, w znacznej części przypisać należy strasznemu spustoszeniu, które długi szereg zbrojnych powstań żydowskich na kraj ten sprowadził. Jednak przyczyna ta niedostatecznie fakt wyjątkowy wyjaśnia i kto wie, czy nie można w nim dopatrzyć już wtedy, pomimo świeżych walk patryotycznych, istniejący zaród skłonności, czy instynktów kosmopolitycznych zanikającego już wtedy, może pod wpływem patryotycznej rozpaczy, przywiązania do ziemi ojczystej. Jakkolwiek jednak mogło być w początku, Żydzi przez wydalenie się swe z ojczyzny z biegiem czasu utracić musieli i tę bardzo ważną, tę do kardynalnych należącą cechę odrębności narodowej, którą jest miłość do ziemi ojczystej, miłość tak silnie żywiona przez jej widoki, groby i kolebki, przez pracę około niej podejmowaną, przez wspomnienia, które w niej drzemią, i nadzieje, które z niej wykwitają, że nawet w duszach prostych i nieoświeconych staje się nad wszelkie cierpienia mocniejszą i wszelkim pokusom zamienienia jej na inną, szczęśliwszą, oporną. Tę miłość, tę cechę odrębności narodowej, Żydzi po

opuszczeniu Palestyny utracili i już nigdy, nigdzie jej nie odzyskali.

Daleka jestem od poczytywania im tego za winę i ujmę. Mieszkali na ziemiach obcych, w sposób okrutny dręczeni i prześladowani, w najlepszym razie na najniższe szczeble społeczne spychani, więc z pod kamieni cierpień i uraz delikatny i zarazem bujny kwiat miłości do ziemi wyrastać mógł z trudnością, zanikowi ulegać nieledwie musiał.

Nie chcę też utrzymywać, że nie było i niema wyjątków. Istnieją niezawodnie Żydzi, którzy ziemię francuską, niemiecką, polską, z równą siłą, jak rodzeni synowie ich kochają, — ale i to także zdaje się pewnem, że, gdy tylko ją ukochają, Francuzami, Niemcami, Polakami stają się i narodowej odrębności żydowskiej trudno już albo i niepodobna się w nich doszukać. Żyd więc, albo tej odrębnej cechy narodowościowej, którą jest miłość do ziemi ojczystej, nie posiada, albo, gdy ją posiądzie, staje się, czy jest blizkim stania się czemś innem, niż Żydem, zlewa się, czy jest blizkim zlania się z narodem, wśród którego żyje.

A teraz język.

Czyż ktokolwiek naprawdę może mniemać, że żargon, którym posługuje się w granicach dawnej Polski ludność żydowska, był kiedykolwiek i jest teraz językiem narodowym Żydów?

Trudno uwierzyć, bo powszechnie przecież wiadomo, że Żydzi przynieśli go z sobą do Polski nie z Palestyny, ale z Niemiec i że jest on niczem innem, jak usianą gęsto naleciałościami z mów innych niemczyzną, więc narodowym językiem Niemców, ale nie Żydów. Narodowy język swój, którym był hebrajski, Żydzi wraz z opuszczeniem Palestyny utracili i tak samo, jak ziemi ojczystej, nigdy go już nie odzyskali.

Z przytaczanego przez nacyonalistów żydowskich argumentu, że żargon jest mową milionów ludzi, wyprowadzić można ten tylko wniosek, że trzeba te miliony podźwignąć na taki wyższy szczebel oświaty, aby uczuły potrzebę lepszego nad zepsutą niemczyznę narzędzia dla wyrażania swych myśli i uczuć, ale nie można wyprowadzić wniosku, że jest on narodowym językiem tych milionów.

Żargon nie przyszedł na świat razem z historycznem przyjściem nań narodu żydowskiego, nie rozwijał się i nie wzbogacał razem z jego kulturalnem rozwijaniem się i wzbogacaniem, nie jest owocem ducha żydowskiego i wielowiekowej jego pracy, nie przedstawia skarbca, w którym przez wieki pokole-

nia twórców składały wyrazy swych uczuć i myśli. Nikt chyba nie zaprzeczy, że nie jest on tem wszystkiem, a więc i narodowym językiem również nie jest.

Nie jest on językiem narodowym dlatego jeszcze, że nie stał się taką organiczną, taką żyjącą częścią fizycznej i duchowej istoty narodu, aby wydzieranie mu go przez przemoc przenikało naród aż do szpiku kości bólem i gniewem.

Rzecz to nie wypróbowana, ktokolwiek odpowiedzieć może, bo nikt nigdy przeciw żargonowi zamachu żadnego nie czynił. Ale przypuśćmy zamach.

Czy istnieją tacy Żydzi, którzyby w obronie mowy tej wystawiali się na kary więzienia i wygnania, którzyby przez miłość do niej sami siebie skazywali na trudy nietylko bezinteresowne, ale mnóstwem przykrości i niebezpieczeństw grożące, którzyby gotowi byli staczać o nią jawne czy potajemne walki na śmierć i życie?

Przypuszczam, że zapytania tego nikt bez uśmiechu nie przeczyta, tak dalece jest ono ze stanem rzeczy sprzeczne. Żydzi, owszem, z łatwością niezmierną i przy pierwszej możności opuszczają żargon dla mowy innej i gdy dla innych grup etnicznych przymus do zmiany takiej jest jednym z bólów najdotkliwszych i gniewów najczerwieńszych, oni ją poczytują za świadectwo podniesienia się ku wyższemu poziomowi społecznemu, za źródło zaszczytu i takich lub innych korzyści. Czy podobna za język narodowy uznać ten, który daje się zdjąć z ust i serca, jak rękawiczka z ręki, który na miseczkę soczewicy, dla nakarmienia bądź kieszeni, bądź miłości własnej, przehandlować można.

I nie jest żargon językiem narodowym dlatego jeszcze, że posługują się nim nie wszyscy żyjący na ziemskim globie Żydzi. Nie znają go wcale ci, którzy światło dzienne ujrzeli poza granicami Rosyi i dawnej Polski. Nie zrozumie żargonu Żyd francuski, angielski, algierski, turecki etc. tak zupełnie, jak nie będący poliglotą Żyd polski albo rosyjski nie rozumieją języków, którymi mówią tamci.

Jakże więc?

Czy tamci wyuczą się żargonu i zamienią na niego piękne, doskonale ukształtowane, pełne bogactw różnych języki, którymi się teraz posługują?

Absurd! Nikt na świecie zamiany takiej uczynić nie zechce i gdyby chciał, nie zdoła; nikt nie zechce i nie potrafi wyrzec się mowy cywilizacyi, mowy śpiżu, mowy śpiewu, dla

mowy ciemnoty, małomiasteczkowego błota i gardlanego chrypienia.

Jakże więc?

Naród mówiący tylu językami, ile na świecie jest narodów? Contradictio in adjecto...

Myślimy i utrzymujemy zawsze, że Polak zamieszkały np. we Francyi, który pod jakimikolwiek wpływami zapomniał mówić po polsku i język ten w głowie, sercu i ustach zastąpił francuskim, oderwał się od narodu polskiego, przestał być Polakiem. I tak jest; choćby tam nawet w głębi istoty trwały jeszcze jakie szczątkowości pochodzenia, utrata miłości do ziemi ojczystej, którą opuścił, i utrata mowy ojczystej, którą zamienił na inną, wyłączyły go z narodu polskiego.

Jakże więc?

Czy w oczach Żydów, używających żargonu, Żydzi, mówiący po francusku, angielsku, arabsku i t. d., albo też może w oczach tych ostatnich ci, którzy używają żargonu, przestali być Żydami?

Absurd!

Wiem, że w nacyonalistycznym obozie żydowskim niektórzy pracują nad oczyszczaniem, wzbogacaniem, hebraizowaniem żargonu, wyobrażając sobie, że tym sposobem przerabiają go na język narodowy. Chętnie wierzą w szczerość i w dobrą wiarę tego przekonania, tych dążeń, ale są one kapitalną omyłką. Języka narodowego nikt na zapotrzebowanie ani zrobić, ani przerobić nie może. Jest on produktem natury i czasu. Razem z narodem przychodzi na świat, razem ze wzrostem i dojrzałością narodu wzrasta i dojrzewa. Porównać go można do nici, którą z kądzieli wysnuwa ręka prządki. Kądzielą tą jest dusza narodu, prządką jego historya.

Pewna liczba jednostek, choćby największemi zdolnościami i najlepszemi chęciami obdarzonych — nie jest narodem, pewne pasye momentu nie są historyą. Język, przez jednostki i wśród momentowej pasyi zrobiony, nie wzniesie się do godności języka narodowego, tak samo jak nie zdoła usunąć ze świata i zastąpić języków narodowych, pomimo pewnej praktycznej użyteczności swej, żaden volapück, ani esperanto.

III.

Co do zwyczajów i obyczajów rodzinnych, towarzyskich i t. d., mieszkańcy miejsca, na którem piszę, własnemi oczyma

przyglądali się tej łatwości niezmiernej, z jaką spływają one ze społeczeństwa żydowskiego, przy pierwszem byleby sympatyą i dobrą nadzieją zaprawionem zbliżeniu się do kultury społeczeństwa innego. Konserwatyzm w tym kierunku, jak zresztą i w innych kierunkach, istnieje tylko wśród ciemnych mas żydowskich, lecz ktokolwiek od tych mas o krok choćby się oddali, komu do głowy zajrzy choćby brzask oświaty, ten z łatwością, u skonsolidowanych w narody grup etnicznych nieznaną, tradycye wszelkie, ze zwyczajowemi włącznie, usuwa do tego ciemnego i pogardzanego kąta, który nazywa przesądem.

Wszędzie pod wpływem czasu i zmian, w psychice narodowej zachodzących, zmieniają się zwyczaje i obyczaje, ale przychodzi to drogą powolnych ewolucyi, kosztem walk pomiędzy pokoleniami i stronnictwami.

Tu, jeżeli nawet są ewolucye, to bardzo szybkie, jeżeli są walki rodzinne i stronnicze, to krótkie i tylko z gruntu religijnego pochodzące. Pierwsze dmuchnięcie oświaty zmiata odrębność, której gdzieindziej wielkie jej fale zniszczyć nie mogą.

Najuczeńszego Anglika rozrzewnia jeszcze widok wrzosu i jemioły, którėmi przodkowie jego w czasie uczt wigilijnych ściany komnat przystrajali, najwykształceńsi Niemcy dotąd jeszcze z zadowoleniem i z czcią dla przeszłości zasiadają do sylwestrowych biesiad, najwięcej oświeconemu i postępowemu Polakowi jeszcze zaduma głowę i może łza oko napełni na widok kontusza.

Czy są tacy, choć trochę oświeceni Żydzi, którychby rozrzewniał blask świec palących się na szabasowym stole, lub w rzewną zadumę widok chałata wprawiał?

Odrębność, która tak łatwo, tak prędko, tak bez śladu przemija, nie jest tą odrębnością, która krew i szpik ludzi przeniknęła i osobną ich indywidualność narodową determinuje.

O odrębnych, wybijających się nad inne zdolnościach i niezdolnościach Żydów nic bardzo pewnego powiedzieć nie można. Są oni, niezaprzeczenie, wielkiemi zdolnościami obdarzeni, ale w kierunkach rozmaitych, mają bardzo znaczną liczbę imion wielkich, lecz w kierunkach nauki i sztuki rozmaitych. Najmniejszą zdolność okazują do rolnictwa, najwybitniejszą do handlu i operacyi finansowych. Jest to wyrób historyi.

Po utraceniu ziemi ojczystej, którą, według świadectw historycznych, pracowicie uprawiali, od posiadania i uprawy ziem obcych przez prawodawstwo oddaleni, utracili tę uczuciową i interesową łącznię, która człowieka wiąże z ziemią, i rzu-

cili się do uprawiania tej ruchomej, kosmopolitycznej roli, którą jest pieniądz, wypracowując w sobie z biegiem czasu w tem uprawianiu biegłość. Cokolwiek przecież było tego przyczyną, dziś zdaje się być pewnem, że zdolności handlowe i finansowe wyróżniają Żydów i, obok wyznania religijnego, towarzyszą im pośród narodów innych, jako stała cecha odrębności.

Odrębność Żydów również dostrzedz można w trwałych różnicach pomiędzy ich typem fizycznym a typem, a raczej typami potomków rasy aryjskiej. Czystość rasy żydowskiej, która przez długie wieki niezmiernie rzadko i wyjątkowo tylko krzyżowała się przez małżeństwa z rasą drugą, objawia się pewnemi, drobnemi różnicami w budowie ciała i znaczniejszemi w rysunku obliczy. Wspólności tej lekceważyć nie można, bo jest ona jednym z magnesów, które grupy ludzkie sprzęgają w odrębne narody.

Similis similibus!

Podobni dążą ku podobnym i ten pociąg jest siłą, która w stanie potencyonalnym zawiera w sobie miłość. Jedna z przyczyn, dla których człowiek kocha naród swój, tkwi w podobieństwie jego do narodu i narodu do niego. Tylko, że wielkie zróżnicowanie i wysubtelnienie przez kulturę istoty człowieka, podobieństwo fizyczne usuwa się na miejsce coraz podrzędniejsze, a oprócz tego, nie jest ono u Żydów powszechnem. Zamieszkiwanie pod różnymi stopniami szerokości geograficznej, wśród rozmaitych środowisk klimatycznych, żywnościowych i innych, zróżnicowało fizyczny typ Żydów, tak samo jak ich mowę.

Anatol Leroy Beaulieu w dziele swem o Żydach, którego ścisły tytuł w tej chwili umyka mi z pamięci, po zbadaniu czaszek, włosów i rysów żydowskich na Północy i Południu, Wschodzie i Zachodzie, przychodzi do przekonania, że Żyda rosyjskiego i algierskiego albo angielskiego i tureckiego do jednej grupy etnicznej zaliczyć nie można. Nietylko do jednego narodu, ale nawet do jednej grupy etnicznej uczony francuski wszystkich Żydów, po świecie rozproszonych, nie waży się zaliczać, tak głębokiemu zróżnicowaniu uległ ich typ fizyczny. Mamy tu więc do czynienia z cechą przy pewnym stopniu kultury podrzędną i która, jakkolwiek w pewnych miejscach czy krajach odznacza się wielką trwałością, w innych ulega zanikowi i dziś już całej ludności żydowskiej tego świata wspólna nie jest.

Nakoniec jedna jeszcze uwaga.

Tem, co najwydatniej może przyoblekać Żydów pozorem odrębności narodowej, co najgłębiej linię graniczną pomiędzy

nim a narodami innymi wykopuje, jest ta wrogość z jednej strony, którą przez długie wieki okazywały im narody inne, i ta ogromna wytrwałość, którą okazywali Żydzi w bronieniu przeciw tej wrogości tego, co było dla nich wspólnym i świętym ideałem. Nikt bezstronny nie może odmówić Żydom kart wysoce tragicznych i bohaterskich w historyi tej przemocy z jednej strony, a z drugiej tego męczeństwa, nikt również zaprzeczyć nie może, że takie ukochanie ideału abstrakcyjnego i takie przy nim trwanie, składają świadectwo o niewątpliwej głębokości i sile ducha, który był zdolny pojęcie oderwane ukochać nad wszystko i trwać przy niem pomimo wszystko.

Ale — byłże to ideał narodowy? byłoż to oderwane pojęcie narodowości? Bliższe zapoznanie się z historyą tej walki nie pozostawia prawie wątpliwości, że przedmiotem jej był tylko ideał religijny, było swoiste, po przodkach odziedziczone pojęcie o Bogu, o sposobach oddawania czci i służenia Bogu. Gdziekolwiek i kiedykolwiek ustawały prześladowania religijne, a Żydzi otrzymywali pewne ludzkie i obywatelskie prawa, łatwo i rychło odpadały od nich wszystkie oznaki odrębności plemiennej, łatwo i rychło przybierali mowę, obyczaj, ubiór narodu, wśród którego żyli, rychło i nawet chciwie przystępowali do źródeł oświaty, ani pytając, ani dbając, że nie jest ona żydowską, że kształtuje ją ręka obca, że w mózg ich przenika w postaci mowy obcej.

Inaczej bywa z narodami odrębnymi, które tak samo, a może nawet powszechniej, jak za swą wiarę religijną, idą w ogień i wodę za swoją ziemię ojczystą, za swoją mowę narodową, za każdy niemal z pozoru łachman swego obyczaju, a oświatą, podawaną im przez rękę obcą i w mowie obcej, dławią się, jak czemś, co połknąć trzeba, aby żyć, lecz co po żyłach ciała i najgłębszych zakątkach duszy rozlewa jad gniewu i gorycz żałości.

IV.

Czego właściwie bronili Żydzi średniowieczni, gdy wstępowali do lochów, tortur i na gorejące stosy? Nie ziemi ojczystej, ponieważ jej nie mieli; nie języka ojczystego, ponieważ ten, którym mówili, zmieniali na miejscowy; nie obyczaju, ponieważ opuszczali go z łatwością, nie kultury swej, ponieważ z łatwością i nawet chciwością czerpali z każdej, jaka tylko otwierała przed nimi wrota swego gmachu, bez względu na to, do kogo

gmach należał, na jaki kolor był wymalowany i jakie napełniały go dźwięki.

Bronili oni z odwagą i bohaterstwem nie narodowości swej, lecz swej religii i niema w tem nic wcale, coby moralną wartość obrony tej umniejszać mogło. Można być chrześcijaninem aż do rdzenia duszy i do szpiku kości, można być gotowym na męczeństwo w obronie wiary chrześcijańskiej, a jednak uznać wysokość pobudki i siłę woli tych, którzy innemu ideałowi relijnemu składają się w ofierze. W tym przypadku idzie tylko o wyraźne określenie natury ideału, któremu w ofierze męki swe, a nieraz i życie składali Żydzi. Zdaniem mojem, był to może całkowicie, a najpewniej w mierze daleko znaczniejszej od narodowego, ideał religijny.

I oto już skończyłam rozważanie zagadnienia, czy Żydzi są lub nie są narodowością odrębną. Wymieniłam te za i przeciw, które się myśli mojej nasunęły i, wcale nie będąc pewną, czy wyczerpałam wszystkie, sądzę, że wystarczają, aby względem rzeczywistego istnienia tej odrębności wzbudzić wątpliwość bardzo poważną.

Mniemam również, że nad rozwiązaniem tej wątpliwości pilnie pracować powinny światłe umysły stron obu, pilnie, ale spokojnie, z dobrą wolą znalezienia prawdy nie w ogniu nienawiści i namiętnych uniesień, lecz w czystych wodach nauki i historycznych doświadczeń. Od znalezienia i ustalenia tej prawdy zależy w sprawie tej, zdaniem mojem, niezmiernie wiele, bo zachowanie lub utrata nadziei zlania się kiedykolwiek ludności żydowskiej z ludnością miejscową, co sprowadzać musi dla teraźniejszości i przyszłości stron obu ogromne zmiany programowe i perspektywiczne.

Rozumiem dobrze, że prawda ta ani kilku pociągnięciami pióra, ani natychmiast wyświetlona być nie może, że owszem, dla poszukiwaczy jej sprzymierzeńcem koniecznym musi być — czas. Czas tylko może zgromadzić dostateczną liczbę dokumentów, które dowiodą, czy powstały od niedawna pośród Żydów ferment nacyonalistyczny jest naturalnym wytryskiem uczuć i pragnień całej masy ludności żydowskiej, albo sztuczną robotą pewnej grupy jednostek, która ferment ten w ludzkość tę zaszczepia pod wpływem pobudek rozmaitych, z pośród których ani złych, ani szlachetnych wyłączać nie należy. Psychologia ludzka jest zazwyczaj węzłem, z ormuzdowych świateł i arymanowych ciemności splecionym. Nikt dla żadnych przyczyn interesu lub namiętności nie powinien z kręgu widzenia swego i in-

nych usuwać świateł, ale też nikogo obrażać nie powinno, jeżeli ktoś w psychologii jego odkrywa kładącą się na światło ciemność.

W psychologii przywódców nacyonalistycznego ruchu Żydów istnieje niezawodnie szczere, choć przedwcześnie ustalone przekonanie o rzeczywistem istnieniu odrębnej narodowości żydowskiej, a więcej jeszcze z pobudek demokratycznych płynąca, choćby na mylnej drodze rozwijana, lecz zawsze szlachetna chęć służenia przez zaszczepianie tego przekonania ciemnej i cierpiącej masie żydowskiej. To są jej ormuzdowe światła. Ale jest też w tej psychologii niechęć, jeżeli nie nienawiść do narodu otaczającego, połączona z dziwnem, bo ze wzgardą prawie graniczącem lekceważeniem jego charakteru, kultury i interesów, czyli tego, co stanowi jego duszę, przez pracę wieków ukształtowaną, i jego prawo święte, łez i krwi strumieniami oblane.

I oto są tej psychologii arymanowe ciemności.

O masie ludności żydowskiej, to jest o tej najliczniejszej jej warstwie, która żyje w ubóstwie lub w nędzy, przez nowoczesną oświatę nie tknięta i w zabiegach materyalnej natury tem głębiej pogrążona, im głębsze są jej ubóstwo lub nędza, mowy tu być nie może. W takich ciemnych i przez złe losy zahukanych masach mogą istnieć pewne niewyraźne, szczepowe pociągi, albo odrazy, pewne większe lub mniejsze zdolności do uczuć i dążeń natury ogólnej i oderwanej. Może ciemny proletaryusz Polak, posiadający pod stopami ziemię ojczystą i w ustach mowę narodową, przejąć się ideą polityczną i towarzyszącemi jej uczuciami łatwiej od nieposiadającego ich ciemnego proletaryusza Żyda. Zawsze jednak masa nieoświecona i w wiecznym trudzie odwalania z siebie syzyfowego kamienia nędzy fizycznej pogrążona — to wędrowiec głodny i wpółślepy, który do pałacu idei oderwanych i uczuć ogólnych zaledwie niekiedy i przez wązką szczelinkę zagląda, nie bardzo rozumiejąc to, na co patrzy, i nie bardzo o to dbając. Wszelkie masy są względnie do politycznych uczuć i pojęć zaledwie materyałem, który w taki lub inny sposób kształtują i wyginają obok innych okoliczności i może przeważnie ręce tych, którzy »przed narodem niosą oświaty kaganiec«.

Ale jeżeli o tych ostatnich idzie, jeżeli idzie o tę część t. zw. inteligencyi żydowskiej, która, nie z naszych rąk »kaganiec« otrzymawszy, od niedawna współwiernej masie swej przyświecać nim zaczęła, to czyż trzeba wyliczać dowody faktu, że na kagańcu i na niosących go rękach pozostała znaczna ilość tego płynu, nieprzyjaźnią i niesprawiedliwością względem nas

nasyconego, w których nurzają się ręce tych, co jej kaganiec podawali?

Fakt to jest znany powszechnie, ale dowody prawdziwości jego niech wyliczają inni, bliżej szczegółów rzeczy świadomi, najpewniej nie więcej nade mnie o dobro publiczne dbali, lecz mniejszą odrazę ku zarzutom i wyrzutom, ku wszystkiemu, co jest do kłótni ząb za ząb podobne, czujący.

Co do mnie, zamiast wymieniania rzeczy wiadomych, a zawsze bolesnych i jątrzących, wolę przez chwilę zastanowić się nad przyczynami ich powstania.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

(Tu artykuł został w rękopisie przerwany. *Przypisek wydawców*).

SPIS RZECZY.

